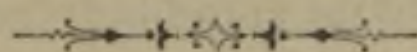
Z TRZECIÉJ SERYI.



I. Capri.

Zbiegłem do stóp skalistéj wysepce —
Była cicha godzina poranna,
Woda jasna, szafirowo szklanna
Cicho dzwoni u brzegów i szepce.

Jeszcze, zda się, kołyszą się wianki
Róż kwitnących w téj wodzie przezroczéj,
Które tutaj zrzuciły z warkoczy
Przed wiekami cezarów kochanki.

Jeszcze, zda się, pierzchnąć nie zdołało
Ich odbicie z kryształowéj wody,
Gdy się, chciwe swéj własnéj urody,
Morzu piersią uśmiechały białą.

Jeszcze, zda się, w téj krainie czarów,
Nad tą wodą szafirowo-szklanną,
W taką cichą godzinę poranną
Słychać oddech kochanek cezarów.

II. W zatoce neapolitańskiéj.

Srebrnomodra, jak metal błyszcząca
Nieskończonych wód powierzchnia leży,
Słońce wsparło się o wodę blaskiem
I zasnęło w błękitnéj bezbrzeży.

Jaka dziwna, jaka dziwna cisza,
Jaki dziwny spokój w téj naturze —
Wszystko tonie, woda, ziemia, niebo,
W przezroczystym, świetlistym lazurze.

W jeden lazur świat się zmienia cały,
Cisza ziemi z senną nieba głuszą;
W jeden lazur świat zmieniony zda się
Być swą własną zadumaną duszą.

III. Słońce.

Słońce! Słońce! Słońce! Słońce!
Wszystko lśni się, świeci, pała,
Złote iskry skaczą z morza,
Złotem błyska mewa biała.

Złote smugi drżą na wodzie
Aż po Capri, po Sorrento;
Na słoneczny wiatr, okrętów
Białe żagle rozwinięto.

Na roztoczach morskich głębi,
Na szmaragdach i błękitach,
Fioletu ciemne plamy
W rozzłoconych lśnią prześwitach.

Wzgórz majaczą gięte łuki
Przez przezroczą mgłę błękitną —
Na ich stokach białe miasta,
Jak kamelii ogród kwitną.

A tam w dali przezroczysto,
Jak jezioro lśni się morze —
Srebrnobiałéj gładkiéj tafli
Jeden wiatru smug nie porze.

Jaki spokój tam i cisza —
Zda się, z głębi, od Sorrenta,
Wyjdzie cicho z morza Venus,
Naga, piękna, uśmiéchnięta

Wyjdzie cicho i z warkoczy
Strząśnie wody krople lśniące —
Świat się pławi w złotym blasku
Słońce! słońce! słońce! słońce!

IV. Pusty okręt.

Kędyś, kędy nikt się nie ośmieli
Z żywych płynąć na bezkresy morza,
U ścian skalnych stromego podnóża
Stoi okręt na ciemnéj topieli.

Pod blask słońca, jak szkielet się bieli:
Wicher rozniósł żagle na przestworza,
Nagie, sztywne sterczą maszty z łoża,
Nakształt suchych, olbrzymich piszczeli.

Zwolna, wieki, pogrąża się w bezdno
Ten trup - okręt wbity do cieśniny —
Pustka śmierci — czasem tylko siny

Krab na deski zbutwiałe się kładzie,
Lub cień skały w miesięczną, bezgwiezdną
Noc, na pustym spoczywa pokładzie.

V. Rzeka mistyczna.

Coraz dalej płyniesz rzeko, rzeko,
Brzeg twój coraz pustszy i urwistszy,
A twe wody płyną coraz bystrzéj
I pian męty ciemne z sobą wleką
Ku otchłani, gdzie wszystko przepada,
Gdzie ostoi się tylko zagłada.

Ah, te źródła jasne i przejrzyste
Pod spokojnym, promiennym błękitem,
Te narcyzy z kwieciem srebrnolitém
Nad źródłami, i lilie śnieżyste,
I to złote słońce, co upadło
W pełne kwiatów szklannych wód zwierciadło..

Ah, nie wrócisz ty już rzeko, rzeko,
Coraz daléj płyniesz, coraz daléj,
Źródła twoje zostały w oddali,
Brzeg twój kwietny pozostał daleko —
Między martwe stepy i pustynie
Fala twoja głucho, martwo płynie...

A tam czeka ciebie i pochłonie
Tajemnicza i straszliwa przepaść,
Kędy wszystko, co jest, musi przepaść,
Niezgłębione, nieprzejrzane tonie,
Gdzie, niezwrotnéj podróżnicy drogi,
Giną światy całe i ich bogi.

VI. Łąka mistyczna.

O cicha, jasna łąko, o zielona,
Łąko daleka:
Ku tobie dusza smutna i zmęczona
Z bagien i piasków ponurych ucieka
Wśród jasnéj, cichéj zieloności twojéj
Szukać spoczynku, szukać niepamięci...

O, jakaż czystość twych zdroi,
O, jakże nęci
Twoja złocista pogoda słoneczna;
O, jakże koi
Twa cisza wieczna...
O, łąko jasna,
Jako zagroda wydajesz się własna
Tym, co na całéj wszechziemskiéj przestrzeni,
Głowy nie mieli gdzie skłonić znużeni...

Letejską jesteś zapomnień krynicą
Dla tych co w duszach mając żar i płomień,
Żądz swych szukali żywych uwidomień,
Choć prędzéj cienie swoich ciał pochwycą...
Tam nie ma więcéj czaru ni przestrzeni,
Tam światłoskrzydłe, przejrzyste i śpiące,
W łodziach, ze ściętych w kryształy promieni,
Godziny wiszą w powietrza ogromie,
Nie pnąc się więcéj za jasnością w słońce,
Ani ku nocy chyląc się krawędziom,
Zaczarowanym podobne łabędziom
W kryształnych łodziach wiszą nieruchomie...
Tam między polne
Zioła i trawy i róże płonące
I lilie, srebrnym wonne kwiatów puchem,
Czyste i białe chodzą dusze wolne,
Czujące rozkosz najwyższą: być duchem.

Kazimierz Tetmajer.



STARE POCZĄTKI NOWEGO PRZYMIERZA.

Zbliżenie się Rosyi do Francyi, o którém tyle mówią dzienniki w chwili obecnéj, trafnie nazwano „przymierzem przyszłości" — przeszłość bowiem nie wiele pod tym względem przygotowała. Do połowy wieku XVIII-go porozumienie z Rosyą sprzeciwiało się wszelkim podaniom dyplomacyi wersalskiéj, nie miało ani wskazówek za sobą, ani widoków przed sobą. Względy ściśle polityczne, odsuwające naonczas Francyę od Rosyi, wypływały z górującego faktu dziejów przedrewolucyjnych: ze współzawodnictwa monarchii Burbonów z monarchią rakuską, których posiadłości stykały się nad Renem i u podnóży alpejskich. Państwo Habsburgów w walce téj szukało stale sojuszu z Anglią, czyhającą na zamorskie dzierżawy Francyi: Indye, Luizyanę, Kanadę. Francya, dla zaszachowania Anglii, odwoływała się najzwyklej do mocarstw skandynawskich, Danii z Norwegią i Szwecyi, oraz do Prus, które wtedy grozić mogły hanowerskiéj dziedzinie korony angielskiéj na lądzie stałym; w odwodzie zaś przeciwko Austryi dwór wersalski usiłował mieć zawsze na zawołanie Polskę i Turcyę. W takich razach Petersburg, Moskwa zadaleko były położone, aby o odsieczy z ich strony można było pomyśléć w pilniejszéj potrzebie; poprzestawano na mniéj więcéj pewném, mniéj więcéj zawodném, ale bądź co bądź znacznie dostępniejszém ku Newie poparciu w Sztokholmie, Berlinie, Warszawie i Konstantynopolu. Co więcéj, posuwanie się Rosyi od czasów Piotra W-go na południe i ku wschodowi azyatyckiemu, gdzie wtedy Francya posiadała uprzywilejowane i zazdrośnie strzeżone

filie swojego handlu zagranicznego, tudzież ciągłe nowopowstającéj téj potęgi ruskiéj utarczki o granice z Polską, Szwecyą, Turcyą — „naturalnymi” owymi sprzymierzeńcami Francyi w walce z domem rakuskim, zniewalały nawet Wersal do uważania Rosyi raczéj za przeciwka, niźli za możliwego przyjaciela.

Ogólne to położenie zmieniało się jednak stopniowo w miarę opadania na siłach pomienionych „naturalnych” sprzymierzeńców Francyi, głównie Polski, stanowiącéj środkowe ogniwo związku, którego skrzydło północne zajmowała Szwecya, skrzydło południowe—Turcya. Jednocześnie też, z biegiem wypadków, łagodniała nieco chroniczna nienawiść między dworami wersalskim i wiedeńskim, a to w następstwie szybkiego wzrostu monarchii Fryderyka II-go, umiejącéj w wieku XVIII tak samo korzystać z antagonizmu Francyi z Austryą, jak w wieku XIX-ym korzystała z antagonizmu Francyi z Rosyą. W tych to warunkach, w początkach drugiéj połowy wieku XVIII-go, zarysował się na czas pewien układ mocarstw, noszący w swoim czasie miano „nowego systemu”. Stało się to w okolicznościach, nie pozbawionych pewnego znaczenia dla czasów bieżących (S. Sołowiew, *Istoria Rossii*, t. XXIV, str. 9—26; Arneth, *Maria Theresia*, str. 272—394; Broglie, *Secret de Roi*, t. I, str. 162 i nast.).

Na wiosnę 1754 r. wszczęły się w Stanach Zjednoczonych Ameryki północnéj zwady i rozruchy pomiędzy kolonistami francuskimi a angielskimi i przybrały niebawem takie rozmiary, że Anglia uważała za niezbędne, wbrew wszelkim obyczajom międzynarodowym, bez formalnego wypowiedzenia wojny, napaść Francyę na morzu i zadać dokliwe ciosy jéj flocie. W Wersalu, zgodnie z panującemi poglądami politycznemi, powód tak niesłychanego postępku przypisano natychmiast „przewrotnym poduszczeniom” Austryi. Domysł potwierdziły wkrótce doniesienia jedynego wiernego aż dotąd sojusznika, Fryderyka II-go, który tylnemi drzwiami — jak zawsze — za pośrednictwem zauszników pani Pompadour, usiłował przekonać Ludwika XV-go, że sprawcą awantury jest istotnie Kaunitz, ambasador Maryi-Teresy w Paryżu w latach 1750—51, obecnie jéj pierwszy minister. Doradzał Fryderyk uderzyć natychmiast na austryackie prowincye Belgii, gdy wojska jego, w liczbie 140,000, które już są w pogotowiu, wkroczą do Czech. Francuski minister spraw zagranicznych, ks. Bernis, faworyt pani Pompadour, zawahał się wszakże tym razem. Przypomniał sobie, że Kaunitz od kilku lat zajęty myślą odebrania od Prus Szląska, „tych wrót do wnętrza Austryi”, nadesłał był w ostatnich czasach kilka depesz, wykazujących, że Fryderyk zawiązał rokowania z Anglią i obecnie jest już na punkcie zawarcia z nią ugody odpornéj i zaczep-

néj. Wiadomość potwierdziła w końcu roku sama Marya-Teresa, w osobistym liście do Ludwika XV-go, wskazującym dowody „niezwykłéj” zdrady „stałego” sprzymierzeńca Francyi. W celu ukarania przeniewiercy i poskromienia wzmagającego się jego zuchwalstwa, Marya-Teresa proponowała niezwłocznie zawarcie konwencyi zaczepnéj; ale Ludwik XV-ty odmówił, ofiarując nawzajem jedynie traktat odporny. Wówczas Kaunitz zwrócił się do dawnéj aliantki, cesarzowéj Elżbiety Piotrówny. Trafił tu w samą porę. Anglia, namawiała właśnie kanclerza Bestużewa-Riumina do przyjęcia subsydyów „na wszelki wypadek” i jako gwarancyę bezpieczeństwa, wyznała, że się już porozumiała z Prusami. Traktat anglo-pruski istotnie podpisany został 16 stycznia 1756 r., a wieść o tém, podziemnemi kanałami, obiegła w kilkanaście dni wszystkie dwory europejskie. Nie zwlekano tym razem długo. W końcu marca 1756 r. zebrała się w Petersburgu wielka rada przybocza (złożona z następcy tronu Piotra Teodorowicza, kanclerza Aleksego Bestużewa-Riumina, vice-kanclerza Woroncowa, prokuratora jeneralnego ks. Trubeckiego, hrabiów Aleksandra i Piotra Szuwałowów, ks. Michała Golicyna, senatora Buturlina, generała Stefana Apraksina i hr. Michała Bestużewa-Riumina), która w dniu 30 tegoż miesiąca uchwaliła: 1) zawrzéć z Austryą ugodę i zawezwać ją do natychmiastowego, wraz z wojskami rosyjskiemi wtargnięcia do Prus; 2) rozpocząć z Rzeczpospolitą polską rokowania w kwestyi przemarszu wojsk; 3) nie zawierać pokoju aż do chwili, kiedy Szląsk wrócony zostanie Austryi, a Prusy książęce oddane Rzeczypospolitéj, która, zobowiązana w ten sposób, zgodzi się zapewne na ustąpienie Kurlandyi i na rektyfikacyę granic południowych, ułatwiającą Rosyi handel ze wschodem, etc. Austrya, uposażona takiém poparciem, nie potrzebowała już długo przekonywać dworu wersalskiego: 1-go maja 1756 r. stanął pamiętny potrójny sojusz franko-austro-rosyjski, początkujący wojnę siedmioletnią, w któréj szczęście nie jednako sprzyjało sprzymierzeńcom. Austrya odbić Szląska nie zdołała; Francya straciła wszystkie swoje kolonie azyatyckie (Indye) i amerykańskie (Kanadę i Luizyanę), Rosya podbiła Prusy i spory kawałek Pomorza; opiérała się jeszcze w końcu jedna tylko twierdza kołobrzeska, ale i ona w d. 1 grudnia 1761 r. poddać się musiała Rumiancewowi. Cóż stąd, skoro wiadomość o tém wraz z kluczami Kołobrzega doszła do Petersburga już po zgonie cesarzowéj Elżbiety (w d. 22 grudnia). Następca jéj, Piotr III-ci, nietylko ustąpił Fryderykowi prowincye podbite, ale téż i wojska swoje z jego wojskami połączyć rozkazał. Prusy wyszły z imprezy cało, w kilka zaś lat późniéj, po detronizacyi Piotra III-go, w moc zawartéj z cesarzową Katarzyną ugody z d. 11 kwietnia

1764 r., zaokrągliły swe posiadłości wschodnie nabytkiem tak wspaniałym, że odtąd sławne „środkowe ogniwo” odwiecznych przyjaciół Francyi, zeszło na stopień mocarstw drugorzędnych i wreszcie ostatecznie wymazane zostało z karty Europy. Z Francyą przestano również liczyć się odtąd jako z państwem, mającém niegdyś pierwszy głos w sprawach międzynarodowych, bo kiedy w latach 1787—88, Rosya, chwilowo pogniewana z Prusami, tworzyła przeciwko nim i Anglii koalicyę z Austryą, Ludwik XVI-ty, zawezwany do spółki, skromnie wyznać musiał, że nie byłby w stanie mierzyć się z Anglią i Prusami, a kiedy następnie, w r. 1792, cesarzowa Katarzyna poleciła generałowi Langeron (emigrantowi) opracować memoryał na temat: jaka może być przyczyna okropnego upadku monarchii francuskiéj, autor śmiało mógł zaznaczyć, że najwalniejsza z przyczyn tkwi w przymierzu z r. 1756,— tak się ta pierwsza próba dała we znaki.

Druga — nie prędko przyjść miała. I dlatego to tegocześni publicyści francuscy: Lavisse, Rambaud, de Vogüé zniewoleni są do sztukowania się hypotezą, ilekroć przymierze oczekiwane wynoszą do wyżyn zasady niezbędnéj, historyozoficznéj, niemal przyrodzonéj. Powiadają oni, że jeszcze za panowania Katarzyny II-éj, po skruszeniu potęgi ottomańskiéj, po sprowadzeniu do nicości Rzeczypospolitéj polskiéj, po poskromieniu Szwecyi, możliwém było porozumienie się Francyi monarchicznéj z Rosyą. Zaśniedziałe uprzedzenia do Austryi, odświéżone skutkami niefortunnego sojuszu z r. 1756, zawsze jeszcze były tak ostre i mocne, iż z wielkiém prawdopodobieństwem godzi się przypuszczać, że gdyby nie gwałtowne rozsypanie się monarchii burbońskiéj w końcu wieku XVIII-go, dwór wesalski byłby niezawodnie, w zakorzenioném swojém współzawodnictwie z Habsburgami, zażądał pomocy i poparcia nowopowstałéj potęgi północnéj, ogniskującéj nad Newą odsiecz o wiele silniejszą i spójniejszą od téj, jaką dla Francyi, w jéj zapasach z cesarstwem rakusko-rzymskiém, stanowiły przedtém gasnące zarzewia nadbosforskie i nadwiślańskie. Nie przyszło do tego jedynie jakoby wskutek interwencyi czynnika całkiem postronnego, niemal przybłędnego; oto rewolucya 1789—1795, przecinając jak nożem ustalone kombinacye dyplomatyczne, wprowadziła do stosunków międzynarodowych ferment nowy, nieznany dawniéj, przygodny — zasadę wszechwładztwa narodowego, pojętego w przeciwieństwie do monarchicznego ustroju reszty państw europejskich.

Jako temat dziennikarski, przypuszczenie powyższe służyćby mogło do ilustracyi zjawisk, które *mutatis mutandis*, w innych warunkach, z innych powodów, z innemi skutkami i na kim innym powtórzyły się nie wcześniéj aż w lat sto po wojnie siedmioletniéj, to jest

w okresie 1861—1870, kiedy pobitą na wszystkich polach i ze związku niemieckiego wyrzuconą Austryę zastąpiły w nienawiści Francyi Prusy, wszędzie i zawsze w ostatku zwycięskie, a dążące do hegemonii na stałym lądzie europejskim. Zanim jednakże to nastąpiło, niezapominajmy, że Europa zużyła wpierw całe szeregi tranzakcyi mieszanych, wahań się w jedną i drugą stronę, zatargów i sojuszów do nieskończoności różnobarwnych. Ciężkie i bolesne te przejścia noszą wspólne miano historyi politycznéj wieku XIX, czy zaś i w jakim stopniu popiérają one twierdzenie pp. Alfredów Rambaud, Ernestów Lavisse i Melchiorów de Vogué, jest to dopiéro rzecz do dowiedzenia z pomocą i na podstawie ściślejszego, szczegółowszego zbadania wypadków pośrednich, kojarzących epokę Fryderyka II-go z naszą, dzisiejszą.

Do takich wypadków jednoczących i przez to z upodobaniem podnoszonych przez pisarzy francuskich, należałyby przedewszystkiém niektóre zdarzenia z czasów panowania Cesarza Aleksandra I. Olbrzymi materyał dyplomatyczny, zgromadzony przeważnie przez uczonych rosyjskich (T. Martensa w *Recueil des traités*, prof. Traczewskiego w *Sbornik Im. Russk. Istor. Obszczestwa*) zużytkowany i dopełniony został w ostatnich latach z osobliwą skrzętnością przez rozgłośne pióra S. Tatiszczewa (*Alexandre I et Napoleon d'après leur correspondance inédite*, Paryż, 1891, str. 640) i Alberta Vandala (*Napoleon et Alexandre I, l'alliance russe sous le premier empire*, Paryż 1891 str. 527 i 1893 str. 570). Obaj oni z okoliczności wypadków 1806—1808 mają na widoku ów oczekiwany sojusz dwóch mocarstw, których losy, według nich, potoczyćby się mogły wspólnemi a wyrównanemi kolejami w przyszłość. Wniosek ten nie wypływa, co prawda, wprost z przedmiotu, którym pp. Tatiszczew i Vandal zajęli się tak gorliwie, skoro zarówna ugoda tylżycka 1807 r. jak i ugoda erfurcka z 1808 utknęły w powodzi klęsk 1812—1815. Ponieważ jednak okoliczności od tamtych czasów zmieniły się doszczętnie, ponieważ początkowym usiłowaniom sojuszu franko-rosyjskiego nie przyświecała gwiazda doświadczenia dziejowego, wschodząca nad widnokręgiem stosunków obecnych, przeto, być może, nie bez podstawy, obaj autorowie mniemają, że usterki przeszłości nie powtórzą się już nadal, że szkopuły raz zaznaczone ominięte zostaną i pokolenia tegoczesne lub dalsze postarają się nić zerwanego fatalnie przed laty ośmdziesięciu porozumienia nawiązać nie na to, co kiedykolwiek Rosyę i Francyę dzieliło, lecz na to, co państwa te wiązało w chwilach szczęśliwszego natchnienia i wiąże podziś dzień.

O konkretnych przeznaczeniach oczekiwanego przymierza pomienieni historycy wyrażają się z nader drobnemi odcieniami różnic w for-

mie, w uwydatnieniu, jednomyślnie zaś pod względem treści i istoty. „Niebezpieczeństwa dawne—powiada p. Tatiszczew — nie istnieją już od daty, jak naród francuski sam stał się panem swych kroków. Rzeczpospolita skorzysta z nauk, otrzymanych w spadku po dawnych kształtach swojego rządu i nie popadnie w ich błędy, uchybienia lub występki. Dowodzi tego Francya dzisiejsza, podążająca gościńcem szczeréj i trwałéj zażyłości z wielkiém mocarstwem północném... Nie zboczy z téj drogi Francya, jest bowiem coś bardziéj nieomylnego nad geniusz wielkiego człowieka: mówię o geniuszu narodu." P. Vandal, ze swojéj strony, potępiwszy znane słowa Napoleona do Aleksandra I („ziemia jest dość wielką dla nas obudwu"), wzywające do podziału panowania nad światem, tak się wyraża: „Właściwość wszelkiego wygórowanego uroszczenia na tém polega, że rozpasuje namiętności i zamiast zgody szuka walki. System napastniczy i zdobywczy Napoleona zasługiwał na następstwa, jakie go téż ukarały. Przyszłość bardziéj moralna i płodniejsza rozwiéra się dziś przed dwoma narodami... Łącząc się z sobą w polityce roztropnéj i oględnie wytrwałéj, Francya i Rosya mogą zapewnić niezależność lądu stałego... Tkwi podobno w naturze dwóch tych biegunów tegoczesnego życia, ażeby na Europę wywierały wpływ regulujący, przez utrzymywanie rozmaitych jéj pierwiastków i czynników w równowadze należytéj lub przez sprowadzanie ich do téj równowagi"...

Czy zagadnienie dodatnie, rozciągnięte w podobny sposób na prawdopodobieństwa rodzące się zaledwie, do urodzenia powołane, a wysnute z przesłanek historycznych ujemnych, nie uwieńczonych powodzeniem, mogą być przyjęte do poważnych rozpraw naukowych? — Zdaniem naszem,—mogą i nawet powinny. Gdyby do świątyni dziejów wchodziły jedynie fakta spełnione i sprawy wygrane, byłyby one podobne do parlamentu, uwzględniającego wyłącznie głosy większości z usunięciem lub ograniczeniem zdań oponentów. Tymczasem, zarówno na mównicy publicznéj, jak przed trybunałem historyi wczorajsi maluczcy i pobici wyrastają na jutrzejszych tryumfatorów i przywódzców, z którymi liczyć się przedewszystkiém należy w czasach ich upadku i pognębienia — gdyż wtedy właśnie składają oni zeznania i świadectwa, które stanowią jedyne na czas dalszy gwarancye prawdy i bezpieczeństwa—dla wszystkich. Owóż, w zastosowaniu się do tego pewnika pp. Vandal i Tatiszczew nie popełnili żadnego grubszego odstępstwa: domyślne plusy przyszłości w ich pracach nie przemazują oczywistych, niezaprzeczonych minusów przeszłości; pomimo to przecież pozostały tu i owdzie luki, niezbędne do wypełnienia. Wskażemy jedną z nich, najgłówniejszą, największą, — a uczynić to pozwalamy

sobie na podstawie źródeł powszechnie dostępnych, upoważnionych, urzędownie nawet poniekąd zaleconych. Mamy na oku tom LXXXII wspomnianego *Sbornika* Cesarsko-rosyjskiego towarzystwa historycznego, w którym zamieszczone zostały akta bezpośrednio wyświetlające powody spełznięcia na niczém, załamania się aliansu tylżycko-erfurckiego.

Po wstąpieniu na tron Cesarza Aleksandra, w sprawie jątrzącéj się wciąż od zgonu cesarzowéj Katarzyny, jak sobie począć z „zarazą francuską,” szerzącą się wraz z postępami oręża republikańskiego, trzy różne opinie kolejno lub jednocześnie dążyły do przewagi w naradach korony: obojętne odgrodzenie się od wpływów postronnych i nieruchome stanie w ściśniętych szeregach przy ołtarzu i tronie (Rumiancew); odporno-zaczepne przymierze z Prusami (Budberg i Benigsen); otwarcie wojownicze wystąpienie do współki z Anglią i Austryą (Woroncowowie). Pierwsza, stanowczo zaniechaną została wobec nadmiernego i nieustającego wzmagania się potęgi Napoleona, który w ciągu niespełna lat dwóch ogłosił się wbrew zobowiązaniu królem włoskim, poszarpał Austryę, zarzucał swe sieci wzdłuż Adryatyku i zdaleka zagrażał świeżym nabytkom Rosyi w ziemiach niegdyś tureckich. Górę wziął kierunek trzeci, skombinowany z drugim w tym sensie, że należy wszelkiemi siłami dążyć do oderwania od Francyi Prus, ulegających czarującemu urokowi obietnic Talleyranda, który monarchii Fryderyka II-go podsuwał najbarwniejsze perspektywy obłowu na ruinach zaciętego jéj wroga — Austryi. Kiedy po wstrętnym zamachu na księcia d'Enghien przebrała się w Petersburgu miara cierpliwości, zastępujący starego kanclerza Aleksandra Woroncowa, młody jego przyjaciel i pomocnik osnuł plan działalności na kilku motywach najogólniejszego i najdonioślejszego znaczenia. Francyi i Napoleona — powiadał—zwyciężyć nie sposób inaczéj, tylko własną ich bronią. Koalicyę mocarstw (z Prusami czy bez nich) należy uzacnić w oczach ludów tendencyą taką, którаby przez rzetelne wywieszenie haseł wolności, braterstwa, cywilizacyi, zrównoważyła podstępną tych godeł trawestacyę, mordercy księcia d'Enghien. Najtwardziéj uzbrojone cielsko nie ostoi się wobec nowych prądów, jeżeli się do walki z niemi wysforuje — bez ożywiającéj je duszy... Program, z gorącém uznaniem przyjęty przez kanclerza i potwierdzony w kołach rozstrzygających. S. Tatiszczew, zarówno we wzmiankowaném dziele francuskiém, jako téż i w wydanéj na rok przedtém książce p. t. „Z przeszłości dyplomacyi rosyjskiéj” (Petersburg, 1890, str. 567) zarzuca powiernikowi i zastępcy kanclerza, że jego system, nacechowany wzniosłym lecz jałowym idealizmem politycznym, przyczynił się pośrednio do klęski austerlitzkiéj; zamilcza

jednakże przytém, a najkompletniéj o środkach praktycznych zaprojektowanych jednocześnie (1804) dla obrony i ziszczenia owego „idealizmu” — środkach dokładnie zresztą znanych autorowi z tych samych dokumentów (w innéj edycyi), które weszły do LXXXII tomu „Sbornika.”

O co zaś w danym razie chodziło, wyświetla tok wypadków. Pieniężną pomoc Anglii uzyskano pomimo ostatecznego wyczerpania się skarbca wielkobrytańskiego; z Austryą ułożono się po niejakich mitręgach płynących z przesądnego już niemal strachu przed orlim wzrokiem Napoleona, ale Prusy, wplątane ciągle w matnię słówek tayleranдowskich, do niczego zgoła nakłonić się nie dawały, ani do związku, ani do neutralności przychylnéj, ani nawet do przyzwolenia na przemarsz wojsk przez posiadłości odgradzające Austryę od Rosyi — o ile że, jak wiadomo, spora część dzisiejszych gubernii Królestwa Polskiego zostawała wtedy pod panowaniem pruskim. Sytuacya była bez wyjścia, plan bowiem kampanii wojskowéj i koncentracya armii ułożone zostały, w wykonanie już wchodziły w tém założeniu i przeświadczeniu, że Prusy współudziału nie odmówią; zresztą, byłoby nieroztropnością nie do przebaczenia pozostawiać w niepewności za sobą i na skrzydłach nietkniętą dotąd przez Napoleona zbrojną masę prusactwa. I wówczas to, naglony koniecznością, zastępca Woroncowa, zdobył się na pomysł oryginalny: uderzyć bez odwłoki na Prusy i albo je zgnieść, albo za sobą na pole bitwy pociągnąć. Stosy memoryałów, z przed i po bitwie austerlitzkiéj, piętrzą się przed potomnością jako usprawiedliwienie zbawczéj téj na razie energii; przytoczymy parę ustępów. Z instrukcyi z d. 11 września dla Nowosilcowa, udającego się do Anglii: „Będzie nader trudno pozyskać dobrowolną pomoc Prus przeciwko Francyi; ogólnikowe zobowiązania tego mocarstwa są znane... Gabinet berliński, w skutek dwuznacznego swego zastrzeżenia, że przez terytoryum swoje nie przepuści wojsk ani rosyjskich ani francuskich, zapragnie użyć wybiegu. Czy nie należałoby zatém raczej zmusić Prusy do stanowczego oświadczenia się za jedną lub drugą stroną, niż poprzestawać na neutralności.” Z listu do Woroncowa z d. 2 grudnia 1804: „System pruski, w chwili rozpoczęcia działań wojennych stanie się wielce kłopotliwym.” Z memoryałów retrospektywnych 1805—6, przypominających plany i zobowiązania z r. 1804: „Położone pomiędzy Rosyą a Francyą Prusy są lękliwe, zasoby ich szczupłe. Same, przez się nic przedsięwziąć nie zdolne, z każdéj sytuacyi pragną wykręcić się dwulicowością... W chwili krytycznéj, kiedy armia rosyjska zbliżyła się ku granicy, Prusy, wciąż opierające się, zmobilizowały swą armię... Oświadczając się ku nam z przyjaźnią i życzliwością, dwór berliński

myślał wyłącznie o porozumieniu z Francyą... Prusy pragną rozciągnąć wyłączne swe panowanie w Niemczech północnych... Wiedzą one nadto, że Rosya koniecznie posiąść pragnie ujścia Niemna i Wisły; nabytki te są tak niezbędne dla naszego handlu i znajdują się tak blizko pod naszą ręką, że wcześniéj czy późniéj pobrzeża te zagarnąć wypadnie. Oto dlaczego Prusy stale szukać będą umniejszenia powagi i znaczenia Rosyi w Europie... *La Russie, en se fiant à la Prusse et en suivant aveuglement ses impulsions, risque de se perdre immanquablement; l'intérêt de la Prusse presque toujours est contraire à celui de la Russie et de l'Europe*"... Taki to był „idealizm" p. o. rosyjskiego ministra spraw zagranicznych w decydującym roku 1804.

Rady zastępcy kanclerza państwa, na mocy kartelu z partyą Budberga i Benigsena, trzeba było zmodyfikować i sprowadzić — do zera. Z Prusami wdano się w układy niezmiernie ugrzecznione, zawiłe, ociągające do nieskończoności rozpoczęcie akcyi, a tymczasem Napoleon ściągał wojska, ustawił je na pozycyach dogodnych, krzyżujących pierwotne zamiary i postanowienia sztabowców austryackich i rosyjskich. W pośpiechu, w ciągłéj obawie o tyły od strony Prus, w nieustających przerzucaniach punktów strategicznych i linii operacyjnych stosownie do zwrotów cofanego i przyrzekanego na każdy moment poparcia pruskiego—przyjęto w końcu bitwę tam i wtedy, gdzie i kiedy się trafiło... Wszelakoż, Prusy dotrzymały słowa, ruszyły z legowisk, nie wcześniéj atoli aż Napoleon, dla skrócenia sobie drogi, tak właśnie postąpił z ich terytoryum, jak pomocnik kanclerza Woroncowa zalecał radzić sobie z uporem dyplomatów berlińskich podczas przygotowań do wojny. Naturalnie, Napoleon, przełamawszy granicę pruską, stanął pod Austerlitzem znacznie wcześniéj niż prusacy... Padł cios. A wówczas,—jakże się Prusy sprawiły? „Skoro tylko w Berlinie dowiedziano się o porażce Austryaków i Rosyan, postawa Prus zmieniła się radykalnie! Haugwitz, który do głównéj kwatery Napoleona wysłany był z *ultimatum*, schował dokument do kieszeni, Prusy zaś nie tylko nie wykonały traktatu zawartego przed samą bitwą austerlitzką z cesarzem Aleksandrem w Potsdamie, lecz się zgodziły, bez uprzedzenia nawet Rosyi, na zawarcie z cesarzem Francuzów konwencyi, któréj osnowa biegunowo sprzeczną była z obowiązaniami powziętemi względem Rosyi" (*Journal de St. Petersbourg* w sprawozdaniu z LXXXII tomu „Sbornika")...Odtąd p. Tatiszczew najpoprawniéj już opowiada, jak w pomście za dwulicowość Prus spadły na nie gromy pod Jena, jak monarchia Fryderyka II-go błyskawicznie zniknęła z oblicza ziemi i jak okropne błędy popełniła dyplomacya rosyjska, wytężywszy wszystkie swe zasoby ku temu, aby ocalić, aby podźwignąć Prusaków

z ostatniéj nędzy i ruiny. Nie widać tylko jeszcze dobrze, kto teraz z kolei, kto obecnie odpowiadać ma za winy „czczego, ślamazarnego” idealizmu politycznego: czy zawsze jeszcze przestarzały Woroncow i jego namiestnik, vice-kanclerz państwa, czy téż może ster spraw zagranicznych przeszedł już w inne ręce? — i w czyje?—i kiedy jeśli rzeczywiście przeszedł?—W Tylży, początkowo, naczelną rolę dyplomatyczną odegrywać zdaje się baron Budberg, lecz na samym pakcie, warunki pokoju obejmującym, obok Talleyranda, podpisali się: książęta Aleksander Kurakin i Dymitr Łobanow-Rostowski... Cóżby to znaczyło? Ścisłość, któréj się tak bacznie przestrzegało, gdy szło o wykrycie przestępstw, a nawet „zbrodni” za kanclerstwa Woroncowa, czyliżby mniéj stała się niezbędną teraz, gdy opinię woroncowską pokonały dwie jéj antagonistki?... A zresztą, być może zaszła tu jedna z omyłek drukarskich, przepełniających dzieło p. Tatiszczewa. Tak np. opisując rokowania, w których po straszliwych rzeziach Preussich-Eylau i Frydlandu, Rosya otrzymała drobny kawałek ziemi białostockiéj, autor dodaje: „obwód białostocki położony na prawym brzegu Niemna”, *la province de Bialystok située sur la rive droite du Niémen* (str. 176).

Są to naturalnie drobiazgi, zwłaszcza wobec kwestyi zasadniczéj: jakiém-że to teraz dziejowém doświadczeniem ugody tylżyckie zbogaciły przymierze przyszłości, jaką jest ich istotna wartość w tym zakresie? -- Dla rozstrzygnięcia tego pytania, obok p. Tatiszczewa staje odtąd p. Vandal, który swą pracę dwutomową, opatrzoną erudycyą prawie niebywałą, zdumiewającą, na osobistych poszukiwaniach archiwalnych opartą, właśnie od Tylży zaczyna.

„Podział panowania nad światem” — taki miał być górujący motyw ugód i rokowań tylżyckich 1807-go roku. S. Sołowiew, historyograf rosyjski, któremu dostępne były wszystkie w téj sprawie dokumenta z archiwum spraw zagranicznych, wyraża się wprawdzie o tym motywie z niejakiém powątpiewaniem. W jego dziele „Aleksander I-szy”, wydaném na obchód setnéj rocznicy urodzin najstarszego wnuka Katarzyny II-éj (Petersburg, 1877 r.), znajdują się słowa nacechowane cierpkością wyraźną: „W Tylży Napoleon niejednokrotnie zachęcając powtarzał: podzielmy się światem! — wypadki atoli prędko pokusie téj kłam zadały; pokazywano Rosyi wschód, a chciano tylko uwagę jéj odwrócić od zachodu” (str. 154 i nast.). Natomiast, S. Tatiszczew nie waha się utrzymywać z naciskiem, że Tylża—to „najwyższy wyraz polityki ruskiéj w kwestyach międzynarodowych”, to wyrugowanie z niéj popędów filantropii i sentymentalizmu, to „powrót do zdrowéj, korzystnéj tradycyi staro-ruskiéj”, któréj państwo zawdzięcza swą wielkość i pierwszorzędne stanowisko w Europie.

„W Tylży — powiada — geniusz Napoleona ziścił dzieło pomyślane na lat sto przedtém przez Piotra W-go; odtąd Francya i Rosya, po raz pierwszy złączone z sobą wspólnością idei i czynu, zgodnie dyktować mają światu swe prawa" (str. 181, 187). Vandal nie przychyla się stanowczo ani do tezy Tatiszczewa, ani do antytezy Sołowiewa; mniema, że prawda znajduje się pośrodku. O ile treść rozmów i przyrzeczeń tylżyckich, istotnie — według niego — miała zakrój wszechświatowo-podziałowy, o tyle znowu akta urzędowe, na razie spisane, zawiérały ze strony Napoleona sporą dozę zastrzeżeń i „rozciągłości", które w miarę rozwijania się wypadków, wielorako można było sobie tłómaczyć. Rozdźwięk pomiędzy ustném a pisaném słowem ujawniał się stopniowo, ale już w kwietniu 1808 r., to jest w dziesięć niespełna miesięcy po ugodzie tylżyckiéj, stwierdzony został w sposób urzędowy. Kiedy nowy kanclerz rosyjski, Rumiancew, zbyt żywo nastawał w Paryżu na osobiste obietnice Napoleona, wytykając niezgodność ich z postępowaniem, francuski minister spraw zagranicznych, Champagny, otrzymał polecenie wystylizowania odpowiedzi według następującéj formuły: „ciągle mi przypominają, że przestałem śpiéwać z tonu tylżyckiego; nie znam żadnego innego tonu, tylko ten, który w nutach zaznaczony został—to jest w literze traktatu" (t. I, str. 106).

Jakkolwiek odwołanie się do téj „litery" stanowiło w swoim czasie dla dyplomatów największy kamień obrazy i przedmiot nader długiéj, uciążliwéj, a jałowéj ostatecznie polemiki, to odwrotnie, w oczach historyka jest to dziś jedyny punkt twardy, dokoła którego nawinąć jeszcze można parę zdań pewniejszych o wartości przymierza tylżyckiego. Najściśléj sprawdziła się w danym razie przypowieść: *verba volant, scripta manent*... Prawda, że i na owe pisaniny z dnia 7 — 9 lipca 1807 r. potomność półwieku zgórą spoglądała niby na jakiś cyrograf tajemniczy, zaklęty, siedmiu pieczęciami opatrzony. Część ich pierwsza, obejmująca warunki zawartego w Tylży pokoju, podana została do wiadomości publicznéj niezwłocznie; dwie inne, mianowicie tak zwane artykuły dodatkowe i sekretne, tudzież akt właściwego przymierza odporno-zaczepnego, ukazały się w druku, w urywkach przygodnych, dopiéro w latach 1888 (dzieło Fournier'a „Napoleon, Lipsk i Praga") i 1890 (artykuł Tatiszczewa w „*Nouvelle Revue*"). Vandal, zamieszczając wszystkie trzy części w dodatku do I-go tomu swéj pracy, miał prawo zaznaczyć, że jest „pierwszym" wydawcą francuskiego tekstu całéj ugody tylżyckiéj, któréj tekst rosyjski dziś dopiéro ujrzał światło dzienne w urzędowym zbiorze profesora T. Martensa.

W zestawieniu wyrównaném, wzajemnie się uzupełniającém, wszystek pomieniony materyał dyplomatyczny, pomimo pozornéj świeżości, trąci specyficzną jakąś zbutwiałością: fantastyczne to a niedojrzałe, wyrafinowanie wymędrkowane, a nawet zdaleka próchnem świécące. Wniknijmy tylko dobrze w mechanizm wymiany usług, jaką państwa kontraktujące przyobiecały sobie w kwestyi głównéj — wschodniéj. Wrogiem — Anglia. Cesarz Aleksander I-szy, o którym potylekroć wymieniony vice kanclerz państwa z r. 1804, zastępca Woroncowa, pozostawił w pamiętnikach niepodejrzane świadectwo, że długi czas przed wojną i po wojnie pozostawał w zupełnéj zgodzie z przyjętym programatem usamowolnienia ludów, nie potrzebował zbyt kunsztownéj wymowy Napoleona dla uwierzenia, że przewaga i nadużycia Wielkiéj Brytanii na morzach istotnie czynią z niéj groźną zaporę dla szczęścia i pomyślności świata. W wojnie tedy Francyi z Anglią Rosya, wystąpi z rozjemstwem zbrojném, zgóry najdokładniéj określoném i we wszystkich onego fazach drobiazgowo przewidzianém. Wnet po ratyfikacyi przymierza franko-rosyjskiego gabinet londyński otrzyma z Petersburga zawezwanie do zawarcia z Francyą pokoju na warunkach następujących: pawilony wszystkich mocarstw używać powinny równéj i zupełnéj niezawisłości na morzach; Anglia zwróci wszystkie od r. 1805 dokonane zdobycze w koloniach francuskich, hiszpańskich i holenderskich, w zamian zaś za to, cesarz Francuzów odda jéj Hanower. Gdyby do d. 1-go listopada 1807 r. Anglia pośrednictwo Rosyi odrzuciła, lub przyjąwszy, nie była skłonną do traktowania na warunkach wskazanych, gabinet petersburski wystąpi z *ultimatum*, a jeśliby i to nie skutkowało, ambasador rosyjski zażąda paszportów i wojna się rozpocznie... W téj to dopiéro chwili przymierze rozwinie całą zasobność swych środków. Nic dość, że Francya i Rosya wszystkiemi swojemi siłami zbrojnemi, rozpoczną walkę z nieprzyjacielem wspólnym, lecz zniewolą Europę do połączenia się z ich sprawą; o ile bowiem Anglia nie przypuszcza neutralności na morzu, o tyle téż sprzymierzeńcy tolerować jéj nie mogą na lądzie. Dotychczas jedno mocarstwo wielkie, Austrya, oraz trzy drugorzędne, lecz doskonale uzdolnione do zapasów na morzu, Szwecya, Dania i Portugalia, pozostały jeszcze na uboczu lub trzymają się strony Anglii; zawezwane więc one zostaną do natychmiastowego zamknięcia swych portów przed handlem angielskim, — do odwołania ambasadorów z Londynu i wypowiedzenia wojny wyspiarzom wielkobrytańskim. W razie oporu nastąpi egzekucya wojskowa, która, w pewnych razach będzie nietylko bezpośrednią, lecz i pośrednią: zmusi się Danię, aby zbrojnie zmusiła Szwecyę do wspólnéj akcyi przeciwko Anglii...

Jednego tu jeszcze tylko braknie warunku: kto będzie zmuszał państwo, powołane do zmuszania Danii, aby zmusiła Szwecyę...

Równolegle z rozjemstwem Rosyi (w wojnie Francyi z Anglią) iść ma rozjemstwo Francyi w wojnie Rosyi z Turcyą. Za wdaniem się cesarza Francuzów nastąpi nad Dunajem zawieszenie broni, rozpoczną się — pod przewodnictwem Francyi — rokowania pokój, nie wpierw atoli, aż wojska rosyjskie ustąpią z księstw naddunajskich... Gdyby zaś w ciągu trzech miesięcy od rozpoczęcia rokowań „nie doprowadziły one do pożądanego skutku (jakiego mianowiwicie? i przez kogo pożądanego?), Francya przystąpi do wspólnego działania z Rosyą przeciwko Porcie ottomańskiéj i dwie wysokie umawiające się strony porozumieją się z sobą w przedmiocie usunięcia z pod jarzma tureckiego (na rzecz czyją?) wszystkich prowincyi państwa ottomańskiego w Europie, z wyjątkiem Konstantynopola i prowincyi rumelijskiéj — *la ville de Constantinople et la province de Romélie exceptées*" (art. 8 tajnego traktatu przymierza)... I tyle tylko. Owóż, w pięć miesięcyi późniéj, ciekawy ów podział Turcyi wciąż jeszcze wisiał w pierwotnéj pustce powietrznéj, wtedy gdy Rosya ponosiła już wszystkie ciężary swojego zerwania z Anglią. Wojska rosyjskie nie opuszczały wprawdzie księstw naddunajskich, ale též i w instrukcyach do ambasadora francuskiego w Petersburgu (zacząwszy od pierwszéj, z d. 12 listopada 1807 r.) czytamy z tego powodu: „Cesarz Napoleon wymaga kompensaty, którаby pod względem ludności, bogactw i zasobów wszelkich równała się dwom prowincyom tureckim, zatrzymanym przez Rosyę wbrew ugodzie tylżyckiéj"... Gdzież téj kompensaty szukać teraz miano? Oczywiście, w ziemiach „pruskich".

Po bitwie friedlandzkiéj i poddaniu się Królewca, kiedy z całéj monarchii Fryderyka II-go „pozostała jedna tylko uboga nadmorska mieścina" (Kłajpeda), dokąd, w trwającéj od kilku tygodni ucieczce, schronił się król Fryderyk Wilhelm z rodziną, los Prus stanowczo rozstrzygnięty był w umyśle Napoleona: wymazane one być miały „na zawsze i bez śladu" z karty Europy. Nieubłagany zwycięzca zawczasu rozbiór ich uplanował: ziemie na lewym brzegu Łaby odejdą od nowoutworzonego królestwa Westfalii; kraje nadodrzańskie zabierze król saski; z tak zwanych Prus „południowych" (późniejsze Księstwo warszawskie), w połączeniu z Galicyą (wytargowaną *in petto* od Austryi w zamian za księstwa naddunajskie lub za Szląsk), utworzą „najdalszą na wschód wojenną placówkę Francyi"; nie wiedział tylko jeszcze nowy Cezar co począć z resztą: z Pomorzem „szwedzkiém", z Brandeburgiem, z Prusami „staremi" (książęcemi, lennemi, wschodniemi, albo téż, jak je zwano na dworze cesarzowéj Elżbiety Piotrówny w czasie

wojny siedmioletniéj — „królewskiemi"). W główném kwaterze Napoleona niezmiernie dużo liczono pod tym względem na „geograficzną przenikliwość" Austryi, któréj statecznym orędownikiem był sam „półwszechmocny" Talleyrand. Zaraz po bitwie pod Eylau Napoleon pisał do swego ministra: „Spokój Europy wtedy dopiéro ustalony zostanie, kiedy Francya i Austrya, lub też Francya i Rosya iść będą razem. Ofiarowałem się z tém pokilkakroć Austryi, ofiaruję się raz jeszcze. Możesz pan stanowczo oświadczyć pełnomocnikowi naszemu w Wiedniu, że upoważniony jesteś do podpisania ewentualnéj w tym sensie ugody" (Vandal, I, 38). A kiedy się Austrya ociągała, licząc na coraz szerzéj zaogniającą się walkę Francyi z Rosyą, cesarz nie przestawał upominać dyplomatów wiedeńskich, „ażeby rachub swych nie układali podług wzorów pruskich z epoki Austerlitzu i Jeny"... Wtedy to również wyrwać się miał z ust Napoleona głośny wykrzyknik strategiczny: „Ach, czemuż nie jestem arcyksięciem Karolem!..." Rzeczywiście, nie powtórzyła się już późniéj ani razu sytuacya, w któréjby Austrya taniéj i z pewniejszym skutkiem odzyskać mogła swe „wrota szląskie". Ale trudno: czego wziąć nie chciał jeden, to, być może, przyda się drugiemu. W Tylży cesarz Napoleon od pierwszego słowa zawezwał Rosyę do podziału spuścizny pruskiéj — po połowie, a nawet i więcéj. Ale i tu spotkał zawadę... „Interes Francyi na tém polegał—pisze pesymistyczny ciągle Sołowiew—ażeby w Niemczech nie istniały państwa niezależne... W tym celu Napoleon podsunął cesarzowi Aleksandrowi „przynętę": zabrać sobie całe Prusy wschodnie do Wisły. Późniéj, wystąpił z większą jeszcze przynętą: zabrać wszystkie prowincye polskie, wchodzące poprzednio w skład monarchii pruskiéj, wraz z tytułem króla polskiego... Cesarz Aleksander odmówił" (str. 153). Nie przyjął też cesarz i kawałka ziemi pruskiéj—„nader wygodnego w istocie" (dodaje Sołowiew) — który na prawym brzegu Niemna, od jego ujścia ciągnie się wzdłuż morza do Kurlandyi, z przystanią Klajpedy; jeżeli zaś zgodził się na przyłączenie obwodu białostockiego, to jedynie z uwagi, że okrawek ten należał do systemu podziałowego z r. 1795 i należycie zaokrąglał zachodnią granicę państwa, niedogodnie zarysowaną przed dwunastu laty. Nie o Rosyę zresztą chodziło w danym wypadku... Dla ocalenia choćby tylko samoistnéj nazwy Prus, okrojonych przez Napoleona do niepoznania, cesarz Aleksander posunął swą bezinteresowność jeszcze daléj. Nie dość, że uznał zmiany dokonane w ostatnich latach przez Francyę w Niemczech, Włoszech, nad Adryatykiem, ale też dla uzupełnienia niektórych z tych nabytków zrzekł się nawet swych praw do kilku dziedzicznych posiadłości w środkowéj Europie, upoważnił do dalszych przeobrażeń w tymże

kierunku, przyzwolił w zasadzie na protektorat Francyi nad Hiszpanią i t. p. Za cenę zaś tych to właśnie ustępstw, Prusy utrzymały przy sobie „perłę” nabytków Fryderyka II-go: Szlązk górny i dolny, a w dodatku — jeszcze i „nowy” — jak powiedziano w traktacie pokoju dla oznaczenia zapewne pasma ziemi poznańskiéj, oderwanéj od Księstwa Warszawskiego w tym celu, ażeby jakośkolwiek skleić cypel południowy—właściwie szlązki z północnym brandeburskim trzonem pruskiego państwa.

Z początku, Napoleon na żaden sposób nie umiał sobie wytłumaczyć wygórowania wspaniałomyślnéj wytrwałości, z jaką cesarz Aleksander bronił moralnego i terytoryalnego dostojeństwa monarchii Hohenzollernów. Wzniosłe zasady 1804 roku?... Ależ trafność stosowania ich do Prus ujawniła się najdokładniéj w wypadkach austerlitzkich. Konwencya bartensteinska z d. 26 marca 1807?...—Ależ zapłacono za nią aż nadto drogo pod Friedlandem. Uspokoił się nieco wielki wojownik dopiéro wtedy, gdy się dowiedział o kilku szczegółach biograficznych i psychologicznych, zaciągniętych do kroniki tych czasów. Po sobie sądząc, nie przypuszczał w podobnych incydentach uporczywych zboczeń od prostéj i twardéj racyi stanu. Ponieważ mocno trzymał Prusy w ręku, ponieważ obłożyć je miał kontrybucyami do wysokości dowolnéj i w przyszłości dopiéro wyraźniéj oznaczyć się mającéj, ponieważ dobrze wpierw zaopatrzył zdobyte fortece swojemi załogami, więc—myślał—w takich warunkach nie trudno odebrać z czasem to, co się oddało obecnie wbrew przekonaniu. Chwilowy kaprys weźmie zapłatę w zdawkowym drobiazgu. Parę powiatów nad Drwęcą lub Notecią — odstępstwo to od reguły nie wielkie. Co innego z darowizną na rzecz Prus kawałeczka jeszcze lewobrzeżnéj ziemi nadłabskiéj, z Magdeburgiem może... Daremne były w tym punkcie wszelkie próby, zabiegi, intrygi przyboczne, daremnie w tych widokach namówiono nawet królowę Ludwikę do zjawienia się w Tylży. Napoleon chętnie przyklasnął zdaniu swojego otoczenia, że królowa była „divinement belle,” zdobył się dla niéj na parę wykwintnych komplementów, a przepraszany przy pierwszéj wizycie za to, że się wdrapywać musiał po lichych schodach domku, zajmowanego przez parę królewską, odrzekł z rodzajem przyzwoitego sentymentu, że „wiele człek robi dla dopięcia t a k i e g o celu;” wszakże już w dniu następnym, gdy o Magdeburg potrącono—różę tylko podać mógł w zamian. Szczerym i rzetelnym pozostał w ciągu niezwykłéj téj scenery; przy pożegnaniu, kiedy mu królowa, ze łzami w oczach wyrzucała zawód i upokorzenie, uległ na jedną sekundę wzruszeniu, zadumał się głębiéj niż zwykle —

ale odparł z powagą smętną: „*Vraiment, Madame, je suis à plaindre, c'est un effet de ma mauvaise étoile..*" Zła gwiazda!—gwiazda co w Tylży gorzała jaśniéj i wspanialéj od tych wszystkich, jakie kiedykolwiek na widnokręgu dziejów powszechnych zapalały się nad głowami śmiertelników. A jednak, w rzeczy saméj, najmniejszéj nie ulega wątpliwości, że właśnie nad Niemnem i w r. 1807 skupiły się grube i ciemne owe chmury, w których owa gwiazda napoleońska niknąć poczęła, aż nareszcie zgasła. Każdy z historyków podziśdzień po swojemu tłumaczy to zjawisko: niemieccy—naturalnie—źródeł onego poszukują w nadużytém pognębieniu Prus; rosyjscy — w podstępnie i fałszywie zapoczątkowanéj kwestyi wschodniéj; francuscy — w nienormalném postawieniu się do Austryi, z którą we dwa lata późniéj przyszło do zbytecznego tym razem zatargu; wszyscy razem wreszcie — zwalają odpowiedzialność na niedorzeczną kampanię hiszpańską, pomimo, że najprościéj, najlogiczniéj wypływała ona z ogólnych założeń walki z Anglią,—z naczelnéj dźwigni napoleońskich rzutów i ruchów, bez których samo nawet istnienie Napoleona byłoby hypotezą czczą i dziwaczną. Bądź co bądź—rok 1807 dotąd pozostał szaradą dziejową. Nie kusząc się o jakieś nowe odkrycie w literaturze, składającéj się obecnie z kilkudziesięciu tysięcy — co najmniéj — arkuszy druku, zwrócimy tylko cierpliwą uwagę czytelnika na parę okoliczności bezpośrednio kojarzących się z pierwszém rzeczywistém, zaaktykowaném w Tylży, przymierzem franko-ruskiém.

W tym samym roku co prace Tatiszczewa i Vandala (tom pierwszy), wyszły téż i pamiętniki Talleyranda, nie użyte więc w wywodach rzeczonych pisarzy. Nie zawierają one nic szczególnego — nic bezwzględnie, oprócz może lekkiego tu i owdzie odcienia do zarysu wypadków głównych, oprócz wątłéj, nikłéj nieraz do ich kolorytu barwy. Po odjeździe Napoleona z Tylży wśród zapewnień, że kwestye nie doprowadzone do *z*, lub omówione zaledwie przez *abc*, rozstrzygnięte zostaną bądź w drodze korespondencyi dyplomatycznéj, bądź w czasie nowego zjazdu monarchów sprzymierzonych („w Paryżu lub gdzieindziéj," jak zachęcająco wyraził się cesarz Aleksander), narady nad Newą i nad Sekwaną, oraz depesze stąd i stamtąd, bez przerwy krzyżowały się dokoła dwu głównie przedmiotów. Gońcy wschodni pędzili na zachód wyłącznie niemal z zapytaniami jednostajnemi kiedyż nareszcie nastąpi ewakuacya Prus, lub też czy rzeczywiście Francya zamierza z kontrybucyi, uczynić owo „arcydzieło zniszczenia," które wyrzucony z Tylży Hardenberg tak nie w porę przewidział? — Napoleon się żżymał, wyprawiał przed hr. Piotrem Tołstojem manifestacye, od których niekiedy trzęsły się szyby w Tuileryach, ale ostatecznie go-

dzić się musiał z nieugiętym jak skała ambasadorem, że na mocy traktatu tylżyckiego Rosya ma istotnie prawo wtrącania się do tych zagadnień. Wówczas rzecz się skręcała na dalsze poboczne tory: „Czego Rosya chce naprawdę?—wywodził Cesarz. Czemu nie bierze Finlandyi? A może chodzi o Szwecyę? — Bierzcie Szwecyę, choćby i ze Sztokholmem...” Stokroć draźliwszą jeszcze była pozycya Caulaincourta w Petersburgu. Sprawa podziału Turcyi, „z wyjątkiem Konstantynopola i prowincyi rumelijskiéj” stała na pargaminie jak wół. Tymczasem Napoleon ani myślał otrząsnąć się z olśnienia, jakiego nabawili go Turcy w przeddzień bitew pod Pułtuskiem, Eylau, Friedlandem—dawszy taką Anglikom odprawę z pod Carogrodu, że dumni wyspiarze nie zapomnieli o niéj i w r. 1896. Szeroko mówiono o tém w swoim czasie. W wiekuistym sporze nad Bosforem pełnomocników dwu mocarstw zachodnich, przegrał w r. 1807 wielkobrytański, sir Arbuthnot i zwyczajem utartym na podobne wypadki, nie mogąc Porty przeprzéć słowami, odwołał się do eskadry admirała Duckwortha na morzu Śródziemném. Duckworth sforsował Dardanele, wpadł przed Carogród, rozwinął swe okręty do boju i zażądał natychmiastowego wypędzenia posła Francyi, oraz zerwania sojuszu z Napoleonem. Turcy ufali Napoleonowi. W mgnieniu oka wzniosły się wysokie szańce, na których zabłysło dział trzysta. Sir Arbuthnot zabrał się do narad z Duckworthem. We dwóch, dokładnie przypomnieli sobie hasło wielko-brytańskie: „Carogrodu nikomu nie dać, ale téż i pod żadnym pozorem dla siebie go nie zdobywać.” Zwinięto więc chorągiewki i napastnicy ku powolnemu odwrotowi się mieli... Odwrót przyspieszyły jednak bomby, wśród siarczystego ognia bateryi tureckich, flota angielska wymknęła się ze stratami, o których głucho w doniesieniach urzędowych... Niech-że teraz osądzi kto chce i może, czy podobna było tak dzielnego towarzysza broni wystawiać — bez głębokiego namysłu—na nieubłagane skutki sekretnych stypulacyi tylżyckich? Nie dziw przeto, że gońce zachodni codzień niemal galopowali do Petersburga, z pakietami, w których Caulaincourt pod postacią tysiącznych waryacyi, jeden wciąż wyczytywał rozkaz: „W pertraktacyach o podział państwa Ottomańskiego, powinieneś pan starać się o z y s k a n i e n a c z a s i e, d o k ł a d a j ą c w s z e l k i é j s z t u k i, ażeby owe odraczania z dnia na dzień nie raziły zbyt przykro dworu petersburskiego” (instrukcya z dnia 16 stycznia 1808). Caulaincourt sztuki dołożył tyle, że jéj arabeski dyalogowe i notatkowe zajmują dziś dobrą czwartą, a może i trzecią część dzieł Vandala i Tatiszczewa. Gadał i gadał. Teoretycznie—mogłoby to prawdopodobnie służyć do czegokolwiek. Bo i cóż tu np. zarzucić memoryałowi z d. 9 marca 1808, spisanemu przez Caulaincourta

ze słów kanclerza Rumiancewa: „W przypuszczeniu mniejszego podziału, Rosya mieć będzie Multany, Besarabię, Wołoszczyznę, Bułgaryę; Francya — Albanię, część Bośnii, Moreę, Kandyę; Austrya — Kroacyę i część Bośnii; Serbia będzie niezależną" i t. p. „W przypuszczeniu zaś większego podziału, Rosya otrzyma Multany, Besarabię, Wołoszczyznę, Bułgaryę i część Rumelii z Carogrodem, Francya — Bośnię, Albanię, Moreę, Kandyę, Cypr, Rodos, Syryę, Egipt; Austrya Serbię i Macedonię, do morza, z Saloniką... Trzy mocarstwa należące do podziału urządzą wspólnemi siłami wyprawę do Indyi, przyczém Rosya nie żąda osobnego wynagrodzenia w Indyach za współudział" etc. (Tatiszczew, 349, 350). Atoli, w gruncie rzeczy, ze stanowiska tegoczesnéj, źródłowo oświetlonéj świadomości historycznéj, projekt ten (z powodów jednakże wręcz odmiennych) nie wiele się różnił od logomachii Hardenberga, który w Tylży, w imieniu Prus pobitych i „już" lub „jeszcze" nie istniejących, zgłosił się był do Rosyi z planem całkowitego przebudowania Europy: „Rosya weźmie część Księstw naddunajskich, Bułgaryę, Rumelię, Cieśniny: Austrya, po odzyskaniu Dalmacyi połączy z nią Bośnię i Serbię; dawne posiadłości Rzplitéj dostaną się królowi Saskiemu, który Prusom ustąpi swe kraje dziedziczne; Francya zagarnie archipelag, Grecyę" i t. d. (Vandal, I, 71; Sołowjew, 159).

W sumarycznćm zestawieniu Talleyranda, przedstawia się to wszystko realniéj jakoś, traci cechy fantasmagoryczne. W styczniu 1808, na jednćm z przyjęć w Tuileryach (powiada on w treści), Napoleon zbliżył się do hr. Tołstoja, odprowadził go na stronę i w rozmowie ogólniejszéj, napomknął niby od niechcenia, jakąby to korzyść osiągnęła Rosya z ulegalizowanego posiadania Multan i Wołoszczyzny. Jednakże—dodał natychmiast — Francya musiałaby otrzymać niejakie wynagrodzenie, Szlązk np. bardzoby jéj był na rękę... Wydawało się wtedy Napoleonowi, że placówki jego, rozrzucone wzdłuż Europy środkowéj, nie są dość spoiście z sobą powiązane. Nadwiślańska np., oddzielona od nadodrzańskiéj przesmykiem szlązkim, który przerzynała wąziutka tylko droga wojenna, w Tylży zastrzeżona,—placówka ta wyglądała zanadto samotnie, jak gdyby odcięta... Tołstoj, zaznaczywszy tylko, że Szlązk do Prus należy, zdał sprawę z rozmowy Cesarzowi Aleksandrowi, który za widzeniem się z Caulaincourtem rzekł doń z nadzwyczajną żywością: „Nie rozumiem waszego Cesarza! Chodziłożby o rozdarcie traktatu tylżyckiego? Zamiast zastosować się ściśle do obietnic w Tylży (ewakuacya Prus, zmniejszenie kontrybucyi etc.), Napoleon stwarza nowe kłopoty; pragnie chyba skompromitować mię w oczach Europy... Zobowiązania się tylżyckie stanowią dla mnie rzeczywiście punkt honoru". Napoleon nie nastawał. W d. 2 lutego wy-

stosował własnoręczny list do Cesarza Wszechrosyi zawierający: 1) osłonięte, niewyraźne zrzeczenie się widoków na Szląsk; 2) nowy szkic podziału Turcyi; 3) zgruba skréśloną marszrutę wspólnéj wyprawy do Indyi... Francuzi pójdą przez Konstantynopol, Rosyanie przez Azyę środkową, a spotkają się z sobą gdzieśkolwiek na równinach Merwu... W rozprawach nad tym to problematem dociągnęło się aż do końca sierpnia 1808, bez innych następstw praktycznych, oprócz wkroczenia wojsk rosyjskich do Finlandyi, zgodnie z porozumieniem tylżyckiém—i okrom zalania Hiszpanii przez wojska francuskie, niezupełnie z porozumieniem owém w zgodzie.

Zwikłały się wypadki, zasępiły się czoła. Ufność Cesarza Aleksandra zachwiana nieco, bynajmniéj przecież — jak zapewnia Talleyrand—podkopana nie była. I w tych to warunkach nastąpił w d. 27 września zjazd w Erfurcie, na który Napoleon zaprosił i Talleyranda, pomimo, że książe Benewentu żadnéj już godności czynnéj nie piastował. Ale ponieważ zjazd zapowiadał niemało delikatnych wątpliwości, w których caulaincourtowskie „dokładanie sztuki" stawało się nieuniknioném, Napoleon przezwyciężył w sobie wstręt do przebiegłego ex-ministra i powierzył mu poufną rolę redaktora i korektora postanowień monarszych. Talleyrand przyjął — i choć w pamiętnikach nie wyznaje wyraźnie, czy przyjął w zamiarze pogrzebania aliansu i umów tylżyckich, to wszakże wniosek taki wypada sam przez się. Oprócz szeregu zdarzeń późniejszych, stanowczo dowiedzionych i znanych, potwierdza się to jeszcze innóm źródłem talleyrandowskiém: urzędową relacyą Metternicha, austryackiego ambasadora w Paryżu, z dnia 4 grudnia 1808 r., spisaną ze słów dyplomaty francuskiego, który sprzeniewierzył się snadź w Erfurcie swéj maksymie, że język dany jest dla ukrycia myśli — i wyspowiadał się przed austryackim mężem stanu, z pewnéj misyi Napoleona, obróconéj w ten sposób, że się o nią rozbiły: i przyjaźnie i traktaty i „tony" i półtony. Oto jest osnowa opowieści Metternicha:

Po zawarciu w d. 12 października (w Erfurcie) nowego przymierza, wieczystego i najściślejszego... *„l'alliance de plus en plus étroite et à jamais durable"* (Finlandya—Hiszpania—księstwa naddunajskie), po wymianie zapewnień najuroczystszych, po ucztach, przedstawieniach, balach i dyskusyach naukowych, ułożonych zawczasu, a drobiazgowo obliczonych na podziw książąt, historyków, poetów, literatów ściągniętych z całéj środkowéj Europy, Napoleon uważał nareszcie za możliwe przystąpić do kwestyi zaprzątającéj go nader żywo od daty zdecydowanego rozwodu z cesarzową Józefiną. Wybór jego—pisze Tatiszczew na podstawie wzmiankowanego sprawozdania Metternicha

(str. 454)—padł na siostrę cesarza Wszech-Rosyi, w. ks. Annę. Talleyrand, z polecenia swego władcy, zbadać miał usposobienie i zamiary sprzymierzonego monarchy na wypadek formalnych oświadczyn... Wyobraźmyż sobie zdziwienie cesarza Aleksandra, gdy z ust posła, zamiast oczekiwanych pochwał przyszłemu szwagrowi, sypnęły się słowa téj treści: — „I pocóżeś tu przybył, Najjaśniejszy Panie? Europa oczekuje od W. C. Mości ratunku i wybawienia z rąk nienasyconego Napoleona, nie zaś zachodzenia z nią w koligacye. Naród francuski — nie zaś jego władzca — jest ucywilizowanym; władzca Rosyi ożywiony jest duchem wolności, postępu, oświaty; naturalnym zatém sprzymierzeńcem cesarza Wszech-Rosyi jest Francya, nie zaś Napoleon..." Poczém Talleyrand (zawsze według relacyi metternichowskiéj u Tatiszczewa) roztoczył przed cesarzem Aleksandrem jaskrawy obraz zaślepienia Napoleona: nic go nie nasyci, nic go nie zadowolni — miara oddawna przebraną została — granice Renu, Alp, Pirenejów, to naturalne nabytki Francyi, reszta owocem zaborczéj ambicyi Napoleona...

W Pamiętnikach Talleyranda nie znajdujemy (czy można dodać „naturalnie"?) żadnéj o téj scenie wzmianki. Książę Beneventu wyznaje tylko—i to jest jego promyk oświetlający widownię—że każdego dnia, po powrocie z teatru, widywał się z cesarzem Aleksandrem u księżnéj de la Tour, niekiedy u Caulaincourta, czasami u siebie. Monarcha komunikował dyplomacie treść swych rozmów z Napoleonem, pokazywał własnoręczne jego bruliony i t. p. Pamiętnikarz daje zarazem do zrozumienia, że w tych pogadankach—ostrożnie, powoli, kropla po kropli wléwał do duszy monarszego swego współbiesiadnika roczyn zwątpienia i nieufności do Napoleona, zwłaszcza od chwili, gdy się od Caulaincourta dowiedział, iż główną treścią narad cesarskich — obok rozbioru Turcyi — jest podkopanie Austryi, która w oczach Talleyranda uchodziła zawsze (to mu trzeba przyznać) za węgielny kamień równowagi europejskiéj... Czytamy wreszcie w jednéın miejscu pamiętników (t. I, str. 434) dosłownie: „Cesarz Aleksander nie przestawał odwiedzać księżnéj de la Tour. Od niejakiego czasu był zafrasowany, obciążony myślami, z tego powodu usiłowałem rozmowom naszym nadać obrót o ile możności wesoły *(frivole)*. Pewnego dnia powołałem się na „Mitrydata", przedstawionego na scenie, a to w celu zwrócenia uwagi na kilka ustępów téj sztuki, mogących dostarczyć porównań, aluzyi... Zacytowałem nawet parę wierszy dla pani de la Tour. Ale efekt był chybiony. Cesarz oświadczył, że boli go nieco głowa i wyszedł. Rzekł mi wszakże na pożegnanie: do jutra... Ponieważ każdego rana widywałem Caulaincourta, spytałem go przeto, czy nie spo-

strzega, że cesarz Aleksander traci znacznie na humorze, staje się oziębłejszym... Caulaincourt nie podzielił tego przekonania. Zapewnił mnie, że się mylę, że cesarz rosyjski jest wprawdzie zakłopotany, lecz zapał jego dla Napleona nie zmniejszył się wcale..."

Owóż, mylił się nie kto inny, tylko Caulaincourt. Sam się on o tém przekonał niebawem, w trakcie rozmaitych rokowań: podczas wojny z Austryą 1809 r., z okoliczności zagadkowych nieporozumień, zatytułowanych u Vandala *autour d'une phrase* (II, 354 i nast.), przedewszystkiém zaś w przebiegu sławnéj alternatywy swadziebnéj. Historyk francuski, dotarłszy w Petersburgu do wiązki nieznanych dotąd listów Talleyranda z okresu już po erfurckiego, gorliwie i skrzętnie usiłuje, na ich podstawie, zdobyć tajemnicę pytania: i kiedyż to właściwie nastąpił ostateczny w przymierzu przełom, kiedy w powodzi spraw przed chwilą wymienionych, od r. 1808 do 1810, rozbił się i zatonął związek tak świetnie w Tylży się zapowiadający? — Spóźnione zachody! Cała owa powódź, wraz ze zdumiewającemi swemi niespodziankami i zasadzkami,—wszystko to należy już do skutków; co zaś do przyczyn, zostały one przez Vandala przeoczone (z winy p. Bacoura i opieszałości ks. Brogliego, wydawców Talleyranda) przy opisie uroczystości w Erfurcie.

Prawdzic.



O ŻYCIU KOMÓRKI.[1]

Życie objawia się w sposób bardzo rozmaity; raz porusza swém promiennném tętnem drobną grudkę śluzu, maleńką kroplę protoplazmy, któréj oko nasze, niedostateczny przyrząd optyczny, spostrzédz nie zdoła, — kiedyindziéj wstępuje w olbrzymie masy złożone z miliardów, z nieskończonych miliardów komórek, obdarzonych przeróżnemi czynnościami i w najrozmaitszy sposób ukształtowanych.

Komórka jest najmniejszą istotą, mogącą żyć samodzielnie, jest najdrobniejszą cząstką materyi, najniższym szczeblem organizmu. Verworn nazywa ją pierwiastkowym organizmem. Te najdrobniejsze cząstki morfologiczne, które odróżniamy pod mikroskopem, we wszystkich roślinach i zwierzętach, są rozmaitemi rodzajami i odmianami jedynego zasadniczego organu: komórki. Wszystkie zatém organizmy są zbudowane z komórek. Czynności życiowe roślin, zwierząt, nawet człowieka są rezultatem działalności tych drobnych istot: kropla krwi zawiera ich miliony, każdy włos, każdy okrawek materyi organicznéj

---

1) W niniejszéj pracy, opartéj przeważnie na nowszych badaniach, wśród których pierwszeństwo oddaję Verwornowi, autorowi fizyologii ogólnéj i A. Gautier'owi znanemu chemikowi francuskiemu,—nie mam bynajmniéj zamiaru wszechstronnie przedstawić lub wyczerpująco, życie komórki. Temat ten obejmuje całą biologię i fizyologię zarówno jak chemię biologiczną i fizyologiczną. Ze swego stanowiska chemiczki, zajęłam się tu przeważnie stroną chemiczną kwestyi, opracowując ją w głównych tylko zarysach, o biologię potrącając o ile tego wymagała jasność przedmiotu i uprzystępnienie całości. Przyp. aut.

składa się z ich nieskończonéj liczby. Komórki, budujące organizmy, żyją życiem wspólném, ale mogą żyć także całkiem samodzielnie i samotnie. Takich jednokomórkowych organizmów znamy mnóstwo, a odmian jest ich również ilość niepomierna, to też Haeckel pojął całą trudność w rozklasyfikowaniu tych drobnych istot między rośliny i zwierzęta i zamknął je w osobnym zupełnie dziale, który nazwał królestwem pierwotniaków.

Komórka jest kropelką śluzowéj, miękiéj, półprzezroczystéj i bezbarwnéj materyi zwanéj protoplazmą. Brown odkrył w niéj krągłe ciało, bardziéj światło załamujące i przez to uwidoczniające się wyraźnie w jéj wnętrzu. Ciałko to nazwał jądrem. Z początku sądzono, że jądro jest przywilejem samych tylko komórek roślinnych, lecz późniejsze badania stwierdziły istnienie jego we wszystkich komórkach. Mniemano jednak przez długi czas, że bakterye stanowią tu wyjątek, gdyż istotnie protoplazmatyczna ich masa, nie przedstawiała, mimo obserwacyi i doświadczeń, żadnych zróżniczkowań, i dopiéro w ostatnich latach (Bütschli) za pomocą starannego niezmiernie barwienia, odkryto w bakteryach budowę bardziéj subtelną. Zauważono wówczas że część komórki zabarwia się, gdy część nie podlega działaniu barwników. Ta część barwna jest jądrem, zarysowującém się w ogóle w najrozmaitszych postaciach: jestto raz krągła kropelka błyszcząca, to znów nić długa, wyprostowana, spiralnie skręcona, ułożona w rozetkę, lub pasmo długie i szerokie, rozciągnięte nieledwie na całą komórkę.

Komórka zatém jest kroplą protoplazmy ze środkiem zwanym jądrem; prócz niego, przy pomocy dobrego mikroskopu zauważyć w niéj możemy ziarnka barwnikowe, kropelki oliwy, kryształki, błonę otaczającą komórkę — wszystkie te dodatki odegrywają rolę podrzędną w obec dwu jéj najważniejszych składników: protoplazmy i jądra. Kształt komórki bywa nad wyraz urozmaicony; typowy kształt jéj jest krągły, ale w tkankach gdzie zbiéra się wiele komórek, przez wzajemne ciśnienie tracą one ten kształt pierwotny i stają się wielościennemi. Pełzak (Ameba), najprostsza istota jednokomórkowa, złożona z nagiéj protoplazmy, pozbawiona błony, tamującéj zazwyczaj ruchy, przybierać może tysiączne kształty, i zmieniać je może nieustannie: to się skurcza, to wydłuża, to wypuszcza ze siebie szerokie smugi zarodzi to znów wciąga je nazad, w głąb swéj masy. Słynna jest zresztą różnorodność kształtów pierwotniaków i bakteryi. Komórka jest najczęściéj bardzo drobna: kilka tysiącznych milimetra, kilka milimetrów, oto jéj wielkość; mamy jednak bardzo wielkie komórki w nerwach, gdzie długość ich sięga czasem kilku metrów

w mięśniach, a u niektórych wodorostów (Cauterpa) komórki są wielkości liści.

Zawartość komórki jest płynna, wszak pełzak może się wydłużać, skurczać i rozmaicie zmieniać kształty, a znajdujące się wewnątrz komórek bańki tętniące, małe pęcherzyki pełne wodnistéj protoplazmy, wychodzącéj kropelkami pod naciskiem, dowodzą także że protoplazma jest materyą ciekłą. Spotykamy naturalnie komórki o zawartości tęższéj, gęściejszéj, nie zmienia to jednak ogólnego prawa płynności materyi żyjącéj; od téj płynności, jak zobaczymy późniéj, zależą najważniejsze własności życia.

Chcąc poznać skład chemiczny materyi żyjącéj, powiada Verworn [1]), musimy ją uśmiercić; metoda ta, wydaje się na pozór paradoksem, za życia jednak, nie możemy rozbierać chemicznie tych istot, i jedyną drogą, jaka nam pozostaje, jest uskutecznienie tego badania po ich śmierci. Skład materyi nie żywéj, zawyrokuje nam o budowie istot żyjących. Przekonano się tym sposobem, że pierwiastki składające żywe istoty, są te same, które widzimy w świecie mineralnym — przedewszystkiém jednak węgiel, azot, tlen, wodór towarzyszący mu zazwyczaj, układają się w koło niego w rozmaity sposób, tworząc najważniejsze związki z których zbudowana jest materya żyjąca. Głównemi takiemi grupami ciał odrębnych są przedewszystkiém ciała białkowe, stanowiące niezbędne związki organizmu, bez których życie istnićć by nie mogło. Są to ciała o cząsteczce bardzo złożonéj i wielkiéj; cząstka ta jest tak wielka że nie pozwala tym związkom przesiąkać przez błony, co stanowi charakterystyczną ich cechę; w odpowiednich jednak okolicznościach, ciała białkowe mogą porozdzielać swe cząstki i przejść w odmianę o cząstkach mniejszych i łatwo przesiąkających. Prócz tych związków białkowych wchodzących w skład protoplazmy, w komórkach spotkać możemy jeszcze przeróżne tłuszcze i cukry, mające także nadzwyczaj dla niéj ważne znaczenie, a jądro tak samo jak protoplazma złożone jest z ciała białkowego zwanego nukleiną, w którém widzimy białko w połączeniu z kwasem fosforowym, lecz nie zawiera ani tłuszczów ani cukrów.

Komórka zatém choć tak niezmiernie mała, przedstawia skład chemiczny bardzo złożony i dojść może do bardzo wysokiego zróżniczkowania i doskonałości; wszak jądro, zawarte w nim często jąderko, bańki tętniące, ziarnka zieleni, są do pewnego stopnia organami komórki, pomagającemi jéj w różnych czynnościach życiowych i będące same nieraz miejscem różnych przemian i ciekawych objawów.

---

[1]) Allgemeine Physiologie—Jena, 1895.

Niezbędném zjawiskiem życia jest odżywianie; bez pożywienia żadna istota nie tylko nie jest zdolna do rozwijania się, do wydania potomstwa, ale wprost wszelkie czynności jéj życiowe ustają i następuje śmierć. Armand Gautier [1]) i inni powiadają, że życie jest nieustannym szeregiem dwu przeciwnych i antagonistycznych ruchów, z których jeden stanowi przyswajanie, drugi zaś rozkład. Arystoteles już zresztą to spostrzegł, twierdząc, że życie jest całokształtem trzech głównych procesów: odżywiania, wzrostu i rozkładu. Życie komórki jest życiem jéj protoplazmy, jéj jądra, jéj organów; każda w niéj cząstka podlega bezustannéj przemianie, wciąż się rozpada, wciąż się napowrót odradza. Przyswajanie i rozkład stanowią zatém podwójny ruch chemiczny, odbywający się w komórce i charakteryzujący życie.

Komórki zwierzęce i roślinne zdają sią odżywiać całkiem odmiennie, gdyż rośliny czerpią pokarm mineralny, który rozkładają na pierwiastki aby módz z tych najelementarniejszych ciał przerobić syntetycznie najrozmaitsze złożone związki organiczne; zwierzęta zaś przyjmują pokarm gotowy. Na mocy téj różnicy sądzono, że komórki zwierzęce i roślinne dadzą się rozpoznać. Przekonano się jednak, że zarówno tu jak tam odbywają się procesy syntetyczne i rozkładowe; w komórkach roślinnych tworzenie się mączki poprzedzone jest rozkładem dwutlenku węgla, a powstała mączka podlega znów rozkładom aby następnym mogła wydołać syntezom. Gdy widzimy wyraźnie procesy rozkładowe w komórkach roślinnych, to w zwierzęcych dopatrzéć możemy wielu przemian syntetycznych, i dla tego mimo ważnych różnic nie możemy zbudować ścisłych granic między temi dwoma rodzajami komórek. Różnice występują wyraźniéj, skoro porównamy komórkę zwierzęcą z roślinną zawierającą ziarnka zieleni, gdyż chlorofil jest przywilejem świata roślinnego; ale i tu spotkamy trudności w rozklasyfikowaniu komórek grzybnych np., nie zawierających zieleni, przyswajających na wzór zwierząt białko i inne pokarmy gotowe przy odżywianiu roślinném, czerpaném z gruntu; w świecie drobnoustrojów spotykamy znów bakterye nitrowe, badane przez Winogradzkiego, budujące swe ciało z materyi mineralnych a rozkładających jak rośliny dwutlenek węgla, mimo braku chlorofilu. Wreszcie u rozmaitych wymoczków i wirków, zaliczonych obecnie do świata zwierzęcego, widzimy chlorofil, a Bequerel znalazł ziarnistą zieleń w ciele niektórych owadów (rostręty).

---

[1]) La chimie de la cellule vivante. A. Gautier, Masson éditeur; Landerson, Physiologie du protoplazma, Revue scientifique 1890,

Sposoby, za pomocą których komórki odżywiają się, są nad wyraz rozmaite, o tyle rozmaite, o ile rozmaitém jest samo życie.

Pożywienie komórki musi być w większości wypadków płynne, gdyż bardzo mało komórek jest uzdolnionych do przyjmowania stałego pożywienia z powodu błony, którą większość jest otoczona. Przez tę błonę pokarm w stanie płynnym musi przesiąkać, aby wejść do środka, a związki nie przechodzące przez błony, muszą się wpierw zamienić na odmiany przesiąkające, mogące być przyswojonemi, bezpośrednio obmywając powierzchnię komórkową. Komórki złożone z nagiéj protoplazmy, prócz płynów mogą przyjmować pokarm w formie stałéj, taką wybitną komórką jest pełzak (Ameba), lub białe ciałko krwi połykające drobniejsze od siebie ustroje. Pełzak wyciąga szerokie swe nibynóżki do zbliżającego się do niego wymoczka, otacza go niemi, manewruje wszelkiemi sposobami, żeby mocno go uchwycić, zaléwa go swą masą protoplazmatyczną, wciąga go wewnątrz swego ciała. Leukocyty czyli białe ciałka krwi pochłaniają tym sposobem bakterye i chronią organizm od chorób, na czém polega ochronna ich działalność dla organizmu. Są nawet komórki daleko więcéj zróżniczkowane, okryte błoną, które mimo niéj potrafią żywić się gotowym stałym pokarmem, mianowicie wymoczki zwane wirczykami, a przedstawiające w swéj zróżniczkowanéj protoplazmie otwór gębowy opatrzony rzęskami. Rzęski te są w ciągłym ruchu i wywołują niemi bezustanny wir wody; drobne ziarnka i istotki wciągnięte w ten niebezpieczny wir, wpadają do otworu i stają się pastwą wymoczka. Większość wymoczków pływając swobodnie szuka stałych mas pożywnych, które następnie wciągają wirem wewnątrz swych organizmów. Nieraz kilka wymoczków rzuca się na pokarm znacznie od nich większy, dokazują wówczas cudów w rozszerzaniu swéj gęby, w cierpliwości wirowania aż wessą i pochłoną całą masę pokarmową.

Rozpatrując rozmaite sposoby żywienia się komórek, widzimy, że zachowują one w tym ważnym procesie pewną indywidualność, nietylko jednak w czynności czerpania pożywienia, ale, co ważniejsza, w wyborze chemicznym. Każda komórka bierze materyał potrzebny jéj do budowy swéj masy, więc komórka nerwowa żywi się inaczéj niż mięśniowa, a Cienkowski, Bunge opowiadają o prostych i nagich roznóżkach, że wybiérają pewne tylko drobnoustroje na pokarm; znaną jest również własność białych ciałek krwi do pochłaniania pewnych tylko gatunków bakteryi. Zjawisko to tłómaczyć możemy przez chemiczną dążność plazmy komórkowéj do połączenia się z pewnemi ciałami pokarmowemi, a każda komórka przedstawia w tym względzie cechy indywidualne.

Z pokarmów buduje komórka substancyę swego ciała; pokarmy jednak muszą być najprzód przygotowane w odpowiedni sposób do przyswojenia czyli strawione. Trawienie komórki polega w głównych zarysach na zamianie ciał takich, jak białko, tłuszcze, mączka, na odmiany rozpuszczalne. Białko przez wydzielone odpowiednie kwasy i fermenty przechodzi w odmianę rozpuszczającą się łatwo; mączka musi być zawsze zamieniona w cukier czyli odmianę rozpuszczalną, w komórkach roślinnych przemiana ta dokonywa się za pomocą fermentów, a w zwierzęcych uskutecznia się przez kwasy. Tłuszcze także, dzięki odpowiednim fermentom zamieniają się na gliceryny i kwasy tłuszczowe rozpuszczające się i łatwo mogące być przyswojonemi. Fermenty zaś, co dokonywają tak ważnych przemian dla życia komórki, gdyż czynią pożywienie jéj zdolném do przyswojenia, są po większéj części albo wydzielinami komórek, albo téż jednokomórkowemi organizmami, których życie związane jest z tą przemianą materyi, z tym procesem fermentacyjnym. Tym sposobem życie jednéj komórki wpływa na życie drugiéj, istnienia te dopełniają się wzajemnie.

Przetrawione pożywienie jest przygotowaną strawą, którą komórka może bezpośrednio przyswoić; proces przyswajania odmiennym jest i dłuższym w komórce roślinnéj, niż w zwierzęcéj. Komórki roślinne, chlorofilowe, pod wpływem światła rozkładają dwutlenek węgla z powietrza, wydzielają zawarty w niém tlen, a zatrzymują drugi jego składnik — węgiel, niezbędny do syntetycznego utworzenia mączki, wodę zaś, potrzebną do téj syntezy; dostają z ziemi za pomocą korzeni. Dla komórki roślinnéj jest to najważniejszy związek, gdyż mączka jest zasadniczą materyą, z któréj następnie przez różne przemiany chemiczne wytwarzają się potrzebne jéj tłuszcze, cukry, kwasy, a nawet, przez łączenie się z ciałami azotowemi, powstaje ciało najbardziéj złożone, będące podstawą wszelkiego życia, mianowicie białko.

W komórce zwierzęcéj proces przyswajania jest daleko krótszy, gdyż wszystkie zwierzęta przyjmują pokarm białkowy gotowy, który po przetrawieniu, rozpuszczony krąży ze krwią po organizmach złożonych, obmywa wszystkie komórki i wciągany jest przez nie do wnętrza. Część téj strawy służy do zwiększenia żyjącéj komórki, część zostaje wydalona, a część komórka zatrzymuje jako rezerwę, jako pokarm bierny, potrzebny jéj podczas głodu lub dzielenia się. Tłuszcze mogą téż leżéć długi czas jako materyał potrzebny w przyszłości, a cukier zamieniwszy się na glikogen, osadza się w komórkach mięśniowych, gdzie bywa spożytkowany podczas pracy mięśniowéj lub téż podczas głodu.

Zjawisko przyswajania jest bardzo tajemnicze — powiada Armand Gautier, — zastanawia nas ten fakt, że każda komórka kości, chrząstek, mięśni, nerwów, tkanki łącznéj, tłuszczowéj jest specyalną pracownią, rodzajem oddzielnego, samodzielnego organizmu, w którym produkują się różne wytwory, choć pierwiastki pożywne są też same. Każda komórka w organizmie otrzymuje ten sam pokarm przyniesiony jéj przez krew, a potrafi przerobić go na związki odmienne.

Z białka wytworzyć się mogą zarówno te ciała, które komórka wydala, jak i te, które niezbędne jéj są do najważniejszych czynności. Materya białkowa jest punktem wyjścia wszelkiego życia, z niéj wytworzyć się mogą wszelkie inne związki, jak mączki, cukry, tłuszcze, potrzebne także komórce do rozwoju, lecz odegrywające wobec białka rolę podrzędną.

Niepotrzebne produkty rozkładowe zostają wydalone z komórki, a sposób, za pomocą którego komórka pozbywa się niepotrzebnych dla niéj związków, jest nadzwyczaj rozmaity.

Pełzak zwyczajny składa wszelkie niepotrzebne resztki żywności jak pancerze drobnoustrojów, skorupki i masy chitynowe, za pomocą odpowiednich skurczów protoplazmy, do specyalnéj komórki, którą Verworn nazywa bańką trawiącą i przepełniwszy ją produktami wypycha powoli ze środka, ku zewnętrznéj powierzchni, aż bańka owa, wysunięta całkiem na zewnątrz, otworzywszy się odda całą swą zawartość.

Nieraz się zdarza, że niektóre komórki w organizmach złożonych, są specyalnie ukształtowane do wydalania płynów nagromadzonych przez cały organizm, inne są zróżniczkowane do wytwarzania barwników: często znów ciała płynne wydalone z komórki krzepną na jéj zewnętrznéj powierzchni, tworząc błony, chitynowe pancerze owadów, wapienne muszelki lub iglice jeżowców. Istnieją także komórki wyspecyalizowane do wydzielania różnych śluzów, fermentów, wszelkich wogóle płynów potrzebnych we wspólném życiu wielu komórek. Komórki te pożyczają od krwi materyał, za pomocą którego, dzięki przeróżnym przemianom chemicznym, przerabiają w swem wnętrzu nowe wytwory, gromadzące się najczęściéj w postaci kropelek. Taka wydzielająca komórka jest podstawą gruczołu. Laguesse [1]) zwraca uwagę na takie jednokomórkowe gruczoły w ciele niektórych owadów i skorupiaków, złożone wprost z pojedyńczego woreczka, zaopatrzone-

---

[1]) Laguesse, „Les glandes et leur difinition histologique“ („La semaine médicale, 1895).

go w kanalik potrzebny do wydzielania. Każda jednak komórka wyrabia różne ciała, które spożytkowywać może lub wydalać, i pod tym względem komórka każda wydaje się pozornie komórką gruczołową—gruczołem jednak nie możemy jéj nazwać, gdyż nie jest specyalnie wydoskonalona do téj jedynéj czynności wydzielania, ze szkodą innych swych funkcyi, lecz z pożytkiem dla organizmu, którego jest cząstką. Gruczoł jest wynikiem podziału pracy, bez któréj organizmy złożone istniéćby nie mogły.

Prócz tych różnych ciał wydzielanych przez komórkę, lecz potrzebnych jéj do życia, komórki oddają także i te ciała, które nie przedstawiają dla nich żadnego pożytku, a stanowią ostatni szczebel rozkładu związków pożywnych; wydalają zatém wodę, dwutlenek węgla i różne inne związki, między któremi azotowe pochodzą z rozkładu białka. Ciekawemi niezmiernie związkami [1]), powstającemi przy regresywnéj metamorfozie ciał białkowych u bakteryi, są ptomainy, z których część bardzo trujących, nazwano toksynami; wprowadzone do organizmu ludzkiego, sprowadzają choroby infekcyjne czyli zatruwają organizm, wówczas komórki organizmu walczą z trucizną i wydzielają związki neutralizujące; białe ciałka krwi, nérki, trzustka i inne wewnętrzne organy biorą czynny udział w wydzielaniu odtrutek, a zadaniem ich jest niejako czuwanie nad życiem organizmu, przeciwdziałając skutkom trucizn wewnętrznych. Zwierzęta i rośliny wytwarzają często w swych komórkach trujące ciała białkowe, a odkrycie tych związków wywołało ogromne zdumienie w świecie naukowym, gdyż sądzono, że ciała białkowe nie mogą być szkodliwe, jako niezbędne do podtrzymania życia.

Ten długi proces, rozpoczynający się od przyjęcia pokarmu, kończący na wydzielaniu niepotrzebnych cząstek, jest wielce złożony i składa się z bardzo wielu przemian chemicznych. Szczytem syntezy — powiada Verworn — jest utworzenie ciał białkowych, a rozkładu — rozpadnięcie się żyjącéj materyi na jéj składniki. Możemy streścić w paru słowach przemianę materyi w żyjących komórkach, twierdząc, że składa się na nią synteza i rozkład białka, wszystkie inne przemiany zależą od tego głównego, a jedynego procesu.

Drugiém ważném i ogólném zjawiskiem życiowém, a w ścisłém będącém związku z przyswajaniem jest oddychanie; każda komórka pobiéra tlen niezbędny jéj do przeróżnych procesów wewnętrznych, a wydziela produkt gazowy, dwutlenek węgla, pochodzący z rozkładu białka i z procesu fermentacyjnego cukrów; bez tlenu nie rozumiemy

---

[1]) Charrin, „Variations bacteriennes", 1895.

wprost przemiany materyi. Życie jednak komórki jest bardzo rozmaite, przejawiać się może w tylu formach, trwać może w tak rozlicznych warunkach, że nie dziwi nas wcale ciekawe zjawisko istnienia wielu drobnych istotek mogących obchodzić się bez tlenu, które nawet małe ilości tego gazu pozbawiają życia.

Protoplazma, tworząca komórkę, złożona jest z cząstek, na które znów składają się atomy, utworzone z pierwiastków mineralnych, posiadające własność łączenia się czyli wzajemnego przyciągania. Ta siła przyciągania jest powinowactwem czyli energią chemiczną; każdy więc atom możemy uważać z tego powodu za drobny magazyn energii, a nagromadzona w nim energia utajona [1]) (potencyalna) przemienia się podczas łączenia na energię żywą, uzewnętrzniającą się wyraźnie w formie ciepła, światła, elektryczności lub ruchu. Tlen pochłonięty przez komórkę wchodzi natychmiast w związki z pierwiastkami składającemi jéj protoplazmę, a utlenienia te połączone są z wyswobodzeniem wielkiéj ilości energii, objawiającéj się najczęściéj jako ciepło niezbędne komórce do życia. Skutki przyswajania są podobne, gdyż ciała spożyte przechodzą całą skalę przeobrażeń zanim ukształtują się w białko, a złożony ten szereg syntez i rozkładów połączony jest z wydzielaniem ciepła, w tak wielkiéj ilości, że porównano pożywienie do paliwa dostarczającego ciepła komórce. Ostatecznym rezultatem tych długich przemian, zachodzących w protoplazmie, jest wydzielanie ciał prostych jak woda, dwutlenek węgla, ciał napowrót zapotrzebowanych do przemian życiowych, napowrót zatém zwracanych bezustannemu obiegowi materyi.

W komórce roślinnéj rozszczepienie dwutlenku węgla wymaga pewnéj energii, dostarczanéj jéj przez światło; światło zatém słoneczne występuje dla komórki roślinnéj jako źródło energii, i przekonano się, że głównie żółte jego promienie mają tu czynną rolę, fioletowe zaś zachowują się obojętnie. Ponieważ zatrzymanie węgla jest zasadniczą czynnością potrzebną do utworzenia mączki, z któréj następnie powstać może białko, światło zatém jest koniecznym czynnikiem do wytworzenia się białka, a przez to do ujawnienia się życia. Bez światła wszelkie życie w przyrodzie nie mogłoby powstać. Komórka roślinna, pochłaniając promienie słoneczne, jest najpierwszym odbiorcą energii w przyrodzie i z niéj dopiéro promieniuje energia na wszystkie organizmy. Światło samo nie może jednak rozłożyć dwutlenku węgla, ani uskutecznić syntezy mączki, odegrywa ono tylko rolę bodźca, pod którego wpływem energia chemiczna zawarta w ziarnkach zieleni rozwija-

---

[1]) Bunge, „Chemia fizyologiczna.“

się, występuje w całéj pełni i zmusza kwas węglany do oddania jéj swego węgla. Światło samo bez powinowactwa nie rozbudzi życia, jest ono jednak, razem z ciepłem, niezbędnym czynnikiem do wprowadzenia w grę energii chemicznéj, a ta jest podstawą istnienia i jego przejawów. Przed laty wprowadzona do pierwszego powstającego istnienia przeżywa długie wieki, i do dziś dnia objawia się nie straciwszy nic na swéj sile. Jest ona—powiada Verworn — początkowym kapitałem, którym się posługuje rozwijający się organizm i na mocy którego wzrasta.

Ciepło, najważniejszy przejaw téj energii, jest niezmiernie trudne do zauważenia w pojedyńczéj komórce, mierzenie jego jest wprost niemożliwe i stosowane być tylko może na zbiorowisku komórek, czyli na organizmie. Światło łatwiéj nam podpada pod zmysły, choć jest objawem bardzo rzadkim. Beyerinck utrzymuje, że komórki takie żyją [1]), wydzielając światło, tak jak inne wydzielają przez całe życie ciepło. Niektóre znów morskie zwierzęta przedstawiają jeszcze szersze zjawisko, gdyż wydzielają elektryczność; prąd taki wywiązuje się, gdy w komórce lub w sąsiednich komórkach przemiany chemiczne odbywają się z ujawnieniem różnoimiennych elektryczności. Równie ważném, jak ciepło, jest uzewnętrznienie się energii chemicznéj w postaci ruchu. Ruch jest ogólném zjawiskiem życia; każda żyjąca istota rusza się, zmienia miejsce, kurczy się, wyciąga; wewnątrz każdéj komórki protoplazma bezustannie płynie odśrodkowym promieniem; w amebie rytmicznie pulsują bańki tętniące.

W oceanie żyją drobne stworzenia, obdarzone własnością zmieniania miejsca, choć nie posiadają żadnych do tego organów; takiemi są jednokomórkowe promieniowe, cięższe od wody i żyjące zazwyczaj na jéj dnie; skoro jednak wyrobią w sobie, dzięki przemianie materyi, kilka baniek dwutlenku węgla, wypływają na wierzch i żyją na powierzchni wód, dopóki przez wypuszczenie nagromadzonych gazów nie zmienią ciężaru gatunkowego. Inne znów jednokomórkowce pozwalają wodzie przesiąkać przez błony otaczające ich ciało, wówczas woda miesza się z protoplazmą, a ponieważ sól nie może przenikać przez błony, więc w krótkim czasie istotki te stają się lżejsze od wody i wypływają na jéj powierzchnię. Skoro jednak w takiéj komórce bańki otworzywszy się rozleją swą zawartość, sól dostaje się do środka, wywołuje zwiększenie ciężaru gatunkowego i opadnięcie istotki na dno wody. Są znów ciała śluzowe poruszające się w wodzie, dzięki wy-

---

[1]) Hericourt, „Microbes lumineux“. Revue Scientifique.

dzielonym małym strumieniom śluzu, powodującym pewien drobny prąd wody, dostateczny jednak do poruszenia tych małych stworzeń.

Ogólną podstawą ruchu wszelkich istot jest skurczliwość materyi protoplazmatycznéj. Kurczenie i rozszerzanie się istot żyjących jest ogólnym objawem życia i powodem wszelkiego ruchu. Zwyczajny pełzak, bezbłonna kropla plazmy rusza się bezustanku, przepływa z jednego miejsca na drugie, pełza po mchu i po ziemi, kurczy się, wydłuża, zaokrągla, ciągle zmienia swe kształty, wysuwa ze siebie szerokie i płaskie smugi zarodzi, to znów je wciąga; u innych jednokomórkowców nibynóżki te są długie i cienkie, iglaste lub promieniste, otaczające jakby aureolą grudkę śluzu. Niektóre poruszają się dzięki rzęskom, których ruch rytmiczny podobny jest do wiosłowania. Charakterystycznym ruchem istot zwierzęcych jest jednak ruch mięśniowy. Już u niektórych wymoczków (stentor) widzimy protoplazmę zróżniczkowaną w prążki, w pasemka podobne do mięśniowych,—ale dopiéro w komórce mięśniowéj, przeznaczonéj przez podział pracy, do czynności ruchowych, ukształtowanie protoplazmy w kurczące się i rozkurczające pasemka, występuje najwyraźniéj. Ruchy takie nie mogą powtarzać się bez końca i po pewnym czasie występuje wyczerpanie, zmęczenie, których następstwem jest zwolnienie ruchu i osłabienie.

Źródłem siły mięśniowéj jest pożywienie; zastanawiano się nad tém, jakie ciała przez swój rozkład dają odpowiednią energię chemiczną, mogącą się zamienić w siłę mięśniową. Przez długi czas sądzono, że źródłem téj siły są tłuszcze i cukry [1]), gdyż przekonano się, że powstający z ich rozkładu glikogen, niknie w mięśniach podczas ich pracy. Białko, odegrywające najważniejszą rolę we wszystkich procesach życiowych komórki, zdawało się być wykluczone w zjawisku podtrzymywania ruchu, a dopiéro nowe badania wykazały (Pflüger), że białko i cukry mogą wzajemnie się zastępować w produkowaniu energii mięśniowéj, a Verworn oddaje nawet białku pierwszeństwo z tego względu, że komórka może z niego otrzymać wszelkie związki; białko zatém charakteryzując życie, odegrywa istotnie najważniejszą rolę we wszystkich funkcyach organicznych.

Skąd się jednak bierze ruch? co powoduje skurczliwość protoplazmatycznéj kropli pełzaka lub komórki mięśniowéj? Jakie są przyczyny tych dążeń do zwiększania i zmniejszania powierzchni? teoryą ruchu tłómaczymy także na zasadzie energii chemicznéj. Niektórzy obstają przy twierdzeniu, że ruch nibynóżek spowodowany jest dążnością protoplazmy do połączenia się z ciałami zawartemi w środowisku,

---

[1]) A. Gautier, „Chimie biologique“, 1892.

w którém żyje komórka; zaródź jéj rozkurcza się i wyciąga do potrzebnéj strawy. Skoro jednak protoplazmowe cząstki okażą więcéj powinowactwa do ciał zawartych wewnątrz komórki, wówczas następuje skurcz i wciągnięcie nibynóżek.

W podobny sposób odbywa się ruch w komórce mięśniowéj, a działalność jéj polega na rozkładzie i nowém budowaniu żyjącéj materyi. Ciała białkowe w mięśniach zawarte, tak samo jak protoplazma pełzaka, dążą do wchłonięcia tlenu i rozkurczają w tym celu komórkę; po utlenieniu się jednak rozszczepiają się, a produkty rozkładu dążą znów do ukształtowania białka, co wywołuje skurczenie komórki. Skurczliwość protoplazmy, a z nią i własność ruchu, zależą zatém bezpośrednio od energii chemicznéj, będącéj rodzicielką wszelkich innych energii.

Ogólnym objawem ruchu i życia jest wzrost; skoro warunki sprzyjają rozwojowi komórki, protoplazma jéj zaczyna powiększać się i gromadzić materyały. Wzrastać jednak nie może bez końca, a skoro dojdzie do pewnéj wielkości, znajduje inny sposób wzrastania, mianowicie rozmnażanie. Przez dzielenie mnożą się komórki, a z pierwotnéj powstają tym sposobem dwie lub kilka nowych komórek tak samo ukształtowanych, téż same mających własności i mogących wzrastać w dalszym ciągu. Przemiana materyi pociąga za sobą w tym wypadku nietylko przemianę energii, ale i przemianę kształtu; komórka zaś najelementarniejszy organizm, w którym odbywają się wszystkie te procesy, przedstawia zjawiska życiowe nadzwyczaj złożone, urozmaicone, wszechstronne; nowe badania nad istotami jednokomórkowemi doprowadzili badaczy do przyznania im nawet duszy. Już Haeckel (w swéj „Psychologii komórki") dowodzi, że komórka żyjąca ma duszę komórkową, gdyż trudno inaczéj wytłómaczyć fakt istnienia między pierwotniakami istot energicznych i powolnych, bystrych i tępych, silnych i słabych, ginących w walce o byt, lub przeciwnie zwyciężających. Verworn jednak kilka lat zaledwo temu przeprowadził te badania całkiem naukowo, dowodząc w sposób doświadczalny, że materya protoplazmatyczna jest wrażliwą, gdyż odpowiada skurczem lub ruchem na przeróżne bodźce, któremi możemy ją drażnić. Pod wpływem wstrząśnienia np. pełzak wciąga swe nibynóżki, a gdy powtarzać będziemy to mechaniczne drażnienie, wówczas nastąpi zupełny skurcz całéj protoplazmy. Ciepło, choć jest ogólnym warunkiem życia, wywołać może mimo to podrażnienie protoplazmy, gdy jest zbyt silne lub zbyt słabe. Kühne zauważył skurczenie ameby przy 40° ciepła, gdy niektóre zarodniki wytrzymują wyżéj stu stopni; Pictet twierdzi, że mikroby, bakterye, nasiona znoszą niezmiernie niskie tempera-

tury, gdyż 200 stopni niżéj zera, skoro jednak znajdą się w sprzyjających warunkach, powracają do życia [1]); wymoczki zaś po większéj części giną przy 80° zimna. W wielu innych wypadkach ciepło stanowiło ognisko, od którego uciekały drobnoustroje, w innych zaś zbiérały się przy niém jakby pociągnięte. W podobny sposób działać może światło. Pełzak jednak zachowuje się względem niego obojętnie, a Luciani [2]) utrzymuje, że przechodzi z jednego końca widma słonecznego do drugiego, nie odczuwając zapewne zmiany świetlnéj. Mimo to, siła światła wywiera ogromny wpływ na bakterye i mikroby, gdyż może je gromadzić koło siebie, lub odwrotnie wywołuje ich ucieczkę; bakterye purpurowe np. poruszają się z szybkością proporcyonalną do siły oświetlenia. W niektórych razach promienie słoneczne wywierają jednak wpływ nadzwyczaj ujemny na wzrost i rozmnażanie tych drobnych ustrojów (jak o tém zapewnia Marschal Ward [3]), przyczém nie wszystkie promienie mają te same własności.

Kühne i Engelman, badając wrażliwość komórek na bodźce elektryczne, zauważyli, że pod wpływem słabych wstrząśnień krążenie w protoplazmie komórkowéj zostało wstrzymane, gdy silne wywoływały natychmiastowy skurcz lub nawet śmierć. Verworn zauważył przytém, jeśli przez wodę zawierającą drobnoustroje przeprowadzimy prąd elektryczny, wymoczki zbiérają się przy biegunie ujemnym przyciągnięte przez elektryczność. Wobec drażnień chemicznemi roztworami, drobnoustroje zachowują się w bardzo podobny sposób; zbiérają się potrącając się wzajemnie, lecą z ogromną szybkością jakby chemicznie przyciągnięte, lub też szybko uciekają jakby przeczuwając truciznę, wobec bardzo wielu związków chemicznych zachowują się obojętnie. Drażliwość tak bardzo rozwiniętą u ustrojów wyższych, spotykamy zatém i na najniższym szczeblu rozwoju komórki. Wrażliwość jest ogólném zjawiskiem życia i trudno nam tu ściśle odgraniczyć, gdzie ruch protoplazmy złączony jest z pierwiastkową świadomością, a gdzie jest samym bezświadomym mechanizmem. Luciani powiada, że powstanie inteligencyi złączone być musi z powstaniem życia; począwszy od mało wrażliwego pełzaka, w miarę udoskonalenia protoplazmy czułość coraz to się zwiększa, a w wymoczkach spostrzedz możemy duszę bardziéj skłonną do wrażeń i podniet. Taka dusza komórkowa jest prawdopodobnie nawet bardzo złożona, gdyż składają się na nią funkcye

---

[1]) Pictet, „La vie et les basses temperatures“—„Revue scientifique“.

[2]) Luciani, „Les origines de la vie“—„Revue scientifique“.

[3]) M. Ward, „Influence de la lumière sur les microbes“ — „Revue scientifique“.

cząstek i atomów obdarzonych także odrębnemi własnościami powinowactwa, czyli świadomością atomową. W ten sposób, należy rozumieć duszę komórki: fizyologia jéj i psychologia są tylko objawami powinowactwa chemicznego.

Gdy ogólne warunki życiowe sprzyjają rozwojowi komórki, wówczas życie jéj spływa normalnie, protoplazma i jądro wzrastają, a następnie dzielą się aby nowe utworzyć osobniki. Plazma i jądro są najważniejszemi organami komórki, potrzebnemi jéj w równéj mierze do najważniejszych czynności życiowych; skoro jeden z tych organów jest uszkodzony, wówczas przyswajanie, oddychanie, wydalanie, coraz bardziéj słabną i życie ustaje; w podobny sposób zauważyć można zanikanie życia wobec złych warunków takich, jak brak pożywienia, tlenu, ciepłoty lub wody niezbędnéj do przyswajania pokarmów. Komórka wówczas umiéra. Niepodobna odgraniczyć życia od śmierci. Śmierć i życie rozwijają się w podobny sposób [1]). Proces rozkładowy, prowadzący do zaniku, idzie powoli; raz jestto powolne zmniejszanie komórki, zsychanie i rozpadnięcie, lub przeciwnie jądro, ziarnka plazmowe pęcznieją, rozpuszczają się i zamieniają w kroplę płynną. Organizmy obdarzone skurczalnością, jak pełzak, umierają skurczone, w kłębek plazmozy, rozpadający się na coraz to drobniejsze okrawki — roznóżki wciągają wgłąb swéj masy długie nibynóżki i zmieniwszy się w drobną grudkę, powoli umierają. Innym razem, zawartość komórki zamienia się w śluz, tłuszcz lub wapno; wówczas przez zbyt wielkie obładowanie lub wydzielanie, komórka umiéra. Można wreszcie sztucznie wywołać śmierć przez zatrucie. W komórce zamierającéj asymilacya, wydalanie, oddychanie odbywają się bardzo powoli, słabną, leniwieją, wolném tętnem życie się uzewnętrznia; w umarłéj, rozkład bierze górę nad syntetyzowaniem, a materya dąży do rozpadnięcia na związki najbardziéj elementarne.

Weisman sądzi, że jednokomórkowe istoty, rozmnażające się przez dzielenie, stanowią wyjątek w ogólnych planach przyrody, gdyż nie podlegają śmierci; istotnie hipoteza ta wydaje się prawdopodobną albowiem każda z tych istotek dzieli się na dwie nowe, a te w podobny sposób znów dają potomstwo; w takim szeregu pokoleń, nie spotykamy się ze śmiercią, życie wstąpiwszy raz w taką grudkę plazmową, zdaje się trwać nieprzerwaném pasmem, pasmem nieśmiertelném. Robiąc doświadczenia nad wymoczkami, Maupas przekonał się jednak, że piękna hipoteza Weismana o nieśmiertelności pierwotniaków, jest błędna, gdyż drobne te ustroje dzieląc się nieustannie mogą istnieć

[1]) Sabatier—Essai sur la vie et la mort.

przez kilka zaledwie pokoleń, poczém przychodzi wyczerpanie protoplazmy, i występują wszelkie oznaki procesu rozkładowego, prowadzącego do śmierci. Materya żyjąca tém się różni od mineralnéj że podlega przemianom kończącym się innym trybem ewolucyjnym, zwanym śmiercią. Śmierć wita każde życie, jest ona przejściem istoty żyjącéj do stanu mineralnego; ciała mineralne śmierci nie znają i służą do podtrzymania życia. Komórka umiérając oddaje dwutlenek węgla, wodę ciała azotowe, z których powstaje nowe życie; ten że sam dwutlenek węgla wydzielony z rozkładającéj się komórki, zostanie rozszczepionym przez ziarnka zieleni, zawarte w liściach oświetlonych promieniami słońca a cieniutkie korzenie wessą ciała azotowe, reszty minionego organizmu i powstanie nowa komórka roślinna obdarzona życiem. Przez śmierć i życie odbywa się zatém bezustanne krążenie materyi między światem mineralnym i żyjącym.

Dr. Zofia Joteyko.



Psychologiczne podstawy socyologii.

(Zasada zjawiska społecznego).

I.

Przystępując do definicyi zjawiska społecznego, przedewszystkiém rzuca się w oczy badacza, jego powszechna podatność uleganiu dwojakiéj metodzie—naukowéj i twórczéj. Życie społeczne jest *par excellence* tym materyałem, który tak samo łatwo poddaje się obserwacyi naukowéj, jak i celowemu działaniu, tak samo stanowi przedmiot badania obiektywnego, jak i przedmiot polityki, sztuki społecznéj. Pozornie, dwulicowość ta mogłaby się wydawać sprzeczną w sobie i wykluczającą się nawzajem. Nauka bowiem musi miéć do czynienia z materyałem dla doświadczenia naszego dostępnym, ze zjawiskami życia, z faktami podlegającemi powszechnie i bez wyjątku niezłomnemu prawu przyczynowości, a w takim razie każdy fakt życiowy, zarówno indywidualny jak i społeczny, powstawanie nowego prądu historycznego, tak samo jak wydzielanie się ciepła, musi być rozważany jako konieczny, nieunikniony wynik pewnych faktów poprzednio istniejących, pewnych warunków danych, względem którego wszelkie „powinno być", wszelki celowy wysiłek woli ludzkiéj, jest

równie zbyteczny i wszelkiego sensu pozbawiony, jak w zastosowaniu do jakichkolwiek procesów przyrodniczych.

Mając bowiem do czynienia z życiem, jako przedmiotem badania, nie dostrzeżemy w niém nic innego, jak tylko nieprzerwany szereg zjawisk, rozwijający się w stosunkach czasowo przestrzennych, powiązanych ze sobą nienaruszalnemi więzami przyczynowości, determinujących się nawzajem jakościowo, w swojém następstwie i współistnieniu. Stąd też, każde pojedyńcze zjawisko, rozważane jako ogniwo tego szeregu, wtenczas nawet gdy należy jeszcze całkowicie do dziedziny przyszłości i tylko jako wyobrażana przez nas możliwość dalekiego faktu byt swój posiada, nosi jednak na sobie niezatarte piętno czegoś uwarunkowanego, i w tym tylko charakterze pomyśléć się daje. „Uwarunkowane" zaś, to znaczy, że istnienie jego nie rozpoczyna się niezależnie i samoistnie z chwilą pojawienia się zjawiska w swoim ujawnionym i indywidualnym charakterze, lecz tkwi już *in potentia* w poprzedzających ową chwilę faktach danych, że jest zdeterminowane zarówno co do swéj jakości, jak i co do czasu, zatém -- konieczne. Fakty przyszłe, mające nastąpić, przewidywane, gdy się je rozpatruje naukowo, t. j. jako wyniki danych pewnych, tém się tylko różnią od rzeczywistości, że indywidualność ich nie ujawniła się jeszcze w wyodrębnioném istnieniu, lecz zatajona, spoczywa w swoich warunkach, utożsamiając się z niemi; nie mniéj jednak posiada realność bytu tak samo zdeterminowaną i żywiołową, tak samo obojętną na wszelkie porywy woli ludzkiéj, jak owe warunki. Gdzie więc tylko występuje uwarunkowanie (a wszystko je ma z punktu widzenia nauki), tam nie ma miejsca dla bezwarunkowości etycznéj, dla dowolności roztwierającéj pole przed celowym, twórczym wysiłkiem woli; tam możliwém jest tylko mówić o tém co jest, było lub będzie, nigdy zaś o tém co być powinno, bez zatracenia właściwego znaczenia téj kategoryi. Pewność zaś danego faktu przewidywanego, większa lub mniejsza możliwość jego zjawienia się, zależy tylko od stopnia naszéj znajomości warunków tego faktu, wzrastając w miarę tego jak znajomość nasza zbliża się do całości tych warunków; nic dotyczy zaś w niczém saméj istoty rzeczy, możliwości obiektywnéj faktu, od poznania naszego niezależnéj; obiektywnie bowiem fakt każdy jest albo konieczny, albo też zupełnie niemożliwy.

I podobnie jak naukowa metoda, w żelazne karby przyczynowości ujęta, wyklucza z siebie wszelki czynnik twórczy, w ścisłém znaczeniu tego wyrazu, czynnik dowolnego tworzenia czegoś co mogłoby być, lecz mogłoby i nie być, tak samo tworzenie, zarówno w etyce, sztukach pięknych, jak i polityce, idzie wbrew metodzie naukowéj, sta-

je ponad doświadczeniem, i szukając po za obrębem doświadczenia swego przedmiotu, postępuje tak, jak gdyby żadnéj przyczynowości nie było. Zdeterminowane warunkami moje działanie, przestaje być tworzeniem, i jest tylko specyałnego charakteru zjawiskiem wprzęgniętém w szereg przyczynowy, a wtenczas, traci swoje znaczenie etyczne, swoją godność obowiązku; przedmiot zaś jego, z obcych wszelakiemu doświadczeniu wyżyn ideału, schodzi na stanowisko zwyczajnego skutku, wyniku żywiołowéj i niezależnéj odemnie konieczności. W pojęciu zaś „tworzenie" tkwi *implicite* pojęcie dowolności. Działanie moje zamiast być zdeterminowaném ogniwem w wielkim łańcuchu zjawisk, występuje tutaj w charakterze spontanicznéj i decydującéj przyczyny celowéj, występuje jako niczém nie uwarukowane „*fiat*" ostateczne, i niezbędne do tego, ażeby ideał przewidywany mógł się urzeczywistnić. Bez mego wysiłku twórczego, to, coby się stać mogło, nie stanie się; wysiłek zaś twórczy sam siebie tylko warunkuje, może być lub nie być. Jest to zasada dowolności. Odpowiednio do tego, przedmiot mego wysiłku twórczego — cel, mając źródło swoje w nieuwarunkowanym akcie woli, zatém wyzwolony z przyczynowości żywiołowéj, jako taki którego żadne warunki istniejące nie determinują koniecznie, który przeto nie mógłby się zjawić jako skutek poprzedzającéj seryi zjawisk, przedmiot ten zjawiskiem być nie może (gdyż każde zjawisko podległém jest przyczynowości), do świata objętego naszém doświadczeniem nie należy, lecz jest ideałem, to jest taką możliwością fenomenalną, z którą tylko niezależny akt woli świadoméj może wejść w stosunek przyczynowy, która, jeżeli się urzeczywistnia i wchodzi w świat zjawiskowy, to tylko jako skutek przyczyny celowéj, jako cel osiągnięty dowolnie, nigdy zaś nie jest zdeterminowaną jako konieczność — w żywiołowo rozwijającym się szeregu zjawisk.

Ta zasada dowolności i nadzjawiskość przedmiotu, najczęściéj i najwyraźniéj występuje w tworzeniu artystycznem, tam więc, gdzie naukowa metoda, na przyczynowości oparta, żadnego miejsca nie znajduje. Odnajdujemy ją jednak i obok metody naukowéj — w moralności i w polityce. Etyka, pomimo że ma do czynienia z przedmiotem ścisłéj nauki — z życiem psychiczném człowieka, jest jednak przedewszystkiém tworzeniem, normowaniem naszego życia wewnętrznego według pewnego kryteryum, pewnego ideału obowiązującego. W etyce, jakkolwiek uznajemy, że nie ma postępków bez motywów i nie ma motywów bez procesów psychicznych, które je warunkują, jakkolwiek zdajemy sobie jasno sprawę, że w życiu duchowém człowieka, tak samo jak w życiu fizyczném, wszystko co jest—być musia-

ło, wszystko jest usprawiedliwioném przez swoje przyczyny jako konieczność, to jednak, mówimy o złém i dobrém, o tém co być powinno i co nie powinno wobec ideału obowiązującego. I pomimo całego determinizmu psychicznego, pomimo niezłomności tych praw, w jakich występuje przyczynowość życia wewnętrznego, czujemy się zupełnie uprawnionymi, żeby dla życia tego postawić pewne kryteryum moralne, pewien ideał, wszystko jedno czy nim będzie cnota sama dla siebie, doskonałość — jak w etyce intuicyjnéj, czy téż szczęście osobiste lub szczęście powszechne—jak w etyce hedonistycznéj lub utylitarnéj. Natura zaś jego, przy jakiéjbądź treści pojęciowéj, natura jego jako ideału — pozostaje zawsze jednakowa, i na tém się zasadza, że jest od wszelkiéj przyczynowości zjawiskowéj wyzwolona zupełnie.

Jeżeli rozważając swoje postępowanie, widzę, że usiłuję być dobrym dla swego przyjaciela dlatego, że go kocham, to będzie to tylko psychologiczna strona mego postępowania. Dobroć moja wynika koniecznie z danego uczucia, i jest tak samo usprawiedliwiona w swojém istnieniu, jak i złe postępki przy uczuciu nienawiści. Jest ona lub jéj nie ma, zależnie od zjawisk, które ją determinują, i które swoją drogą przez inne zdeterminowanemi być muszą. Dla żadnego kryteryum moralnego miejsca tu nie ma; niezmienna, nieubłagana przyczynowość wszystko zarówno uświęca, co się tylko stało rzeczywistym faktem; a wszystko co się staje rzeczywistém, stać się musiało, bo było jedynie możliwém. Jeżeli zaś stawiam pewną wytyczną dla swego postępowania, t. j. gdy rozpatruję je ze stanowiska etycznego, natenczas, zamiast stwierdzać istniejące we mnie stany psychiczne i przewidywać ich wyniki, rozważam co być powinno według danego kryteryum moralnego, bez względu na to, czy wyniki przewidywane na mocy istniejących cech mego charakteru są zgodne z wymaganiami tego kryteryum, czy téż nie. Probierz zatém moralny o tyle tylko może zachować swoje znaczenie normujące dla życia naszego, o ile sam nie jest jako zjawisko zdeterminowanym. Wszedłszy bowiem w jakikolwiek szereg przyczynowy, „demokratyzuje się", traci odrazu wszelkie swoje specyalne atrybuty i staje się równie niezbędnym dla całości tego szeregu, i równie koniecznym, jak i wszystkie inne jego ogniwa.

W polityce—pierwiastek twórczy zachowuje te same cechy sprzeczne z prawami zjawiskowości. Pewien ideał polityczny, jeżeli go rozpatrywać będziemy ze stanowiska metody naukowéj, przedstawi się nam jako przewidywany wynik całéj dotychczasowéj ewolucyi społecznéj. Wynik ten, jak każdy fakt w przyczynowość zjawiskową uję-

ty, może być tylko albo koniecznym, albo też zupełnie niemożliwym. Jeżeli więc dzisiejsze stadyum ewolucyi dziejowéj determinuje przyszłość, to determinuje ją całkowicie. Kapitalizm nosi w swém łonie nietylko zarodek ekonomicznych czynników przyszłego ustroju (jak olbrzymia potęga sił wytwórczych, praca społeczna, wielkie organizmy wytwórcze, planowość produkcyi w kartelach zarysowująca się, własność bezosobowa syndykatów i towarzystw akcyjnych), lecz przygotowuje zarazem i tę siłę porodową świadomości ludzkiéj, która ma wydobyć na jaw drzémiące w niém formy nowego życia. Zarówno więc moralna, jak i ekonomiczna strona życia społecznego, zjawia się na mocy pewnych przyczyn historycznych, sięga w nieskończony szereg zjawisk, które pojawienie się danych faktów czynią konieczném. Pomimo tego jednak, tenże sam materyał narzuca się intuicyjnie twórczości ludzkiéj, stanowi zupełnie uprawniony przedmiot polityki, cel świadomych dążeń, które pod rozmaitemi postaciami stawiają sobie za zadanie tworzyć i ulepszać historyę.

Sprzeczność obu tych metod — naukowéj i twórczéj zaznacza się więc bardzo wyraźnie. Pierwsza—za podstawę swoją ma przyczynowość, determinizm ewolucyjny, i każdy fakt dziejowy, zarówno ekonomiczny jak i moralny, świadomy i nieświadomy, rozpatruje jako konieczny, uwarunkowany całym szeregiem zjawisk poprzedzających; druga — przyjmuje za swoją podstawę dowolność, patrzy na fakty dziejowe jako na takie, które mogą się stawać lub nie stawać, zależnie od działania świadoméj woli ludzkiéj, która siebie sama tylko warunkuje. Pierwsza patrzy na przyszłość społeczną jako na wynik niezbędny całéj ewolucyi dotychczasowéj, zdeterminowany w zjawiskach i żywiołowo rodzący się z teraźniejszości; druga — patrzy nań jako na ideał z pod wszelkiéj przyczynowości wyzwolony, nieuwarunkowany żadnemi zjawiskami, który tylko przez akt woli świadoméj—przyczynę celową—zdeterminowany być może. Pierwsza nie pozwala na żadne kategorye etyczne, mówi o tém tylko co jest lub ma nastąpić, najzupełniéj obca i niedostępna dla wszelkiéj moralności i działania politycznego; druga zaś—stawia swoje normy obowiązujące, mówi o tém, co być powinno, zarówno w zakresie indywidualnéj etyki, jak i w polityce.

Rozwiązania téj antinomii metodycznéj szukano zazwyczaj w pogwałceniu czystości metody ewolucyjnéj. Ażeby usprawiedliwić istnienie polityki, tworzącéj historyę, wobec żywiołowości rozwoju społecznego, uciekano się naprzykład do dziwnego podziału zjawisk — na podlegające i niepodlegające determinizmowi ewolucyjnemu: stosunki „rzeczowe”, ekonomiczne, miałyby wyłącznie należéć do żywiołowego

rozwoju, do ewolucyi historycznéj; kiedy cała sfera świadomości ludzkiéj, a szczególnie sfera pojęć społecznych, ideowość, stanowiłaby pole dla twórczości właściwéj, i jak gdyby będąc wyzwoloną od determinizmu historycznego, usprawiedliwiałaby istnienie sztuki politycznéj. Łatwo jednak widzieć całą dowolność i płytkość takiego podziału, wobec tego, że każde zjawisko, tak samo ekonomiczne jak i moralne, fizyczne jak i duchowe, może być wzięte za przedmiot nauki, a wtedy, rozpatrywanie jego w kategoryi przyczynowości, poszukiwanie przyczyn, które warunkują jego istnienie, patrzenie nań przez pryzmat nieprzerwanéj ciągłości zjawisk, musowo narzuca się myśli ludzkiéj, na mocy tego pewnika, *a priori* tkwiącego w świadomości naszéj, nie mającego żadnego wyjątku w świecie zjawiskowym, że wszystko co się staje, staje się z czegoś, jest skutkiem innych zjawisk, które je determinują. Ideowość może więc być zarówno rozpatrywana jako wytwór historyczny, jak i ekonomiczne stosunki, tém bardzéj, że badania nauki społecznéj wykazują jéj ścisłą zależność od zjawisk ekonomicznych, jéj głęboki związek z rozwojem sił wytwórczych społeczeństwa, jéj wpływy i oddziaływanie wzajemne z całą rzeczową, materyalną stroną życia społecznego, tak pokrzyżowane ze sobą, że niemożliwém jest doślедzić ciągłości czysto ekonomicznéj ewolucyi, wolnéj od tych idejowych ogniw, które przenikają w szeregi zjawisk ekonomicznych, jako ich przyczyny lub skutki. Nie ma więc żadnéj zasady, coby pozwalała sztucznie wyodrębnioną „ideowość", zjawiska świadomości społecznéj, wyzwolić z pod jarzma determinizmu historycznego, i uczynić z nich swobodne i wyłączne pole dla twórczości politycznéj.

Równie niezręcznym wykrętem myśli, pragnącéj uwolnić się od téj antinomii metodycznéj, byłoby twierdzenie, napotykane jednak dość często, że celowa akcya społeczna, jakkolwiek ewolucyi w niczém zmienić nie może, to jednak ją przyśpiesza; przyszłość wyjdzie z łona teraźniejszości taką samą przy naszém działaniu celowém, jak i bez niego, wyjdzie taką jak ją zdeterminował rozwój historyczny, którego i my sami, ze swoim ideałem i pracą twórczą, jesteśmy tylko jedném poszczególném ogniwem; działanie zaś celowe może tylko przyśpieszyć ten poród przyszłości, nie dorzucając jednak nic nowego do jéj jakościowéj treści. Spełnienie się pewnego zadania dziejowego, jeżeli ma nastąpić, to nastąpić musi, jako zdeterminowane przyczynowością historyczną, ślepą, nieubłaganą i nieznającą wahania się żadnego; my zaś tylko—świadomym wysiłkiem swéj woli możemy skrócić jego żywiołowy rozwój. Tym sposobem, sprzeczność ma być rozwiązana za pomocą rozgraniczenia dziedziny ewolucyi i dziedziny

twórczości — pomiędzy jakościową i ilościową stroną życia. W stronie jakościowéj panuje wyłącznie ewolucya: typy ustrojów, treść dziejów, determinują się żywiołowym procesem; w stronie zaś ilościowéj, pojmowanéj jako wielkość czasu, która jest potrzebna dla danego rozwoju historycznego, panuje twórczość i tu tylko ma swobodne dla siebie pole. Czas jest tu wzięty jako pewna abstrakcya realna, istniejąca niezależnie od zjawisk, i z którą można operować nie dotykając jéj treści, jako z czémś zupełnie pustém, wszelkiéj zawartości fenomenalnéj pozbawioném i unoszącém się ponad życiem, a jednak rzeczywistém. Błędność filozoficzna takiéj koncepcyi rzuca się w oczy. Czas, który jest tylko formą naszego spostrzegania zjawisk, jako pewna realność od zjawisk niezależna i treści zjawiskowéj pozbawiona istniéć nie może; abstrakcyi pojęciowéj „czasu” nie odpowiada obiektywnie nic więcéj, jak tylko pewien szereg zjawisk, zmian kolejnych. Przyśpieszyć nastanie jakiegoś faktu, oznacza więc tylko wyłączyć pewną seryę zjawisk, która przedziela daną obecnie przyczynę od skutku oczekiwanego, zatém rozerwać szereg przyczynowości, unicestwić pewne ogniwa. Twórczość działająca na czas stawania się czegoś, działałaby więc z konieczności rzeczy i na samą treść zjawiskową życia, ewolucyjnie zdeterminowaną. Sprzeczność zatém rozstrzygniętą nie zostaje i jest ona do rozstrzygnięcia niemożliwą, dopóki obracamy się w dziedzinie fenomenów.

Rozwiązania sprzeczności poszukiwać należy gdzieindziéj. Ponieważ jest ona sprzecznością dwóch metod wykluczających się nawzajem i mogących tylko panować każda wyłącznie w zakresie swego przedmiotu, zatém rozwiązania tego poszukiwać należy na gruncie zupełnie neutralnym dla nich obu, tam gdzie jeszcze żadna z nich nie rozciąga swéj władzy; gdy tylko bowiem wchodzimy w dziedzinę przyczynowości lub tworzenia, musimy poddać się bezwarunkowo pod absolutne panowanie jednéj lub drugiéj metody, i jedna lub druga będzie musiała być stanowczo wykluczoną; ideał nie dopuści do siebie żadnéj ewolucyjności, ewolucya — żadnego ideału. Rozwiązanie znaléść się może tylko w tym jedynym punkcie, który jako dla obu niedostępny, obie jednak warunkuje i umożliwia. Punkt zaś taki, gdzie sprzeczność rozpatrywana znika, gdzie dwulicowość metodyczna stapia się w swém źródle jednolitém i wspólném, może być tém tylko, co warunkując niezbędnie fenomen, samo fenomenem nie jest, co zatém zawiéra w sobie *implicite* zarówno ewolucyjną zasadę, jak i twórczą.

Czém zaś to jest, wskazuje to sama natura tych przedmiotów, w których zjawia się współistnienie obu metod. Współistnienie to jest

możliwém tam tylko, gdzie ma się do czynienia nie z samemi zjawiskami, lecz i z subiektem myślącym. Twórcza metoda, cechująca się dowolnością i kategoryą etyczną, wyrażaną w formule „być powinno", nie znajduje np. żadnego miejsca w naukach przyrodniczych, jest zupełnie obca ich duchowi. Twierdzenia: że tlen powinien łączyć się z wodorem, lub że ciepło powinno przemieniać się w parę mechaniczną, nie mają wprost sensu. Samo zaznaczenie faktu, że się „łączy" lub „przemienia" wyczerpuje całą treść danego przedmiotu. Nie ma tu tak samo miejsca dla etyki, jak i dla dowolności, wyrugowanéj całkowicie przez determinizm przyczynowości, występujący w stałych i niezmiennych prawach. To samo znajdujemy i w zjawiskach psychicznych, gdy je rozpatrujemy w procesach nieświadomych, odbywających się bez udziału naszéj apercepcyi, świadomego wysiłku woli: wyobrażenia skojarzone miejscem wywołują się nawzajem; pojęcie „psa" ogólne zawiéra w sobie pojęcia wszystkich „psów" konkretnych; nie zaś—powinny się wywoływać, lub powinno zawiérać; moralność wrażeniowa, wymagająca by takiéj podniecie odpowiadało takie a takie wrażenie, byłaby równie komiczna i bezpodstawna, jak i moralność związków chemicznych. Wszelkie więc zjawiska, zarówno fizyczne jak i psychiczne, okazują się całkowicie odpornemi dla metody twórczéj, nie dającemi się nagiąć do formy dowolności etycznéj, gdy się je rozpatruje w stosunku do nich samych, w ich żywiołowych działaniach pomiędzy sobą; dziedzina czystego fenomenu znajduje się pod wyłącznem panowaniem przyczynowości. Natomiast, i fizyczne i psychiczne zjawiska mogą wejść doskonale w formę dowolności etycznéj, gdy są rozpatrywane w stosunku do subiektu, do istoty myślącéj: ciepło powinno być przekształcone na pracę mechaniczną, ze względu na cele produkcyjne człowieka; towary, wytwory pracy, powinny odpowiadać potrzebom ludzkim; myślenie — powinno być logiczne; uczucia dobre—powinny rządzić czynami. Tutaj więc metoda twórcza ma swoje zastosowanie zupełnie uprawnione, jest nawet wymagana przez naszą krytykę poznawczą, chociaż zarówno w pracy wytwórczéj, w czynach woli naszéj, jak i w myśleniu, znajdujemy tylko zjawiska same, fizyczne lub psychiczne, jako składające całą treść danych faktów; następczość jednak tych zjawisk jest tutaj rozpatrywana w stosunku do naszéj woli świadoméj, w stosunku do człowieka jako istoty myślącéj, i dlatego, pomimo czysto fenomenalnéj treści, treść owa jest zupełnie dostępna dla metody twórczéj, dla kategoryi celowości i obowiązku, nie przestając zarazem—jako fenomenalna—podlegać zasadzie przyczynowości, metodzie naukowéj. Współistnienie zatém obu metod jest możliwe tam tylko, gdzie zjawia się człowiek jako istota my-

ś l ą c a, gdzie szeregi zjawiskowe rozpatrywane są w stosunku do s u b i e k t u. — Czém się to usprawiedliwia? Jaki punkt tajemniczy istnieje w człowieku, który nie tylko pozwala na współistnienie dwóch wykluczających się nawzajem metod, lecz współistnienia tego nawet wymaga; który nie naruszając w niczém determinizmu zjawiskowego, stawia mu jednak normy obowiązujące i wskazuje wyżyny ideału?

II.

Dla zrozumienia tego musimy zwrócić się do czystéj teoryi poznania, i w saméj z a s a d z i e z j a w i s k a poszukiwać wyjaśnienia tajemnicy. — Z j a w i s k i e m jest wszystko z czém możemy wejść w jakikolwiek stosunek, wszystko co jest lub może być dostępne dla naszego doświadczenia zewnętrznego lub wewnętrznego, co jako pewne d a n e wobec nas występuje. Ponieważ to tylko p o z y t y w n i e dla nas istnieje, co wchodzi jakkolwiek w zakres naszego doświadczenia, w życie nasze, tytułem rzeczy realnych lub możliwych, fizycznych lub duchowych, przeto każde istnienie, pozytywną wartość mające, jedyne o którém możemy coś wiedziéć, będzie zjawiskiem. Przedmioty świata zewnętrznego, fakty życia, tak samo jak wszelkie stany psychiczne, teraźniejszość rzeczywista, tak samo jak możliwość, jedném słowem— cała treść duszy i przestrzeni, stanowi zjawiskowość. Jeżeli zaś niezależnie od wszelkich teoryi metafizycznych, niezależnie od tego czy treści naszego doświadczenia nadajemy znaczenie rzeczywistości pozornéj tylko, czy téż rzeczy saméj w sobie; jeżeli zechcemy całą tę różnorodność treści doświadczenia naszego, całą zawartość życia wogóle, sprowadzić do jednéj abstrakcyi, objąć wszystkie istnienia doświadczeniu naszemu dostępne — jedną cechą, im wszystkim bez wyjątku wspólną, to zobaczymy, że tą jedyną cechą wszystko ogarniającą, tą najwyższą i ostatnią abstrakcyą, nie dającą się już podnieść na wyższy stopień uogólnienia, jest to tylko, że one, istnienia wszelkie, są p r z e d m i o t e m m y ś l i n a s z é j. — Wszystko co j e s t, nie w znaczeniu metafizycznem lecz pozytywném, t. j. co j e st jako rzecz mogąca wejść w zakres doświadczenia naszego, zewnętrznego lub wewnętrznego, j e s t wskutek tego tylko, że stanowi przedmiot naszéj myśli, lub nim być może. Coś, co by nie mogło być przy żadnych warunkach spostrzeżone przez nas, ani w swéj teraźniejszości żywéj, ani w swoich następstwach, ani jako przedmiot zewnętrzny, ani téż jako wyobrażenie, pojęcie lub czucie nasze, co jednem słowem — w żadnéj formie nie mogło by stanowić przedmiotu myśli naszéj, gdyby nawet istniało sa-

mo w sobie, w niedostępnéj dziedzinie tajemnic, to jednak dla nas nie istniało by wcale, pozytywnéj wartości istnienia nie miało by żadnéj, było by absolutném niczém w całym zakresie naszego życia.—Gdy się staje fakt jakiś i wciąga nas w stosunek wzajemnego ze sobą oddziaływania, to staje się na mocy tego, żeśmy go spostrzegli jako realność obecną, albo spostrzegliśmy go w jego skutkach, albo téż jako możliwość przewidywaną. Kiedy np. deszcz pada, jest to fakt realny teraźniejszości, jeżeli go spostrzegamy podczas padania; jest jednak tak samo faktem realnym i wtedy, kiedy go nikt nie spostrzega, bo objawia się jako fakt były w swoich następstwach; lecz i wtenczas nawet, kiedy ani padał, ani w skutkach swoich nie jest przez nas spostrzeżony, może jednak pomimo tego, być faktem, jako sama możliwość nasuwająca się naszéj myśli z jakiegokolwiek powodu, jako fakt wogóle, który mógł być lub nie być w danym czasie. Zmienia się więc tylko sama forma spostrzegania naszego; spostrzeganie jednak, zrodzenie się myśli, pozostaje zawsze jako nieodłączne kryteryum dla istnienia faktu. Możemy doskonale przypuścić istnienie wielu rzeczy nie spostrzeganych, zatajonych dziś przed nami, lub nawet na zawsze, nieskończony świat możliwości, świat nieznanych stosunków działania, nie widzianych postaci, nie doświadczanych nigdy stanów uczucia; lecz już samo przypuszczenie tych możliwych rzeczy, daje im pewną pozytywną wartość istnienia, jako czegoś wyobrażanego, przeczuwanego, zatém, jako przedmiotu myśli naszéj, tylko że ten przedmiot jest tutaj natury czysto psychicznéj. Tak samo fakty najbardziéj realne, najmniéj podlegające osądzaniu i przypuszczaniom, jak ból naprzykład, czerpią całą moc istnienia ze swego stanowiska jako przedmiotów myśli; ból, który by nie był jakkolwiek spostrzeżony, którego by nie można nigdzie umiejscowić, ani nawet ogólnie pomyśléć że jest, nie istniał by wcale jako zjawisko psychiczne, jako czucie nasze; światło słoneczne zagasło by zupełnie, niknąc w negatywnéj krainie bytu niepoznawalnego, gdyby nie mogło być ani spostrzeżone jako wrażenie rzeczywiste, ani wyobrażone jako byłe lub być mające zjawisko, ani wywnioskowane jako konieczna lub możliwa przyczyna lub skutek spostrzeganych faktów, t. j. gdyby w żadnéj formie nie stawało się rodnikiem myśli naszéj.

Atrybut „istnienia” jest więc jednoznaczny z możnością stawania się obiektem myśli. Coś jest pozytywnie—jako fakt życia wogóle— to znaczy jest możliwością myśli. Są to dwa pojęcia zupełnie przystające do siebie, całkowicie zastępujące siebie nawzajem, przedstawiające tożsamość treści. — Jeżeli przypuścimy istnienia metafizyczne, rzeczy same w sobie, bytujące niezależnie od naszéj myśli (jak materya,

lub Ideje platońskie), to możemy powiedziéć, że między nami a wszelkiém istnieniem po za nami będącém, leży zawsze myśl — jedyny pomost, który łączy nas z rzeczą samą w sobie, i stąd téż, istnienie wszelkie, wtedy tylko jako takie objawić się może, gdy staje się przedmiotem myśli,—czyli, że w możliwości myśli tkwi jego pozytywne znaczenie, znaczenie faktu mogącego wejść w nasze doświadczenie, stać się momentem życia, cząstką świata naszego. — Możliwość myśli — jest więc zasadą zjawiska. — Zasada ta nie przesądza żadnéj teoryi metafizycznéj i zachowuje swoją powszechną doniosłość tak samo wobec materyalizmu jak i idealizmu; jest bowiem tylko wypowiewiedzianém *in abstracto*, doświadczeniem, cechą nieodłączną wszystkich bez wyjątku faktów konkretnych. Przypuściwszy nawet, że atomy chemiczne są podstawą wszech rzeczy, atrybut możliwości myśli pozostaje zawsze niezbędnym warunkiem, ażeby grupa, połączenie, synteza tych atomów, stała się istnieniem pozytywném, istnieniem w zakres doświadczenia naszego wchodzącém.

Jest to jednak dopiero jedna strona zasady — *explicite* wyrażona, która niezbędnie zawiéra w sobie drugą — niewyrażoną, tak samo jak kierunek „na prawo" jest możliwy tylko wobec swego przeciwieństwa—kierunku na lewo. Zasada zjawiska — jako przedmiotu myśli, zawiéra w sobie *implicite* pojęcie subiektu myślącego. Przedmiot myśli jest niemożliwy bez swego przeciwieństwa—subiektu myślącego, tak samo jak subiekt myślący—bez przedmiotu myśli, jeżeli tylko trzymamy się w zakresie istnienia pozytywnego, istnienia wchodzącego w nasze doświadczenie, w życie wogóle, nie dotykając zagadkowéj krainy „myśli samych w sobie", idei po za naszą świadomością bytujących, to jest pojęć nie dających się pomyśléć, pozbawionych wszelkiéj treści [1]). Wobec więc wartości pozytywnéj zjawiska — jako czegoś spostrzeganego, musi wystąpić jego wartość negatywna — to co spostrzega. Wobec jego charakteru przedmiotowego, rzeczy narzucającéj się żywiołowo, występuje jego charakter podmiotowy — negacya wszelkiéj rzeczy, warunkująca niezbędnie przedmiotowość. Zjawisko zatém każde ma jak gdyby dwa oblicza: obiektywne i subiektywne. Pierwsze tylko—jako przedmiot myśli — jest poznawaném; drugie — jako warunkujące przedmiot myśli — samo nim być nie może, jest niepoznawalnem. Pierwsze, dźwiga na sobie wyłącznie cały apa-

---

[1]) „Po za obrębem swego stosunku do subiektu, przedmiot przestaje być przedmiotem, i jeżeli go się pozbawia tego stosunku lub czyni się zeń abstrakcyą, to zarazem niszczy się wszelkie istnienie obiektywne." (A. Schopenhauer—Quadruple racine du principe de la raison suffisante, p. 46).

rat myślenia, potrzebuje dowodzeń, uzasadnienia; drugie — jako niedostępne dla poznawania, neguje całą logikę, jest swobodne od wszelkich praw obowiązujących przedmiotowość poznawaną; nie zna form poznawania dla siebie — bo samo poznaje; nie potrzebuje uzasadnienia—bo samo uzasadnia. Jest to jak gdyby oko, „które wszystko widząc, siebie samego zobaczyć nie może”, światło, które ponieważ wszystko oświeca, siebie oświecić nie potrzebuje. Wszystkie zatém prawa i formy, w których świat cały i życie nam się przedstawia, i zasadnicze ich kategorye—czas, przestrzeń i przyczynowość, którym wszystko co jest, podlega, tworząc ścisłą całość logiczną, stanowią wyłączną przynależność pozytywnéj strony zjawiska, zjawiska jako przedmiotu myśli, i dla drugiéj jego strony—negatywnéj, są zupełnie obce. Ona — jako warunkująca przedmiot—musi być całkowitą negacyą wszystkich jego atrybutów. To właśnie negatywne oblicze fenomenu — jest subiektem myślącym, który przeciwstawia się zjawiskom właściwym—rzeczom i stanom psychicznym, przedmiotom wogóle; czyli prościéj mówiąc, jest tém co każdy w sobie spostrzega jako „ja” własne, będące dla każdego najlepiéj mu znaną i najpewniejszą rzeczywistością [1]).

Intuicya własna zgadza się najzupełniéj z negatywnym charakterem subiektu.—Moje „ja” na niczém się nie opiéra, nie posiada żadnego uzasadnienia, żadnego kryteryum pewności, samo dla siebie jest przyczyną wystarczającą, swojém jedyném uzasadnieniem. Na wszystko potrzebuję pewnego sprawdzianu logicznego, pewnego prawidła strzegącego od błędów; wszystko może być wątpliwém i złudném, wobec tysiąca różnych omyłek i zboczeń, jakie czają się nieustannie w naszéj myśli i zmysłach, zmylając prawidłowość poznania; jedno tylko „ja” moje wyniesione jest dla mnie po nad wszelkie wątpliwości, pewnikiem gardzącym dowodami, tak że pytanie poszukujące sprawdzianu—„skąd ja wiem, że to „ja” — wydaje się nam zupełnie bezsensownèm i niepotrzebném. — „Ja” moje jest niepoznawalne zupełnie, w żadne określenie rozwinąć go nie mogę, żadnego atrybutu dlań wynaléść, nic powiedziéć, oprócz tego tylko, że to ja; a jednak nic jaśniejszego nie ma dla mnie jak „ja” moje, nic bardziéj bezpośredniego i wolnego od wszelkiéj omyłki, nic rzeczywistszego.

---

[1]) „Można uczynić abstrakcyę, mówi Schopenhauer, ze wszelkiego specyalnego poznania i dojść tym sposobem do twierdzenia: „ja wiem“, które jest ostatnią abstrakcyą do jakiéj jesteśmy zdolni; lecz to twierdzenie jest jednoznaczne z następującém: „istnieją przedmioty dla mnie“, a to ostatnie jest identyczne z tém drugiém: „ja jestem subiekt“, które nie zawiera w sobie nic innego jak tylko proste „ja“—(op. cit. p. 217).

Jest niedostępne dla definicyi, bo nic nie ma pewniejszego odeń, nic zatém nie może służyć do jego zdefiniowania. — Przeciwstawia się ono wszystkim zjawiskom: ja nie jestem żadnym przedmiotem zewnętrznym, który widzę w danéj chwili, bo ten widzę jako przedmiot; nie jestem organizmem swoim, bo spostrzegam i badam ten organizm jako przedmiot; nie jestem żadném wyobrażeniem, ani uczuciem, ani pojęciem, wypełniającém świadomość moją w danym momencie, bo spostrzegam je jako swoje stany psychiczne, chociaż w świadomości mojéj nic innego nie ma jak tylko szereg tych stanów, rozwijający się nieprzerwanym biegiem; nie jestem bólem, ani rozkoszą, ani pragnieniem, bo czuję ten ból, pragnienie i rozkosz; wszystkiemu towarzyszę, lecz niczém nie jestem, tylko tém „ja", które dla mnie żadnych objaśnień nie potrzebuje, bo ponad wszystkie określenia najbardziéj jest mi znane i jasne. Przeciwstawiając się wszystkim zjawiskom, jest przez to samo niepochwytne dla myśli, wymykające się nieustannie z pod każdéj jéj formy, nie dające się uwięzić w żadném pojęciu. Gdy myślę o niém, to już nie „ja" właściwe jest przedmiotem mojéj myśli, lecz tylko pewne pojęcie filozoficzne; właściwe „ja", gdy tylko je ująć chcemy myślą swoją, przenosi się natychmiast na negatywny biegun zjawiska, zajmuje stronę czynną i spostrzega to swoje widmo pojęciowe, podobnie jak oko tylko obraz swój odbity w źwierciedle widziéć może, nigdy zaś siebie samo. — Towarzysząc zmianom ciągłym—„ja" moje, samo, zachowuje niezmienną ciągłość swoją, gdyż jako negacya wszelkich jakości żadnym zmianom podlegać nie może, jako negacya wszystkiego — pozostaje zawsze tém samém—niczém zjawiskowém. Od początku do końca życia zmienia się wszystko: charakter, pojęcia, wrażenia, świat otaczający, organizm, siły, chęci; od dzieciństwa do śmierci przechodzę przez cały szereg osobowości, fizycznie i duchowo różnych; pomimo tego jednak, pozostaję zawsze sobą; pod maską największych zmian życiowych ciągłość mego „ja" pozostaje nienaruszona, łączy te wszystkie najsprzeczniejsze osobowości, dzięki czemu, w dziecku i w starcu, w zdrowiu i chorobie, w bogatéj wrażliwości młodzieńczéj i w późniejszém stępieniu, odnajduję zawsze tylko siebie samego; w najskrajniejszych przeciwieństwach życiowych — duchowych i fizycznych, czuję zawsze tożsamość, swoje „ja" własne.

Ta negatywna strona świadomości — „ja" moje, subiekt myślący człowieka, jest więc tém, co warunkując niezbędnie każde zjawisko, samo jednak zjawiskiem nie jest. W niéj zatém spoczywa rozwiązanie téj sprzeczności metodycznéj, która występuje wszędzie, gdzie zjawia się człowiek jako istota myśląca.

Przyczynowość i dowolność godzą się tutaj najzupełniéj, wymagają się nawet wzajemnie, jak gdyby części jednolitéj syntezy [1]). Przyczynowość—jako forma poznawania naszego — jest wyłączną przynależnością zjawiska właściwego, zjawiska jako przedmiotu myśli; nie może jednak dotyczyć negatywnéj, niepoznawalnéj jego strony — subiektu myślącego, który jako negacya wszelkich atrybutów, wszelkich form intuicyi naszéj, jest także i negacyą przyczynowości, dziedziną dla niéj niedostępną. Zjawisko zatém, które wobec innych zjawisk, poprzedzających je lub następujących po niém, musi być zawsze skutkiem lub przyczyną, a przeto podległém ścisłemu determinizmowi, wobec podmiotu, który żadnych więzów przyczynowości znać nie może, musi wystąpić w charakterze dowolności zupełnéj, zatém nie jako wynik konieczny, lecz jako cel lub ideał, który może się stać lub nie stać. Stosunek więc zjawiska do subiektu staje się stosunkiem dowolności celowéj, który my aktem woli świadoméj nazywamy. Nie daje się on wyłączyć z przyczynowości, bo niemożliwym jest do pojęcia podmiot myślący bez przedmiotu myśli.

Zasada przeto zjawiska, będąca zarazem zasadą istoty myślącéj, wymaga tak samo determinizmu jak i dowolności. Wokoło pozytywnego bieguna zjawiska, tam gdzie się rostacza świat cały—fizyczny i duchowy, panuje determinizm, przyczynowość żywiołowa, atmosfera zupełnie niedostępna dla wszelkich norm etycznych, w któréj wyrazy „zło" i „dobro" stają się pustemi dźwiękami, i wszystko jest zarówno usprawiedliwione, jako konieczne, nieubłagane, ślepe. Wokoło zaś negatywnego bieguna zjawiska, tam gdzie się znajduje jedno tylko „ja" ludzkie, niepoznawalne bo wszystko poznające, negacya świata, tam panuje dowolność, przyczyny celowe, ideały; proste ogniwa przyczynowych szeregów, fakty, przybierają tutaj charakter etyczny, podlegają obowiązującym normom. I jakkolwiek obie te dziedziny są tak zasadniczo sprzeczne, obie jednak warunkują się nawzajem, stanowią jednolitą, niedającą się rozerwać całość. Biegun pozytywny jest niemożliwy bez negatywnego, tak samo jak odwrotnie; oba bowiem stanowią jedną tylko zasadę zjawiska, będącą zarazem zasadą subiektu myślącego. Sprzeczność zatém metodyczna rozwiązuje się

---

[1]) „Konieczność przyrodnicza, mówi Kant, jest nieodłączną właściwością wszelkiego połączenia przyczyn i skutków w świecie zmysłowym, lecz wolność musi być przyznana téj z przyczyn, która sama nie jest fenomenem (chociaż by służyła za podstawę warunkującą fenomen). Przeto, konieczność (dosłownie natura) i wolność mogą być uważane bez sprzeczności za przynależność tego samego przedmiotu, zależnie od tego z jakiéj strony go się rozpatruje, jako zjawisko czy też jako rzecz samą w sobie." (Kant—Prolegomènes à toute métaphysique, § 53).

zupełnie. Przyjmując zaś ową zasadę, stajemy na stanowisku czysto ludzkiém, biorąc za punkt wyjścia najpierwsze, najbardziéj bezpośrednie dane — człowieka jako istotę myślącą. Rozpatrując bowiem zjawiska jako przedmioty myśli naszéj, warunkujące się niezbędnie swoją negacyą — subiektem myślącym, ludzkiém „ja", twierdzimy zarazem milcząco, że po za nami, w przypuszczalnéj krainie bytów nadludzkich, jest tylko wielka próżnia filozoficzna, z którą ani nauka, ani twórczość nasza nic wspólnego mieć nie może.

III.

Przejdźmy teraz do natury przedmiotu, który wydaje się że tak ściśle jednoczy w swych głębiach zasadniczą sprzeczność determinizmu i dowolności. Nasuwa się przedewszystkiém pytanie, czy zasadnicza podstawa, która występuje jako konieczna dla rozwiązania sprzeczności metodycznéj, zachowuje swoją wartość wobec przedmiotu, t. j. wobec natury zjawisk społecznych[1]). Można by bowiem przypuścić, że owa dwojakość metody jest tutaj sztucznie przyczepiona, że stanowi powszechne złudzenie umysłów, od którego ściślejsza krytyka natury tych zjawisk oswobodzić może. Istnienie polityki, tworzącéj historyę, okazało by się wówczas wielkim przesądem epoki, z mylnego pojmowania życia społecznego wynikającym, podobnym do tego, który w średnich wiekach, modłami i magią, chciał przeobrażać bieg fizycznych faktów przyrody. W sferze bowiem zjawisk społecznych, obcych naturą swoją naszéj istocie myślącéj, nie dających się rozpatrywać w stosunku przyczynowym do niéj, pomimo całéj ich zmienności ewolucyjnéj, nie było by tak samo miejsca dla celowego działania, jak nie może być partyi astronomów przewidujących pewne zaburzenia planetarne, a pomimo tego zmuszonych do działania w tym kierunku. Gdzie nie ma człowieka, tam w całéj pełni rozciąga się dewiza burżuazyjnego naturalizmu: „poddaj się, milcz i obserwuj", bo wszystko co nie jest nami, jest w istocie swéj niepoznawalne dla nas i dla działania woli naszéj niedostępne. Stąd téż, wszelkie metafizyczne pojmowanie życia społecznego, bez względu na to, czy źródła tego życia poszukuje ono w Opatrzności, w środowisku geograficznem, w stosunkach rzeczowych, lub w mistycznéj „krwi ra-

---

[1]) „Metoda i doktryna powinne przedstawiać się razem, połączone ze sobą nierozdzielnie jak materya i forma... Estetyka i metodologia są na mocy saméj właściwości swéj natury późniejsze niż poezya i filozofia.“ (A. Schopenhauer—Monde comme répresentation etc. Suppl. Theorie de la science).

sowéj", wyznacza zawsze dla człowieka to samo stanowisko biernéj rezygnacyi wobec fatalnych praw téj zagadkowéj, niedostępnéj dla nas siły, która ludzkością rządzi; tak samo jak stając wobec zupełnie nam obcéj istoty zjawisk fizycznych, wobec tajemnicy sił cząsteczkowych i pierwiastków chemicznych, bez prób nawet żadnych, intuicyjnie, zrzekamy się z góry wszelkiego „powinno być", wszelkiego twórczego udziału w téj mistycznéj dla nas krainie, ograniczając się do skromnéj roli obserwatorów.

Niezależnie jednak od tego, jakie pochodzenie metafizyczne przypisujemy zjawiskom społecznym, jaką abstrakcyą — duchową czy materyalną — cechujemy ich istotę, musimy przedewszystkiém i bez żadnego zastrzeżenia przyznać im tę cechę, że istnieją dla naszego doświadczenia, że wchodzą w zakres naszéj obserwacyi, jako pewne pozytywne wartości, jako fakty, z któremi myśl nasza może operować. Jest to ich cecha najbardziéj bezpośrednia, a zarazem najpowszechniejsza i ogólna, cecha p r z e j a w u m y ś l o w e g o, wszystkim zjawiskom wspólna, równoznaczna z wszelkiém istnieniem. Zjawisko społeczne, zanim możemy cokolwiek powiedziéć o jego właściwościach i treści, jest przedewszystkiém z j a w i s k i e m t. j. przedmiotem myśli naszéj, czémś co się narzuca naszemu spostrzeganiu, co jako d a n e pewne, rodnik myślenia naszego, staje przed nami w postaci różnych faktów, zaciąga się do sfery życia naszego. — Jest to pierwsza definicya zjawisk społecznych, z któréj ani one, ani nic na świecie wyswobodzić się nie może inaczéj, tylko z utratą wszelkiéj pozytywnéj wartości, z przejściem całkowitém do nad-życiowéj, niepoznawalnéj dziedziny negacyi. — Pod przedmiotem myśli naszéj ukrywają się jednak tylko albo rzeczy fizyczne, albo téż psychiczne stany. Przejdźmy cały zakres naszego doświadczenia, wszystko co jest realne lub możliwe, a nie znajdziemy nic takiego, co by do jednéj lub drugiéj kategoryi włączyć się nie dało. Pomiędzy dwie te dziedziny, z których jedna, pod wyłączném panowaniem czasu zostając, w stan wewnętrzny świadomości naszéj wszystko przemienia, druga zaś, czasowi i przestrzeni zarówno hołdując, sprowadza wszystko do ruchu i materyi, rozdziela się i wyczerpuje całkowicie cała nasza intuicya, cała treść świata, z którym mamy do czynienia. Nie ma takiego faktu, ani takiéj chwili życia naszego, która by nie posiadała albo psychicznéj albo fizycznéj formy, która by nie dała się spostrzegać jako ciało wymiarowe, ruch przestrzenny, albo téż jako idea, pojęcie lub uczucie nasze. Mając do czynienia z czémś najbardziéj metafizyczném, z takiemi „substancyami" jak duch, materya lub siła, nie możemy nigdy ich wyzwolić z tych

dwóch jedynych form—psychicznéj i fizycznéj — któremi intuicya nasza naprzemian rozporządza, w które wszystko, co tylko posiąść może, wmieszcza i klasyfikuje, tak że trzecia kategorya zjawisk, które by ani psychicznemi, ani fizycznemi nie były, ani stanem świadomości naszéj, ani żadnym ruchem materyi, jest równie niemożliwa do wyobrażenia, jak czwarty wymiar, lub czas zatrzymany w swym biegu.

Z góry więc przyjąć musimy, bez odwoływania się do poszczególnych doświadczeń i dalszéj analizy, że zjawiska społeczne, przez to samo już, że są zjawiskami, że wchodzą w zakres spostrzegania i życia naszego, muszą podlegać tym dwom zasadniczym formom naszéj intuicyi, rozdzielać się pomiędzy nie całkowicie, nie tworząc nic trzeciego, co by kategorycznie wyodrębniało się od nich. Doświadczenie zresztą, obserwowanie szczegółów konkretnych, zgadza się najzupełniéj z tym dedukcyjnym wywodem. Spojrzyjmy na jakie bądź zjawisko społeczne, będzie to tylko albo rzecz fizycznéj natury: ziemia, towary, praca mięśniowa; albo téż pojęcia i uczucia występujące w postaci praw, zwyczajów, dążeń zbiorowych. W całéj dziedzinie życia społecznego nie znajdziemy nic takiego, co by było społeczném nie będąc zarazem albo materyalném, albo téż duchowém zjawiskiem. „Społeczne" nie ma nigdy swéj specyalnéj formy w intuicyi naszéj, nie przeciwstawia się rzeczom przestrzennym i stanom świadomości, lecz w nich się odnajduje, z ich formami współistnieje, i w tych jedynych formach nam się objawia. Towar, zjawisko *par excellence* społeczne, jest zarazem zwykłym przedmiotem materyalnym, dającym się doskonale rozpatrywać ze stanowiska fizyki, mechaniki lub chemii, i po za obrębem téj formy pomyśléć się nie da, doświadczeniu naszemu nie jest dostępném. Tak samo wszystkie idee rządzące życiem zbiorowości ludzkiéj, pomimo swéj specyalnéj, społecznéj natury, nie mają jednak innéj formy istnienia, jak tylko psychiczną, stanów świadomości naszéj, i pomimo tego że stanowią przedmiot odrębnéj, socyologicznéj nauki, mogą jednak podlegać analizie psychologicznéj na równi ze zjawiskami życia indywidualnego świadomości. Idee Boga, własności, władzy państwowéj, i t. d. nawskroś przesiąknięte charakterem społecznym, życiem zbiorowém ludzi, nie dały by się zacieśnić do indywidualnéj świadomości człowieka, a jednak cała ich istota społeczna nie przejawia się nigdzie indziéj, jak tylko w tysiącznych stanach psychicznych, rozproszonych po indywidualnych mózgach ludzkich, i nadaremnie byśmy szukali jéj czystego i odrębnego przejawu.

Jeżeli jednak wszystkie zjawiska społeczne rozdzielają się najzupełniéj pomiędzy dwie zasadnicze i jedyne kategorye intuicyi naszéj, nie pozostawiając nic takiego, coby ani fizyczném, ani psychiczném nie

było, to natomiast wszystkie one posiadają swój specyalny atrybut, który je wyodrębnia od jednych i drugich, tak, że intuicyjnie już przestrzegamy utożsamiania społecznych zjawisk z fizycznemi i psychicznemi. Zjawiska fizyczne wtedy tylko stają się społecznemi, gdy je uduchowiamy, gdy stają się nosicielami pracy i potrzeb ludzkich, gdy nie tracąc swéj materyalnéj, fizycznéj natury, są zarazem symbolami inteligencyi, myśli. Wszelki przedmiot lub dar przyrody daje się tylko rozpatrywać w charakterze zjawiska fizycznego, dopóki nie będzie podniesiony do godności wytworu celowéj pracy ludzkiéj, lub nie przeistoczy się na wartość użytkową, to jest w ucieleśnienie pewnych pożądań ludzkich; wtedy uspołecznia się. Złoto, rozpatrywane jako rzecz, metal, ugrupowanie cząstek o pewnych właściwościach chemicznych, nie posiada żadnéj natury społecznéj; nabywa zaś jéj wraz z charakterem symbolu pracy i potrzeb ludzkich, stając się równoważnikiem towarów, krystalizujących w sobie świadome wysiłki twórczości naszéj. Stąd téż zmienność historyczna jego losów: pozbawione wszelkiego wpływu na życie zbiorowe w dawnych komunach rodowych plemion barbarzyńskich; z bardzo ciasną sferą działania na gruncie naturalnéj gospodarki feudalizmu, staje się wszechwładną potęgą życiową w społeczeństwie kapitalistycznem, gdy praca ludzka, przekraczając sferę ogniska domowego wytwórcy, zakres jego osobistych potrzeb, przeistacza złoto w ucieleśnienie swego abstrakcyjnego charakteru, w symbol wszelkich możliwych potrzeb i wysiłków twórczych człowieka. W miarę więc tego, jak wzbogaca się jego charakter psychiczny, z wartości poszczególnego użytku, przechodząc do wartości użytku wogóle, do abstrakcyjnéj wartości zamiennéj, do znaczenia powszechnego równoważnika wymiany, w którym odnajdują się wszelkie konkretne potrzeby indywidualne, obecne i przyszłe, realne i możliwe, w miarę tego potężnieje zarazem i społeczny charakter złota, ze zwykłéj rzeczy materyalnéj—przeobrażając się w jakąś mistyczną niemal istotę, w bóstwo rządzące światem dusz ludzkich, które wtenczas nawet istnieje i działa, gdy jako metal jest nieobecne, mocą tylko utajonego przekazywania swéj władzy—różnym papierom wekslowym, banknotom i akcyom. Tak samo charakter psychiczny odnajdujemy w całym zakresie fizycznych zjawisk, jako niezbędny i jedyny warunek ich uspołecznienia się. Nietylko przedmioty materyalne, lecz i siły natury, dające się zawsze sprowadzić do ruchu cząsteczek materyi, zatém występujące wobec świadomości naszéj w charakterze czysto rzeczowym, siły najbardziéj nam obce, wszelkiéj „ludzkości" pozbawione, jak ciążenie, powinowactwo chemiczne, ciepło, elektryczność, stają się jednak zjawiskami społecznemi, gdy są

celowo zastosowane do potrzeb ludzkich, gdy uwięzione w technice wytwórczéj przedstawiają sobą symbol zaklętéj w materyi inteligencyi przeszłych i żyjących pokoleń. Jedném słowem, zjawisko fizyczne staje się społeczném, gdy się „uduchowia", gdy nie przestając być rzeczą, t. j. czémś zewnętrzném i przestrzenném, przeciwstawiającém się naszéj świadomości, przybiéra zarazem charakter psychiczny.

Z drugiéj znów strony zjawisko psychiczne staje się społeczném, gdy, nie przestając być stanem wewnętrznym naszéj świadomości i jako taki spostrzeganym, przybiéra jednak charakter obiektywny, uniezależnia się od bezpośredniego działania woli naszéj i narzuca się nam zzewnątrz, jak gdyby rzecz pewna. Weźmy jakikolwiek stan psychiczny—ideę, uczucie, pożądanie, podniesiony do godnośei zjawiska społecznego. Czém się on odróżnia od indywidualnego stanu mojéj świadomości, po czém poznaję jego charakter społeczny? W treści jego, w pierwiastkach składowych, w oddziaływaniu na zewnątrz, w skojarzeniach, jakie grupują się wokoło niego, nie znajdziemy żadnéj różnicy; w obu razach dany stan psychiczny podlega téj saméj analizie psychologicznéj, temu samemu opisowi; dla jednego i drugiego można zawsze nakréślić jednakowy przebieg i jednakową dyagnozę. Psychologia mego głodu, w swoich zasadniczych, stałych rysach, jest zarazem psychologią głodu wogóle, głodu społecznego, powtórzoną wielokrotnie w różnych mózgach ludzkich. Te same pojęcia, interesy, które skupiają się około własności, małżeństwa, rodziny, w duszy pojedyńczego człowieka, odnajdują wierny swój wyraz w prawach regulujących stosunki własnościowe, rodzinne i małżeńskie, tak, że uzasadniając psychologicznie którekolwiek z praw istniejących, czynimy po prostu analizę odpowiedniéj strony duszy danego typu człowieka. Propagując społecznie pewną ideę, na gruncie danego społecznego uczucia, zwracamy się po wskazówki do psychologii indywidualnéj, i te pojęcia, które możemy zaszczepić u jednostek, biorąc za podstawę dany stan uczuciowy, odnajdujemy także skojarzonemi społecznie. Idea polityczna, łącząc się z interesami życiowemi poszczególnych osobników, jest zarazem skojarzoną z interesami ekonomicznemi całéj klasy, jako zjawisko społeczne. Różnice indywidualne, któremi jest zawsze przesiąknięte każde zjawisko psychiczne w przeciwstawieniu do jego stałego charakteru społecznego, nie osłabiają w niczém tego twierdzenia, że nie w odmiennéj treści psychologicznéj szukać należy uspołecznienia się stanu duchowego. Mogę bowiem doskonale przystosować umysłowość swoją do danego pojęcia społecznego, do tego stałego wzoru, jaki się odnajduje w sformułowaniu prawném, w ha-

słach programowych, w zasadach religii, a pomimo tego będę zawsze odróżniać to samo pojęcie— jako indywidualne moje i jako społeczne, chociażby w treści swojéj i formie, dwie te jego postaci do siebie zupełnie przystawały. Jako indywidualne — podlega działaniu mojéj woli wewnętrznéj, daje się przekształcać za pomocą mego rozumowania, słabnie i potężnieje pod wpływem uczuć, które mię ożywiają; co więcéj, istnienie nawet jego, siła i wpływ, które wywiera na bieg życia, są zupełnie zależne od téj całéj systematyzacyi psychicznéj, która stanowi moją duszę, moją inteligencyę, od mego sposobu myślenia i czucia, od moich skłonności indywidualnych, od zasobu i jakości wiedzy, którą posiadam; każde pojęcie moralne, jako zjawisko psychiczne, podlega takiéj zmienności w duszy każdego człowieka, nabywa i traci swą siłę życiową, zanika lub potężnieje, zmienia swoją treść i barwę emocyonalną, zależnie od tego, jakie towarzystwo innych pojęć i uczuć znajduje w naszéj świadomości; jedném słowem—rachuje się ono nieustannie z całością duszy naszéj, z jéj (najtajniejszemi) nastrojami i wtedy tylko spostrzedz możemy wpływ jego na bieg naszego życia, gdy jest przystosowane do innych pierwiastków duszy naszéj, zespolone z naszą wiedzą i uczuciowością, gdy sami przed sobą uznajemy jego wartość. Jako społeczne natomiast, drwi sobie najzupełniéj z naszych rozumowań i uczuć, i z obojętnością rzeczy przeciwstawia się chęciom i przeczeniom naszym.-

Ten rzeczowy charakter zjawisk psychicznych „uspołecznionych” uwidocznia się wyraźnie, gdy porównywamy różne stadya ewolucyjne tego samego zjawiska. Dopóki pewna idea pozostaje indywidualną własnością świadomości ludzkiéj, zwykłym stanem psychicznym, dopóty podlega wszelkim działaniom woli naszéj, jest zmienna, łatwo zanikająca, bo soki swéj siły żywotnéj czerpie z naszych uczuć i myśli, zmuszona nieustannie przystosowywać się do nich, dbać o nasze zezwolenie, o naszą aprobatę, jako o jedyną podstawę swego bytu; lada zwrot w naszym sposobie myślenia, może ją całkowicie unicestwić lub zwyrodnić. Jest wtedy natury nawskroś subiektywnéj. W miarę zaś, jak formułując się w słowa i przedostając do większéj ilości mózgów—uspołecznia się, przybiéra coraz bardziéj rzeczowy charakter, coraz bardziéj uniezależnia się od tych splotów psychicznych, wśród których żyje w świadomościach indywidualnych, ze zmienności ciągłéj przechodzi do stałéj formy i idea rozpoczyna samodzielny żywot zjawiska społecznego, oczyszczona ze zmienności swych prywatnych istnień, ustalona, pewna, skrystalizowana w jakieś hasło walki, prawo, zwyczaj, partyę polityczną lub instytucyę. Im mniéj jest uspo-

łeczniona, tém mniejszy nacisk przedmiotowy wywiéra na jednostki, tém więcéj dba o ich względy, o przystosowywanie się do ich życia wewnętrznego, do treści ich duszy; — w tém stadyum znajdują się dzisiaj idee estetyczne, które bodaj ze wszystkich zjawisk psychicznych, uspołecznionych najsłabiéj, wyjawiają swój obiektywny charakter rzeczy narzucających się pomimo woli, zgodnie ze stopniem swego uspołecznienia, gdyż ani w opinii publicznéj, ani w kodeksach prawnych lub prądach zbiorowych, nie znajdują dla siebie miejsca. W témże samém stadyum znajdował się chrześcianizm pierwotny apostołów, jak również każda idea reformatorska początkująca, dopóki nie zorganizuje się w kościół lub partyę i nie ogarnie wielkich mas ludowych; proste zjawisko psychiczne i uspołecznione nie są jeszcze rozgraniczone dość wyraźnie; indywidualność wyznawców ma jeszcze duże znaczenie dla życia idei. Przy największym zaś stopniu uspołecznienia, charakter rzeczowy idei jest tak potężny, że z żywiołową siłą może gnębić jednostki, nie przyznające jéj bytu w swojém sumieniu, może przeciwstawić się swobodzie indywidualnéj człowieka, jak gdyby druga przyroda m o r a l n a, otaczająca go zewsząd fatalnym naciskiem oporu; ma to naprzykład miejsce z niektóremi ideami etycznemi, temi szczególniéj, które odnoszą się do stosunków własnościowych, rodzinnych i płciowych, a które w wielu rozmaitych formach zdołały się uspołecznić, w religii, w kodeksach prawnych, w obyczajach i w doktrynach naukowych. Tutaj niezmiernie łatwo zobaczyć, że społeczna natura danego pojęcia jest to jego rzeczowy, obiektywnie narzucający się charakter, jego istnienie niezależne od subiektywnego przyznania mu racyi bytu, od przystosowania się do naszych uczuć, potrzeb i myśli. Bez tego piętna rzeczowego, wszelki stan duchowy, jak najbardziéj ze społeczném życiem sprzęgnięty, będzie miéć tylko charakter zwykłego zjawiska psychicznego, stanu naszéj świadomości, któremu jedynie tylko pochodzenie społeczne przypisywać możemy, lecz nic nadto.

Specyalny więc atrybut zjawisk społecznych, który, nie wydzielając ich z fizycznych i psychicznych w trzecią kategoryę, wyodrębnia jednak od nich, jest to jak gdyby synteza obu tych charakterów: fizyczne u d u c h o w i a j ą s i ę, stając się społecznemi, psychiczne zaś — o b i e k t y w i z u j ą s i ę; jedne i drugie stają się r z e c z a m i p s y c h i c z n e m i. W połączeniu tém nie ma nic sztucznego; nie zjawia się ono jako wynik opracowania myślowego, lecz narzuca się samoistnie naszéj intuicyi. Jeżeli w życiu powszedniém, bez pomocy analizy naukowéj, możemy doskonale odróżniać „towar” od zwykłéj rzeczy fizycznéj, pieniądz od metalu, moje pojęcie od prawa, lub moje uczucie od obowiązku religijnego, to dlatego tylko, że w pierwszym razie martwe

rzeczy przemawiają do nas językiem potrzeb ludzkich, w drugim zaś razie spostrzegane wewnątrz siebie stany świadomości naciskają nas zewnątrz, przeciwstawiają się jako niezależne od nas, zanim zwrócimy uwagę na te różnice. Ten bowiem podwójny charakter zjawisk społecznych udziela się umysłom ludzkim tak samo intuicyjną zupełnie drogą, wtedy nawet gdy wcale nie zdajemy sobie zeń sprawy, jak intuicyjnie, bez pomocy żadnego rozumowania, odczuwamy przestrzenny charakter zjawisk fizycznych. Jest on jedyną wskazówką, przez samą naturę zjawisk społecznych nam dawaną, niezależnie od naszego sposobu sądzenia i wyznawanych teoryi naukowych, po której poznajemy je zawsze jako społeczne.

IV.

Wskutek psychiczno-rzeczowego charakteru zjawisk społecznych, powstała hypoteza nad-indywidualnéj, społecznéj świadomości, świadomości ogarniającéj jak gdyby naszą, będącéj względem naszéj tém, czém jest nasza względem przypuszczalnych „czuć nieświadomych". Wyrażając to słowami Lazarusa, możnaby powiedzieć, że jednostka ludzka jest narodem; tak samo jak naród jest ona zbiorowością złożoną; idea jest tém względem duszy indywidualnéj, czém dusza indywidualna jest względem duszy społecznéj. Ściśléj jednak pojęcie „duszy społecznéj" dałoby się porównać do przyjętych w dzisiejszéj psychologii „nieświadomych czuć elementarnych", tych „nieskończenie małych psychicznych", z których, jak ciała z atomów, tworzą się wszystkie stany duszy naszéj. Czucia te bowiem, jakkolwiek dla naszéj świadomości zupełnie niedostępne, w istocie swojéj nawskroś jednorodne, proste, odpowiadające pojedyńczym wstrząśnieniom nerwowym, „nieskończenie małym fizycznym", są jednak czuciami — dla siebie samych, same sobie przejawiają się jako zjawisko psychiczne, w swojéj własnéj, elementarnéj świadomości, odrębnéj od naszéj, czerpią racyę swego istnienia. Synteza zaś tych świadomości elementarnych — jest to świadomość nasza; z nich, jak ciała z pierwiastków chemicznych, składają się nasze idee, wyobrażenia, uczucia, i to co w sobie spostrzegamy jako proste i jednorodne stany psychiczne, w rzeczywistości są zbiorowiskiem niezliczonéj ilości różnorodnych pierwiastków, niedostrzegalnych dla nas atomów czuciowych. Jedność naszéj świadomości jest więc jednością pozorną, jednością natury syntetycznéj, jak jedność organizmu, i pod nią tysiące małych istotek ukrywa swoje istnienie, wre samodzielném życiem

psychicznem, podobnie do tego, jak w całości życiowej organizmu, tai się wielka ilość komórek, mikro-organizmów, które pomimo że wchodzą w procesy biologiczne całości, mają jednak swoje własne odrębne życie, swoją siłę rozrodczą i asymilacyjną. W takim samym stosunku pozostaje nasza indywidualna świadomość — do świadomości społecznej. Każdy z nas czuje i myśli odrębnie od innych, na swój sposób; ile jest jednostek ludzkich, tyle zamkniętych sfer świadomości, nieprzenikalnych nawzajem dla siebie; nie mogąc jednak oddziaływać na siebie bezpośrednio, syntetyzują się w wyższą świadomość—społeczną, podobnie jak monady leibniz'owskie współdziałają ze sobą za pośrednictwem Boga, lub jak czucia elementarne — za pośrednictwem świadomości naszej. Ta to właśnie zbiorowa, wyższa świadomość, z syntezy naszych powstała i od naszych odrębna, jakkolwiek zawierająca je w sobie, na wzór tego jak produkt pierwiastków chemicznych staje się innem ciałem niż jego składniki, nowemi właściwościami obdarzonem, ta świadomość byłaby właściwem polem dla zjawisk społecznych, źródłem, z którego czerpią możliwość swego istnienia, odpowiednio do tego, że zjawisko społeczne, jakkolwiek psychicznej natury, przeciwstawia się jednak naszym stanom indywidualnym, jest od nas niezależne, rzeczowo oporne względem świadomości naszej. Stąd też nasze indywidualne życie wewnętrzne nie jest nigdy zupełnie przystawalnem do życia społecznego; indywiduum inaczej sądzi i czuje, niż społeczeństwo. Polityka nie odpowiada etyce osobników; jednostki danego narodu okazują inne cechy moralne, niż cały naród zbiorowo działający; prawa i zwyczaje panujące nie zawsze są w zgodzie z indywidualnemi pojęciami nawet większości ludzi; potrzeby i uzdolnienia społeczne, w towarach i narzędziach pracy zawarte, są często w zupełnej dysharmonii z uzdolnieniem wytwórczem i stopą życiową szczególnych jednostek.

Obie jednak te hypotezy — „czuć elementarnych” syntetyzujących się w naszą świadomość, i „świadomości społecznej” jako syntezy naszych świadomości, tak ścisłą analogią spokrewnione ze sobą, są porodzone w śmiertelnym grzechu filozoficznym: poszukiwania czegoś, co będąc obce zupełnie i niedostępne dla świadomości naszej, służyćby jednak mogło do objaśnienia faktów doświadczenia naszego, zatem, do objaśnienia tego, co tylko jako przedmiot myśli naszej posiada pewną i pozytywną wartość istnienia. Obie zapominają o tem, że świadomość ludzka, przez którą wszystko z czem mamy do czynienia byt swój przejawia, sama już na nie przetłómaczona być nie może; że nie mogąc znać istnień z myśli naszej wyzwolonych, nadaremniebyśmy

szukali objaśnień po za myślą ludzką, zjawiska do nad-zjawiskowości usiłując sprowadzić. Obie uciekają od jedynéj rzeczywistości doświadczalnéj, w sferze naszéj świadomości zamkniętéj, gubiąc się w metafizyce „nieskończenie małych” lub nad-ludzkich świadomości, gdzie wszelka treść pojęć, wskutek tego, że nie może odpowiadać intuicyi naszéj, będąc po za intuicyą wyniesiona, musi zanikać zupełnie, pozostawiając tylko abstrakcyjną próżnię wyrazów.

I tak: hypoteza „nieskończenie małych psychicznych”, „czuć nieświadomych”, pozbawia ową świadomość elementarną wszelkich atrybutów świadomości. Czucie, które dla nas jest niedostępne, jest czuciem samo w sobie, samo sobie zjawia się, w stosunku do samego siebie jest czémś psychiczném. Będąc jednak zarazem nieskończenie małym pierwiastkiem wszelkich stanów duchowych, atomem psychicznym, prostym i jednorodnym, jak monada Leibniza, wyklucza z siebie wszelką złożoność i różnorodność, wskutek czego nie może przekształcać się samo w sobie, jest niezmienne; nie może czuć się jako subiekt, gdyż nie jest zdolne przeciwstawić różnorodności łączącą ją jedność (to, co czuje, zléwa się tutaj zupełnie z samém czuciem); nie może spostrzegać siebie jako obiekt, gdyż brak różnorodności uniemożliwia istnienie wszelkiéj myśli, która tylko jako synteza różnorodnych pierwiastków pojawić się może. Owa więc świadomość elementarna, niedostępne dla nas „czucie-subiekt”, jest świadomością dziwnego gatunku, świadomością, która nie podlegając żadnym zmianom, nie będąc ani subiektem, ani obiektem, nic wiedzieć i nic odczuwać nie może; która, nie ujmując się myślowo, dla siebie saméj nie jest niczém realném. W pojęciu zatém „świadomości elementarnéj” zjawia się zupełna próżnia dla naszéj intuicyi; żadna treść z doświadczenia naszego poczerpnięta wmieścić się tam nie może, skąd wygnana została myśl ludzka—to jedyne narzędzie poznawania naszego. Stąd téż, wprowadzone do psychologii, pojęcie to nic nie objaśnia, żadnéj z istniejących trudności nie usuwa; równie dobrze możnaby przyjąć za składniki naszych wyobrażeń proste wstrząśnienia nerwowe, drgania materyi, nieskończenie małe fizyczne, pozbawione wszelkiéj przyprawy duchowéj, są one bowiem tak samo obce zupełnie naturze naszéj świadomości, tak samo dalekie od tego, co jako psychiczne spostrzegamy w sobie, jak i materyalne zjawiska, a całe pokrewieństwo tych „elementów” z duszą człowieka sprowadza się jedynie tylko do saméj nazwy „świadomości”. Co więcéj, pojęcie to, wchodząc do analizy zjawisk ze swoją zagadkową próżnią, rzuca na całość naszego życia psychicznego cień dziwacznego mistycyzmu, nie dającego się

usprawiedliwić jakąkolwiek potrzebą. Jedność naszéj świadomości, fakt najbezpośredniéj nam znany, intuicyjnie pewny, przetwarza na jedność pozornéj, syntetycznéj natury; kiedy ja coś czuję, to w tym fakcie na pozór prostym, kryją się różnorodne i całkiem odmienne od mego, czucia tysiąca istotek, na które w rzeczywistości rozpada się wszelki stan świadomości mojéj. W głębiach myśli mojéj tai się nieujawnione dla mnie życie wielkiego zbiorowiska tych istot pierwiastkowych i to, co mi się zdaje, że spostrzegam jako swoje wyobrażenie, jako swój stan psychiczny, nie jest tém, co rzeczywiście spostrzegam, co stanowi prawdziwą zawartość danego momentu duszy, nie przeinaczoną jeszcze syntetycznie dla użytku naszego; podobnie jak barwy lub dźwięki, w rzeczywistości są tylko drganiami eteru i powietrza o pewnych cechach ilościowych, jak różnorodnych jakości ciała organiczne są tylko ilościowo odmiennym układem kilku atomów, jak pozornie jednorodne kwasy i sole, są jednak złożonością odmiennéj natury pierwiastków. Tym sposobem, świat faktów psychicznych, świat naszego doświadczenia wewnętrznego, staje się światem złudzeń, nietylko wobec niepoznawalnéj „rzeczy saméj w sobie", lecz także i wobec téj rzeczywistości zjawiskowéj elementarnéj, która, tając się zupełnie przed myślą i czuciem naszém, w nieskończenie małych istotkach, okryta nieprzenikalną tajemnicą specyalnéj, sobie tylko właściwéj świadomości, stanowi jednak istotną treść naszego życia duchowego. Doświadczenie nasze wewnętrzne nie dotyczy więc zjawisk prawdziwych, lecz ich pozoru syntetycznego; zjawisko to nie jest przedmiot, rodnik myśli naszéj, w świadomości naszéj poczęte istnienie, lecz jakiś byt mistyczny, niedostępny bezpośredniemu spostrzeganiu, obcy intuicyi naszéj; tak że w rezultacie zaciérają się wszelkie granice między realnością doświadczalną a metafizyką mistycznéj barwy.

Te same błędy, przeciwko krytyce filozoficznéj popełnione, odnajdują się w hypotezie „świadomości społecznéj"; tam — w nieskończenie małych świadomościach szukano objaśnienia faktów życiowych, tu zaś — w świadomości nad-ludzkiéj. Samo pojęcie „świadomości społecznéj" jest porodzone nieprawnie. Tworzymy je za pomocą analogii poczerpniętéj ze świadomości naszéj, indywidualnéj, opiérając się na tém, że zjawiska społeczne, jakkolwiek psychicznéj natury, i w psychologicznych tylko terminach dające się wyrażać, przeciwstawiają się jednak stanom naszéj duszy; nie można ich przeto uważać za wytwory indywidualne, ani za zwykłe zsumowanie indywidualności, lecz za zjawiska jakiéjś specyalnéj świadomości, nad-ludzkiéj, będącéj syntezą indywidualnych, i przez to samo jakościowo od nich odmiennéj. Analogia spotyka tutaj specyalną przeszkodę. To, co nazywamy

świadomością, w intuicyi naszéj nie ma żadnéj treści pojęciowéj, jest to bowiem czysto negatywna strona wszelkich fenomenów, ten pierwiastek ciągły i stały, który się przeciwstawia nieskończonéj zmienności przedmiotów. Jest to nazwa, która, przemilczając o treści przedmiotu spostrzeganego, mówi o tém tylko, że „jest on spostrzeganym", zatém o jego stronie negatywnéj, która stwierdza to tylko, że dane zjawisko jest zjawiskiem, przedmiotem myśli dla subiektu, który jako „ja" własne znamy bezpośrednio. Poznając świadomość swoją, spostrzegamy tylko zjawiska wewnętrzne, uczucia, pojęcia, wrażenia, i to tylko stanowi treść intuicyi naszéj; nigdy zaś w niéj dostrzedz nie możemy strony podmiotowéj tych zjawisk, dla któréj one jako zjawiska istnieją, tego subiektu myślącego, który pod groźbą unicestwienia się myśli, nie może być nigdy pochwycony przez nią. Czyli, mówiąc językiem Kanta, gdyby świadomość sama (nie zaś zjawiska, które ona powszechnie warunkuje) mogła stanowić przedmiot myśli, przedmiotem tym byłby subiekt determinujący (*sujet déterminant*), nie zaś subiekt determinowany (*sujet déterminable*), mielibyśmy znajomość rzeczy saméj w sobie, *noumenu*. Pojęcie zatém „świadomości" może oznaczać tylko negacyę wszystkiego, co jako zjawisko, przedmiot myśli dla nas istnieje; a ponieważ zjawisko obejmuje sobą cały świat istnień dla nas dostępny, przeto pojęcie „świadomości" jest pojęciem ostatniém, krańcowém, gdzie myśl ludzka wyczerpuje się zupełnie i nic już z niego więcéj wydobyć nie może, i dlatego w żadnym razie nie może służyć do budowy nowéj koncepcyi. W intuicyi zaś tego pojęcia odnajdujemy tylko poczucie swego własnego „ja", przeciwstawiające się wszystkiemu co spostrzegamy, nie dające się na nic przetłómaczyć, wskutek czego pojęcie to, wyniesione po za nas, traci wszelki grunt oparcia się realnego. Lecz przypuściwszy nawet, że zachowuje ono wtenczas jeszcze pewien sens z analogii wyciągnięty, nasuwa nam jednak trudności niemożliwe do rozwiązania. W dwojaki sposób tylko możemy rozumiéć tę nad ludzką, społeczną świadomość: albo jako istniejącą zupełnie niezależnie od naszéj, i wtedy przeobraża się ona w pojęcie „Boga", albo też jako syntezę świadomości indywidualnych, tak jak to jest przyjęte przez wielu nowoczesnych socyologów. Gdy jednak mówimy o syntezie, to nie można zapominać o tém, że istota wszelkiéj rzeczy złożonéj musi odnajdywać się w jéj elementach; składowe bowiem nie mogą być zasadniczo różne od produktu, a „charakter całości złożonéj jest zdeterminowany przez charakter części składających" (Spencer), tak że jednostka pewnych zjawisk musi miéć *implicite* te same atrybuty, które *explicite* występują w ich kombinacyi, a to na mocy tego prawa logicznego, że rzeczy absolutnie różne

nie mogą z siebie powstawać. Synteza jest tylko formalną stroną czegoś istotnego, jest rozwinięciem pewnéj możliwości tkwiącéj w składnikach i nie może stworzyć nic absolutnie nowego. Tak naprzykład, utajone w molekułach siły przyciągające ujawniają się w ciele chemicznem jako jego twardość lub formy krystaliczne; ukryte w ziarnkach protoplazmy życie, rozwija się w funkcye organizmu; w atomach zaś węgla, tlenu, azotu, wodoru, zjawiających się przy pewnych warunkach, jako składowe elementy protoplazmy, tkwić musi jako jedna z zasadniczych cech ich istoty — możliwość téj specyalnéj syntezy, która życie nosi w swém łonie, i równie trudno byłoby nam wyobrazić sobie, że same te pierwiastki, w istocie swojéj, są zupełnie obce życiowemu charakterowi syntezy, jak przypuścić, że pewien układ tylko jakichbądź pierwiastków, kombinacya naprzykład atomów żelaza i chloru, mogłaby życie objawić. Według tego zatém ogólnego prawidła, świadomość społeczna, jako synteza indywidualnych pojęta, jakkolwiek odrębnéj i wyższéj natury od swych składników, musiałaby jednak stanowić zasadniczą przynależność ich istoty, musiałaby tkwić *implicite* w świadomości indywidualnéj, w naszém „ja" własném, ażeby módz rozwinąć się, uwidocznić, w zjawiskach społecznych. Lecz co to znaczy tkwić w „ja" naszém, wobec tego, że to „ja" żadnym przedmiotem myśli, pojęciem, być nie może? Znaczyłoby to być w naszéj bezpośredniéj intuicyi „ja" własnego, w tém naszém poczuciu się najwewnętrzniejszém, które nam nic nie mówi, oprócz tego tylko, że to ja jestem, a mówiąc tak mało, mówi jednak tak jasno i wyczerpująco, że nie czujemy nigdy potrzeby zapytywać siebie „co to *ja* znaczy", ani téż wątpić „czy to *ja* rzeczywiście". Czując zatém siebie, czulibyśmy zarazem i świadomość społeczną, niby „ja" drugie, wyższe i panujące nad mojém jako całość nad cząstką, czulibyśmy w „ja" swojém coś, co będąc z niém istotowo związane, zachowywałoby jednak swoją wyraźną odrębność czegoś innego, tém wyraźniejszą, że nie w zjawisku spostrzeganą, lecz w saméj istocie spostrzegającéj, w subiekcie, odczutą. Mówiąc słowami Kanta, wyrażałoby się to logicznie: nie „ja myślę jako subiekt", lecz „ja myślę jako predykat subiektu", wbrew zatém naturze subiektu, który jako niepoznawalny, jako negacya wszystkiego, jako „rzecz sama w sobie" zjawiskowości wszelkiéj przeciwstawiająca się, nie może zawiérać ani części, ani składników różnorodnych, ani stosunku żadnego.

Zasadniczy błąd zatém, który popełnia hypoteza „świadomości społecznéj", biorąc świadomość naszą do budowy nowego pojęcia, zmusza ją do przeinaczenia świadomości, téj mowy powszechnéj, któ-

ra przez nic wyrażoną być nie może, bo wszystko przez nią tylko się wyraża, do przeinaczenia na coś całkiem innego, na pewien przedmiot myśli, na jakąś rzecz poznawalną, analizie dostępną, charakterem zjawiska obdarzoną. Powstałe tym sposobem nowe pojęcie, jest z góry skazane na zupełną nieudolność w objaśnianiu faktów. Jak bowiem pogodzić tę odrębną od naszéj świadomość, syntetycznéj natury, w któréj rodzą się i przez którą istnieją zjawiska społeczne, z zasadniczym atrybutem tych zjawisk — przejawu myślowego istnienia — dla nas? W jaki sposób zjawiska społeczne, obce naszéj świadomości, jako mające swe siedlisko w wyższéj, syntetycznéj, są jednak dostępne dla naszéj intuicyi i poznawania, i wchodzą tak ściśle w nasze życie, ulegając naszemu działaniu i na nas działając, kiedy według krytyki filozoficznéj, wszystko co leży po za świadomością naszą, w krainie metafizycznéj, nie może mieć dla nas żadnéj pozytywnéj wartości istnienia? Oto pytanie nierozwiązalne, podobne do tych, które męczyły scholastyków i teologów debatujących nad subsancyami materyi, duszy i Boga, a do których jednak hypoteza „świadomości społecznéj" doprowadzać musi koniecznie. Świat społeczny, gdyby rzeczywiście, jak tego owa hypoteza wymaga, jakaś inna, wyższa substancya stanowiła jego podścielisko, gdyby nie nasza lecz nad-ludzka świadomość, z syntezy naszych powstała, była wystarczającą przyczyną jego istnienia, świat społeczny, przez to samo, musiałby pozostawać zupełnie niedostępnym dla nas, jako wyniesiony w metafizyczną strefę bytów z myśli naszéj wyzwolonych, nie byłby zatém tém samém, co w życiu jako społeczne spostrzegamy, nie byłby tym światem społecznym, z którym stykając się w naszém powszedniém doświadczeniu, czujemy się jak u siebie; między nim a nami leżałaby taka sama przepaść, jaka nas dzieli od „rzeczy saméj w sobie", kryjącéj się po za zjawiskami. Pozwoliwszy więc sobie na stworzenie takiego „nad-zjawiskowego" świata, chybiamy zarazem tego celu, dla którego ten *luxus* wyobraźni naszéj został dokonany, celu, którym jest objaśnienie realnych faktów pewnéj kategoryi, faktów życia naszego, w doświadczenie nasze wchodzących. Celu tego chybia i hypoteza rozpatrywana. Wysuwając przedmiot badania ze sfery nam dostępnéj, przenosząc go do świadomości wyższéj, nie objaśnia charakteru społecznego tych faktów świadomości naszéj, które jako społeczne spostrzegamy; obok przypuszczalnych metafizycznych „zjawisk" społecznych (wyrażając się ściśle według ducha rozpatrywanéj hypotezy), pozostają nietknięte, po za granice jéj panowania wyłączone, zjawiska społeczne właściwe, dane doświadczenia naszego. Wymyśliwszy najdokładniéj cały jakiś świat po za myślą naszą istniejący, nie zbliżymy się jednak ani o krok jeden

do zrozumienia tego, co tylko mocą swego przejawu myślowego narzuca się naszéj intuicyi, włącza się w życie nasze [1]).

V.

Zanim więc sprobujemy objaśnić naturę zjawisk społecznych, i ten ich rzeczowo-psychiczny charakter, który je wyodrębnia od wszystkich innych, każąc zarazem przypuszczać, że coś innego ukrywa w sobie niż zwykłe zjawiska psychiczne lub materyalne, musimy przedewszystkiém zastrzedz się, że tylko świadomość nasza, indywidualna, może być uważana za wystarczającą zasadę ich istnienia, za jedyne źródło skąd zjawiska społeczne byt swój czerpią; że nie po za człowiekiem, nie w żadnéj abstrakcyjnéj duszy zbiorowéj, lecz w samym człowieku realnym i żywym, w konkretnych mózgach ludzkich, rozwija się całe życie społeczne, i po za ich obręb nie przekracza. Jest to zasada fenomenalizmu społecznego: istnienie zjawisk społecznych uznane za równoważne z ich przejawem myślowym; jedyna zasada, wykluczająca stanowczo z dziedziny życia społecznego metafizykę i „prowidencyonalizm" zarówno teologicznéj jak materyalistycznéj natury. Pomimo tego jednak, przyznając zjawiskom społecznym najczystszą realność doświadczalną, w świadomości naszéj tylko poczętą, niemożliwe jest, jak to widzieliśmy wyżéj, utożsamiać ich ze zjawiskami psychicznemi, uważać zjawisko społecz-

---

[1]) „Świadomość społeczną" możnaby zresztą uważać za nowszą edycyę starego absolutu Schellinga, który współdziałając nierozłącznie z „wolami indywidualnemi" tworzy historyę ludzkości, łączy swobodę subiektywną z obiektywną koniecznością. Absolut ten jest „zasadą wyższą od subiektu i od obiektu, która, nie mogąc być ani jednym, ani drugim, stanowi przecie ich jedność" (Schelling). Jest to „substancya", któréj „władzami albo funkcyami" są inteligencye osobników. — „Historya, mówi Schelling, jest ewolucyą téj zasady, absolutu, która wyraża się, mniéj lub więcéj, we wszystkich czynnościach (ludzkich) i przez to ustanawia między niemi łączność i harmonię, daje im regularność i prawo, i tworzy z niemi razem, nie niszcząc ich swobody, wspaniały poemat lub dramat... Objawiając się w całéj rozciągłości i po wszystkie czasy, absolut nie może w żaduém miejscu i w żadnym czasie, wyrazić się i zrealizować się zupełnie. Gdyby to uczynił, nic nie istniałoby oprócz niego; indywidua, wolność, przestałyby istnieć. Jednakże objawia się on tylko przez swobodną grę indywidualnych aktów woli; nie mógłby istnieć, gdyby wole indywidualne swobodnemi nie były, są one zatém jak gdyby jego współpracownicami. I tym sposobem, wynikiem działania absolutu przez pośrednictwo istot inteligentnych, jest to, że czynności tych istot, które stanowią historyę, nie są ani wyłącznie wolne, ani wyłącznie konieczne, lecz zarazem konieczne i wolne."

ne za nic więcéj, jak za powtórzone wielokrotnie nasze indywidualne pojęcie lub uczucie, i z życia społecznego uczynić jedną tylko gałąź psychologii. Wiele bowiem naszych potrzeb i stanów duchowych—jak potrzeba powietrza, światła, ruchu, uczucia estetyczne, stany duszy przedmyślowe, jakkolwiek u każdego powtarzające się, nie stały się jednak zjawiskami społecznemi. Historya zresztą nie da się nigdy sprowadzić do wzajemnego oddziaływania na siebie dusz ludzkich; po za jednostkami których ona używa jako żywe kanwy do układania swych ściegów, widnieją zawsze jak gdyby pewne żywiołowe siły, w które dusza człowieka jest fatalnie wprzągnięta, służąc im często za narzędzie i wyraz tylko; wszelkie zaś traktowanie życia społecznego jako kwestyi naszych przekonań i skłonności indywidualnych, rozbija się zawsze o to, że też same przekonania i skłonności mają niezbędnie źródło swoje w życiu społecznem i bez niego powstaćby nie mogły. Sam fakt współistnienia w innych mego stanu wewnętrznego nie zmienia jeszcze w niczém jego zwykłéj natury indywidualnego zjawiska psychicznego, dopóki współistnienie to nie przybierze rzeczowego charakteru, wydobywając się z tajni poszczególnych dusz ludzkich; inaczéj bowiem, w życiu społeczném odnajdywalibyśmy wszystko, co nurtuje w głębiach duszy naszéj, wszystkie te bezimienne prądy, nieokréślone wzruszenia i fale cenestezyjne, które nieustannie przepływają pod progiem myśli naszéj; samo zaś życie społeczne pozostałoby życiem nawskroś subiektywném. Dlatego też zjawisko społeczne nie daje się nigdy zidentyfikować z sumą psychicznych zjawisk; jakkolwiek bowiem nieodłącznie współistnieje ze zjawiskiem psychiczném indywidualném (samo będąc psychiczném), to jednak przeciwstawia się zawsze naszemu życiu wewnętrznemu swojém życiem samodzielném, swoim naciskiem rzeczowym, swoją zupełną niezależnością od naszéj woli wewnętrznéj.

Lecz tenże charakter rzeczowy zjawiska społecznego, którym ono przeciwstawia się zarówno pojedyńczemu stanowi mojéj duszy, jak i jego wielokrotnemu powtórzeniu się w sumie dusz ludzkich, warunkuje się zarazem niezbędnie tém wielokrotném powtórzeniem się danego stanu subiektywnego w masie mózgów indywidualnych. — Z jednéj więc strony — zjawisko społeczne, chociaż nie utożsamia się z indywidualnym stanem psychicznym, ma jednak zawsze swój równoważnik psychologiczny, indywidualny, dzięki któremu, pomimo swojéj obiektywności, łączy się ściśle z życiem osobnika; społeczna potrzeba naprzykład, ucieleśniona w towarze pewnym, jest zarazem i moją własną, faktyczną lub możliwą, dającą się wyobrazić, która mogła by istnieć i wtedy, gdyby nawet nikogo prócz mnie nie było; w pra-

wach odnajdujemy pojęcia i interesy, które jeżeli nawet nie mają dla nas wartości życiowéj—jako nasze własne,—to w każdym razie mają zawsze wartość psychologiczną—są zrozumiałemi, i w ten lub inny sposób zahaczają o motywy wewnętrzne naszego postępowania.—Z drugiéj zaś strony, zjawisko społeczne, istniejąc tylko w świadomości indywidualnéj każdego człowieka, jak tego wymaga zasada fenomenalizmu, warunkuje się jednak niezbędnie wielokrotném powtórzeniem swego równoważnika psychiczno - indywidualnego w innych mózgach ludzkich, bez czego traci swój obiektywny charakter, utożsamiając się ze zwykłym stanem psychicznym. Dzięki tylko temu zjawisko społeczne jest tém czém jest (t. j. pewnym obiektem psychicznym) dla świadomości mojéj, że jest—psychologicznie — tém samém dla świadomości innych ludzi; że tę samą potrzebę lub pojęcie, które w sobie dostrzegam, jako treść danego faktu społecznego, dostrzédz mogę zarazem i u wielu innych osobników. Jasném jest bowiem, że gdyby fakt jakiś, z natury swéj podobny do faktów społecznych, pewien przedmiot użytku, lub pewna idea, w mojéj tylko duszy odźwierciedlał się, dla mnie tylko jednego był użyteczny lub zrozumiały, dla wszystkich zaś innych był beztreściwy i niedostępny jako potrzeba lub pojęcie, bo fakt taki pozostał by nawskroś indywidualnym i w życie społeczne wejść by nie mógł. — Można by więc powiedzieć, że zjawisko społeczne ma jak gdyby dwa oblicza: jedném zwraca się do mas ludzkich — jako abstrakcya streszczająca w sobie i ujmująca w stałą formę zmienność indywidualnych stanów psychicznych, typ gatunkowy, w którym godzą się i odnajdują siebie indywidualne potrzeby, uczucia i pojęcia różnych osobników; drugiém—komunikuje się ściśle z duszą osobnika, dosięga głębi indywidualnych każdego człowieka, odźwierciedlając tylko jego własną, osobistą potrzebę, uczucie lub pojęcie. Jest to naprzykład, wartość zamienna towaru, przeciwstawiająca się swoją stałą, abstrakcyjną formą ceny — do téj zmiennéj użyteczności którą towar przedstawia jako przedmiot spożycia; jest to prawo sformułowane w kodeksie i działające za pośrednictwem organizacyi państwowéj, lub hasło pewnéj walki społecznéj na sztandarze partyjnym wywieszone, w przeciwstawieniu do tych osobistych interesów, pojęć i uczuć, przez każdego człowieka indywidualnie odczuwanych, z pewną, jemu właściwą odmianą, które jednak mają swój wspólny wyraz w téj skrystalizowanéj abstrakcyjnie formie publicznéj, odnajdują się wszystkie w tém prawie lub haśle. — Pierwsze stanowi rzeczowy charakter zjawiska społecznego, jest jak gdyby ogniskiem, które centralizując w sobie podobieństwa dusz ludzkich, przeciwstawia się każdéj

z osobna i wszystkim zarazem jako obiekt niezależny, samodzielném życiem obdarzony. — Drugie—stanowi jego charakter psychologiczny, jest łącznikiem zespalającym ściśle tę abstrakcyę rzeczową z życiem jednostek ludzkich, rozbijając ją na tysiące subiektywnych odźwierciedleń; jest tém co ja odnajduję w towarze jako swoją własną potrzebę, w prawie—jako swój własny interes, w idei społecznéj—jako swoje własne pojęcie; jest tą rzeczywistością bezpośrednio odczuwaną w głębiach duszy każdego człowieka, bez któréj zjawisko społeczne nie posiadało by żadnéj treści i jako pusta abstrakcya unosiło by się po nad życiem ludzkiém. Obie więc strony zjawiska społecznego dopełniają się niezbędnie: bez pierwszéj — przechodzi ono całkowicie do dziedziny psychologii idywidualnéj; bez drugiéj — do metafizyki nadzjawiskowéj. Wykluczyć któregokolwiek z nich było by niemożliwém—jako zgwałcenie saméj natury faktu, rozmyślném zapomnieniem o tych jego cechach, które powszechnie narzucają się naszemu doświadczeniu. — W socyologii dzisiejszéj istnieją jednak dwa kierunki, które usiłują jak gdyby rozdzielić pomiędzy siebie tę podwójność oblicza zjawisk społecznych, i uwyłącznić teoretycznie jeden z tych dwóch, dopełniających się nawzajem jego charakterów. — Durkheim zapatrzony w rzeczowe oblicze zjawiska społecznego, w jego charakter abstrakcyjno-zbiorowy, narzucający się przymusowo świadomościom indywidualnym jako coś żywiołowego i niezależnego od nich zupełnie, usiłuje wygnać całkowicie z dziedziny społecznéj wszelką psychologię. — Tarde natomiast, widzi tylko psychologiczny charakter zjawiska społecznego, stronę jego indywidualizacyi w mózgach ludzkich, i uważając całą „rzeczowość" społeczną Durkheima za „iluzyę ontologiczną", traktuje socyologię jako dalsze rozgałęzienie psychologii indywidualnéj, zawierające się całkowicie w jéj rozdziałach o wynalazczości i naśladownictwie.—Sztuczność rozdziału, ten dziwny daltonizm, który pozwala każdemu z tych obu badaczy widzieć tylko jedno oblicze zjawiska społecznego, doprowadza bardzo logicznie do zupełnie sprzecznych wyników, do metod wykluczających się nawza jem, z których żadna jednak, według nas, nie ma szansy zdobycia so bie przewagi nad drugą, gdyż rzeczywista natura faktów wymaga ich dopełniania się, protestując usilnie przeciw narzucanemu sobie okaleczeniu, dowolnéj połowiczności—psychologicznéj lub rzeczowéj—uczonych socyologów francuskich. Stąd także, definicye socyologiczne Durkheima i Tarde'a zestawione razem, czynią wrażenie jak gdyby pewnéj antinomii filozoficznéj, pomiędzy sprzecznemi twierdzeniami któréj, umysł ludzki musi bezustannie wahać się, bez żadnego rozwiązania, zmuszony logicznie przyjąć je oba. Oba bowiem zwalczają się

nawzajem zacięcie, z po za każdéj jednak przegląda jedno oblicze rzeczywistości, dopominające się usilnie od przeciwnika—swego dopełnienia; jest to nieporozumienie dwóch stron tego samego medalu, z których by każda rościła pretensyę do tego, że stanowi całość. Kiedy więc Durkheim twierdzi, że zjawisko społeczne po tém się poznaje, że istnieje niezależnie od swoich wyrazów indywidualnych, że posiada siłę przymusu zewnętrznego którym naciska na jednostki; jeżeli utrzymuje, że każdy fakt społeczny istnieje tylko w grupie wziętéj zbiorowo i nie da się nigdy utożsamić z temi formami, w jakich odbija się w mózgach osobników, to ma zupełną słuszność, jest w zgodzie z intuicyą życia samego, gdyż podług tych właśnie cech rzeczowych możemy odróżnić swoje indywidualne stany psychiczne od zjawisk społecznych. Lecz tak samo słuszność zupełną ma Tarde, gdy przeciwstawia rzeczowéj „ontologii" Durkheima — twierdzenia, że jak grupa społeczna składa się tylko z osobników, tak samo fakt społeczny składa się z faktów indywidualnych, które są jego jedynemi i prawdziwemi elementami; że tylko ze zmienności indywidualnéj, psychicznéj, wyłonić się może społeczna rzeczowość stałego charakteru. I podobnie jak pominięcie psychologicznéj strony zjawisk społecznych u Durkheima — doprowadzać go musi do błędów „ontologii scholastycznéj" (wyrażając się słowami Tarde'a), do traktowania faktów życia zbiorowego jako rzeczy metafizycznych, istniejących zupełnie niezależnie od wszelkich świadomości indywidualnych, nie wiadomo skąd i dla kogo, tak samo pominięcie rzeczowéj strony zjawisk społecznych u Tarde'a, zacieśnia jego metodę badania do psychologii naśladownictwa i wynalazczości (która właściwie jest psychologią indywidualną, gdyż innéj być nie może), pozwala mu szukać w zjawiskach indywidualnych przyczyny determinującéj dla faktów społecznych, przez co samo usuwa się wszelka podstawa dla socyologii właściwéj. Tak naprzykład, pojawienie się w dziejach społecznych dróg żelaznych ma według Tarde'a źródło swoje w mózgach Papina, Watta, Stephensona (patrz „Sociologie élementaire" Tarde'a w Annales de l'Inst. int. de Sociologie, 1895), rozpatrywane zaś z téj strony, mogą być tylko przedmiotem badania dla psychologa, kiedy socyologia musi fakt podobny rozpatrywać ze stanowiska epoki historycznéj jego pojawienia się, poszukiwać jego przyczyn w społecznych uzdolnieniach i potrzebach, jeżeli nie chce abdykować całkowicie na rzecz psychologii właściwéj, jeżeli pragnie oceniać fakty dane z téj właśnie strony, która, z natury swojéj, wymyka się niezbędnie z pod metody psychologicznéj.

Stwierdzając zaś ten fakt, intuicyjnie nam dany, że każde zjawisko społeczne czerpie całą treść swoją ze współistnienia indywidual-

nych stanów psychicznych, przeciwstawiając się im zarazem jako abstrakcya ich podobieństw, rzeczowego charakteru, musimy przez to samo uznać, że między temi stanami indywidualnemi różnych mózgów ludzkich a zjawiskiem społeczném, w którém one wszystkie odnaléść siebie mogą, zachodzi stosunek jak gdyby elementów do syntezy. Dość bowiem, ażeby owe współistniejące stany indywidualne były niekomunikującéj się natury, niedostępne dla siebie nawzajem, jak np. wszystkie stany przedmyślowe, lub zasadniczo różne — jak zwierzęce i ludzkie, ażeby zjawisko społeczne ze współistnienia tego nie powstało. Każdy osobnik odnajduje w niém swój własny stan psychiczny, i przez to tylko zjawisko społeczne posiada pewną treść i wartość w życiu ludzkiém; suma jednak tych stanów indywidualnych, mających swe siedlisko po różnych mózgach, zjawiska społecznego nie stanowi; przeciwstawia się ono im wszystkim jako coś odrębnego, nie mając jednak innéj treści jak tylko one same. Świadomości indywidualne, współdziałając ze sobą, tworzą coś nowego, odnajdując się jednak wszystkie w tym produkcie. Stosunek taki jest stosunkiem elementów do ich syntezy. Dochodzimy więc do pozornie sprzecznych rezultatów, jakkolwiek braliśmy to tylko pod uwagę, co daje się dostrzédz intuicyjnie w zjawisku społeczném, bez pomocy żadnego rozumowania: jego charakter rzeczowo-psychiczny i jego dwulicowość — kryjące się pod maską abstrakcyi konkretne oblicza dusz ludzkich. Z jednéj strony, zjawisko społeczne wyodrębnia się od stanów psychicznych i przedstawia się jako synteza różnych świadomości indywidualnych. Z drugiéj strony—według zasady fenomenalizmu socyologicznego, istnieje ono tylko w naszéj świadomości, i przez to samo wyklucza z siebie wszelką obcą naszéj świadomość, gdyż nasza, która jemu byt daje, nie dopuszcza do siebie żadnego różnego pierwiastu, jest *par excellence* niezłożona, jako negacya wszelkiéj zjawiskowości i wszelkich stosunków—zjawisku tylko właściwych. Oba te twierdzenia znoszą się nawzajem zupełnie; lecz w téj właśnie sprzeczności, tak jaskrawo zaznaczającéj się, tkwi zarazem rozwiązanie kwestyi — czém jest zjawisko społeczne, objawia się z całą jasnością prawdy definicya jego istoty.

Jeżeli bowiem zjawisko społeczne jest zarazem i syntezą świadomości indywidualnych, i wyklucza z siebie wszelką obcą naszéj świadomość, to dlatego tylko, że owa „świadomość społeczna” jest niczém innén jak tylko świadomością naszą, indywidualną, że „ja” moje i „ja” każdego człowieka jest jedném i tém samém w istocie swojéj. Przeto świadomości ludzkie, nie będąc względem siebie pozamykanemi, wy-

odrębnionemi całościami, nie mogą ani dodawać się, ani kombinować ze sobą. Synteza zjawisk indywidualnych stwarzając zjawisko nowe—społeczne, nie może jednak pomimo tego stworzyć nowéj świadomości, gdyż ta, będąc we wszystkich osobnikach tém samém—negacyą zjawiskową—żądnéj syntezie, jak wogóle żadnym stosunkom i zmianom nie podlega. Dlatego téż, zjawisko społeczne, będąc syntezą zjawisk indywidualnych, psychicznych, jest jednak tylko w świadomości indywidualnéj, ludzkiéj. Dlatego także, nie przestając być społecznem t. j. zobiektywizowaniem świadomości innych ludzi, jest zarazem zobiektywizowaniem naszéj własnéj, i przez to doskonale dla nas dostępném. Jest ono tym przedmiotem, w którym świadomości różnych osobników objawiają swoją tożsamość, w którym „ja" myślące każdego człowieka samo siebie odnajduje. I to stanowi najistotniejszy atrybut zjawiska społecznego. Wszędzie indziéj—w świecie obiektywnym — czujemy pewną obcość niedającą się przeniknąć i zbadać, zaporę niedostępnéj „rzeczy saméj w sobie"; tutaj zaś tą „rzeczą samą w sobie"—w obiekcie utajoną, jest nasze własne „ja", i dlatego możemy wchodzić w tak ścisły stosunek ze zjawiskiem społecznem, czuć się jak u siebie w całéj dziedzinie życia społecznego, kiedy ciemna istota zjawisk fizycznych, otaczającego świata przyrody, pozostaje zawsze zagadkową i najzupełniéj obcą dla odczucia naszego, bez względu na całą dokładność do jakiéj w poznaniu tego świata dojść możemy. To więc, co odnajdujemy na dnie każdego zjawiska społecznego, jest to istota myśląca człowieka, ta jedyna rzeczywistość metafizycznéj natury, która nie będąc zjawiskiem, jest jednak najbardziéj dostępna, najbliższa poczuciu naszemu.

Objawienie się tego jądra zasadniczego zjawisk społecznych, téj prawdziwéj substancyi świata ludzkiego, stanie się dla nas jaśniejszém, gdy zwrócimy uwagę na ten fakt, że tylko apercepcya uspołecznia zjawiska. Socyologowie są bliscy tego pojęcia, gdy mówią, że „społeczeństwo jest systemem celowo zorganizowanym, całością, nie zaś sumą swych składników." W bardzo prymitywnéj formie spotykamy już u Kanta teleologiczne traktowanie historyi (w jego dziełku: „Idee zu einer allgemeinen Geschichte"). Pełne zaś rozwinięcie zasady celowości, jako klucza do wszystkich nauk społecznych, dokonane zostało w naszych czasach przez Iheringa. Postawiona jednak przez niego zasada opiéra się na mylném pojmowaniu psychologii. Dla Iheringa, zakres celowości jest tak szeroki jak zakres czynności psychicznych. Zasada celowości: „nie ma czynów bez celu" jest równie powszechną dla świata psychicznego, jak zasada przyczynowości — „nie ma faktu bez przyczyny" — dla świata

zjawisk fizycznych. Ruch gąbki, która napełnia się wodą jest zdeterminowany przyczyną; lecz ruch zwierzęcia, które pije, jest spowodowany celem. Od najprostszych do najbardziéj złożonych czynności, życie zasadza się na przystosowywaniu świata zewnętrznego do potrzeb wewnętrznych [1]). Pojmowanie celowości, jako cechy zjawiska psychicznego wogóle, nie pozwoliło Iheringowi dostrzédz właściwéj istoty zjawisk społecznych, ich apercepcyjnego pochodzenia. Zrozumienie jednak tego wymaga pewnego zagłębienia się w dziedzinę czystéj psychologii.

Jak w każdém zjawisku rozróżniać musimy biegun pozytywny i negatywny, obiekt spostrzegany i subiekt spostrzegający, dwie strony bez współistnienia których zjawisko jest niemożliwe, tak samo, w życiu świadomości naszéj, w rozwijających się szeregach zjawisk, rozróżnić należy dwa dopełniające się nawzajem charaktery świadomości: intuicyjny i apercepcyjny. Intuicyjny charakter świadomości występuje wtenczas, gdy rozpatrujemy ją w stosunku do samego aktu myślowego. Z tego stanowiska widziana przedstawia się nam ona ze swéj strony czysto fenomenalnéj, przedmiotowéj, jako dane doświadczenia wewnętrznego, istniejące niezależnie od wysiłku naszéj uwagi dowolnéj, i wskutek tego mogące mu się przeciwstawiać jako pewna bierność obiektywna, pewien materyał do operowania myślowego. Apercepcyjny zaś charakter świadomości występuje wtenczas, gdy rozpatrujemy ją w stosunku do tego wszystkiego, co spostrzegamy jako dane w doświadczeniu wewnętrznem; zwracając się tym sposobem do jéj strony subiektywnéj, wymykającéj się z pod wszelkiego ujęcia myślowego, dostępnéj dla naszego poznania tylko jako negacya wszelkich fenomenów, bez żadnéj pozytywnéj wartości istnienia. Jest to negacya wszystkiego, z czego myśl rozwinąć się może, wykluczająca z siebie wszelką bierność i przedmiotowość, mająca zatém znaczenie saméj czynności wewnętrznéj naszego „ja" myślącego, któréj zawsze i wszędzie przeciwstawiają się dane do opracowania służące, przedmiotowość wszelka, i która wskutek tego przeciwstawiania się właśnie, objawia nam swój byt rzeczywisty i swoją logiczną wartość. Intuicya przedstawia zatém całą pozytywną stronę naszego życia duchowego; apercepcya—jego stronę negatywną. Intuicya łączy nas z tém „nieświadomém", które nas otacza, jako bezimienne i bezkształtne „*mare tenebrarum*"; jest tylko chaotycznym odblaskiem tych wrażeń zewnętrznych i czuć organicznych, które

---

[1]) Ihering. Zweck im Recht, I p. 3--33; Bouglé—Sciences sociales en Allemagne, p. 104.

tysiącznemi falami napływają nieustannie do mózgu, zlewając się wszystkie w jedną mgławicę uczuciową. Apercepcya zaś jest to działanie naszéj uwagi dowolnéj, naszéj wewnętrznéj woli świadoméj, to co spostrzega i przeciwstawia się zarazem temu napływowi intuicyjnemu. Względem intuicyi naszéj odegrywa ona rolę a p a r a t u p o r z ą d k u j ą c e g o, przeistaczając ten mglisty, bezimienny, nieokreślony dopływ uczucia, które budzi się w nas przez zetknięcie z istotą „nieświadomego”,—na wyobrażenia, pojęcia i myśli, na zjawiska określone i imienne; spełnia rolę siły twórczéj, która surowy materyał przyobleka w kształty, z chaosu mgławicy czuciowéj buduje cały świat rzeczy i stosunków. Każda więc myśl nasza zaczyna się i tworzy przez akt apercepcyjny. Każde pojęcie jest napiętnowane działaniem uwagi dowolnéj, dokonaném na pewnym intuicyjnym stanie, z „nieświadomego” poczętym. („Nie ma pojęcia bez aktu uwagi dowolnéj”—może być uważaném za prawo psychologiczne). Jedném słowem, wszystko co spostrzegamy wyraźnie, z czém operujemy myślowo, czemu możemy nadać pewne miano, wyznaczyć pewne miejsce w porządku świata, stanowisko rzeczy, własności lub stosunku — w pojmowaniu naszém, wszystko to podległo już działaniu naszéj woli wewnętrznéj, zostało zdeterminowaném przez apercepcyę, przeszło przez akt myśli, dokonywany z pewnym wysiłkiem uwagi. Dziewicze zaś stany intuicyi, apercepcyą nietknięte, te które wychodzą wprost z łona „nieświadomego”, stoją tylko u samego progu myśli, jako bezkształtna masa uczuciowa, z któréj dopiero ma się narodzić świat pojęć naszych, świat w myśli poczęty i przez myśl istniejący; i która, odczuwana przez nas tak żywo, w głębiach cenestezyjnych, w emocyach nienazwanych, w marzeniach nie dających się określić, nigdy jednak nie może być dostępna—w swéj czystości dziewiczéj—naszéj analizie poznawczéj, bo gdy tylko zwrócimy nań swoją uwagę, gdy tylko pochwycimy w sidła apercepcyi czynnéj, natychmiast podlega ona pewnéj determinacyi, syntezie myślowéj, staje się pojęciem zawarowaném w słowie, elementem sądów, niewolnikiem rozumowania. Dusza więc ludzka składa się jak gdyby z dwóch prądów równoczesnych i ustawicznie zahaczających się o siebie: jeden czysto intuicyjny, z „nieświadomego” czerpiący treść swoją, rozwija się spontanicznym ruchem asocyacyjnym w nieskończony łańcuch zmian czuciowych bezcelowéj natury, tworząc głęboki, ciemny podkład życia duchowego; drugi — apercepcyjny, jest działaniem naszéj woli wewnętrznéj, naszego subiektu myślącego, świadomie i celowo dokonywaném na tych stanach uczuciowych czystéj intuicyi, i przetwarzającém je w świat taki, jaki jest obiektem naszego poznawania, świat

rzeczy, własności i stosunków. Pierwszy pochodzi z nieświadoméj „rzeczy saméj w sobie”, z mistycznéj istoty środowiska, które tysiącem pobudzeń działa na nasz system nerwowy; jest to ukryty, niewyrażony nigdy, uczuciowéj natury i czysto wewnętrzny bieg życia psychicznego. Drugi—pochodzi z naszego subiektu myślącego, jest objawieniem się woli naszéj, i przedstawia stronę rozumującą duszy, samowiedzę jawną i formalnie wyrażającą się w sądach i ich splotach za pomocą artykułowanéj mowy. Tak się przedstawia psychologiczna strona kwestyi.

Powróćmy teraz do społecznéj roli apercepcyi. Uspołecznić zjawisko psychiczne, to znaczy je zobiektywizować; uspołecznić zjawisko fizyczne—znaczy uduchowić je. Otóż, żaden stan psychiczny nie może być zobiektywizowany nie stając się pojęciem, nie zdobywszy pewnéj nazwy symbolicznéj, co następuje wtedy tylko, gdy podlega działaniu apercepcyi, gdy zostaje zdeterminowanym naszą wolą świadomą. I podobnie: takie tylko zjawiska fizyczne uduchawiają się, przechodząc w sferę życia społecznego, na których istota myśląca człowieka wyryła swoją pieczęć pracy celowéj. Przed-myślowe stany uczucia bezimiennego, mgławica intuicyjna, z któréj myśl nasza wydobywa różne postaci wyobrażeń, pozostają wyłączną przynależnością mojéj indywidualności: zdeterminowane zaś przez apercepcyę w pojęcia—uspołeczniają się jako mowa. Cenestezya jest zawsze tylko nietykalną własnością osobnika; natomiast każde pojęcie, skrystalizowane w słowie, jest własnością wszystkich, i może zawsze stać się zjawiskiem społecznem, znaléść miejsce w prawach, przesądach, ideach publicznych. Potrzeba zaspakajająca się bez świadomego wysiłku woli, jak np. oddychanie, należy wyłącznie do zamkniętéj indywidualnéj sfery. Każda zaś, któréj zaspokojenie wymaga świadomego wysiłku, myśli, pracy celowéj, uspołecznia się. Odżywianie staje się produkcyą; rozmnażanie się przybiera społeczne formy obyczajów płciowych, małżeństwa. Materyały dostarczane nam przez naturę są tylko ciałami fizycznemi, dopóki stanowią przedmiot naszego czucia lub kontemplacyi; stawszy się zaś przedmiotem pracy celowéj, nabierają znaczenie towarów. Proces chemiczny jest zjawiskiem czysto przyrodniczém, lecz tenże sam proces zastosowany do produkcyi, opracowany myślą ludzką, staje się zjawiskiem społeczném. Warunkiem więc niezbędnym do uspołecznienia się zjawiska jest to, ażeby zostało ono przesiąkniętém apercepcyą naszą, działaniem subiektu myślącego; żeby apercepcya spostrzegając zjawisko, odnajdywała w niém siebie samą. Zatém, istota myśląca człowieka odnajdywać się musi na dnie zjawiska społecznego, jako genetycznie niezbędny czynnik jego pojawienia

się. Uspołecznienie się zjawiska jest równoznaczne z wcieleniem się jak gdyby w przedmiot myśli—samej istoty myślącej. W stanach przedmyślowych, w bólu, w cenestezyi, tak samo jak w świecie przyrody otaczającéj, w działaniu ślepych sił natury, nie odnajduje się siebie, widzi się coś zupełnie obcego, coś co tylko pozornie jest dla nas dostępne, w istocie zaś swojéj pozostaje zagadkowém, nie tylko dla poznania naszego, lecz i dla odczucia; stąd téż, owe stany intuicyjne z dziedzin „nieświadomych" ku nam płynące, nie uspołeczniają się nigdy, stanowią zamkniętą sferę indywidualności właściwéj. W pojęciach zaś, w myśli, w wytworach pracy, to jest, wszędzie tam gdzie działa apercepcya, odnajduje się swoje „ja" myślące, ma się do czynienia z sobą samym, i to stanowi zarazem społeczną sferę naszego doświadczenia, z którą w najściślejsze stosunki wchodzić możemy, czując że pod zasłoną pozorów zjawiskowych, kryje się nie tajemnicza istota „niewiadomego," lecz sam człowiek. Każde więc poruszenie naszéj apercepcyi, każdy akt woli świadoméj, stwarza jakąś cząstkę świata społecznego, objawiając zasadniczą tożsamość istot ludzkich, utajoną tylko w pozorach zróżniczkowania zjawiskowego. Indywidualizacya—fenomenom tylko właściwa, jako polegająca na stosunku przyczynowości, na zmianach w czasie i przestrzeni zachodzących, nie może dotyczyć subiektu myślącego, który jako negacya zjawisk, pozostaje zawsze tém samém, substancyą świata ludzkiego, dla wszystkich osobników jednakową; podobnie jak woda zawarta w rozgałęzionych i różnokształtnych a komunikujących się ze sobą naczyniach, jakkolwiek przybiera różne formy tych naczyń, i rozgranicza się ich odrębnemi ściankami, pozostaje jednak jednolitą masą i we wszystkich poruszeniach swoich, w poziomie swéj równowagi, zachowuje się jako taka; gdyby jednak obdarzona była świadomością, to wskutek różnicy tylko swych naczyń, zróżniczkowała by się na osobniki różne, w każdém naczyniu czuła by się inną indywidualnością, i przez ścianki jego spoglądając na swoje rozgałęzienia, na wodę w innych naczyniach, miała by złudzenie czegoś zupełnie odrębnego; natomiast, spoglądając wewnątrz siebie, obserwując jak poruszenie się jéj masy odbija się na poziomie wszystkich innych naczyń, poznała by tożsamość swoją. Społeczne więc działanie apercepcyi stąd pochodzi, że ona t. j. subiekt myślący człowieka, sama jest substancyą świata społecznego, i gdy tylko objawia się sobie, stwarza zarazem jądro dla zjawiska społecznego. Jednakże jak w wewnętrznem życiu, nasze „ja" myślące nie daje się pochwycić inaczéj jak w postaci zjawiska, jako przedmiot myśli, tak samo i tutaj —

w dziedzinie społecznéj—tożsamość myśląca ludzka obiektywizuje się w formach zjawiskowych, uległych prawom przestrzeni, czasu i przyczynowości; stykamy się nie z istotą myślącą czystą, metafizyczną, lecz z jéj przejawem specyalnym, ze zjawiskami o psychiczno-rzeczowym charakterze.

VI.

Społeczna natura apercepcyi, czyniąca, że wszystko, co przechodzi przez aparat myślowy, uspołecznia się zarazem, staje się formą zjawiskową, powszechną dla komunikowania się subiektów myślących, dla okazania ich tożsamości zasadniczéj, jest powodem dlaczego możemy rozważać całą umysłowość człowieka jako społecznéj natury, a jednostkę ludzką izolowaną od społecznych wpływów, nawskroś indywidualną, jako abstrakcyę, któréj żadna rzeczywistość nie odpowiada, zgodnie z twierdzeniem Lazarusa i innych socyologów nowoczesnych, że „dusza osobnika jest dziełem społeczeństwa.” Okazuje się ona rzeczywiście taką, gdy badamy tylko jéj stronę formalną, myślową, w pojęciach skrystalizowaną, w mowie zawartą. Tam, w całéj dziedzinie apercepcyi, wszystko jest społeczne, gdyż wszystko co jest apercepcyjnie zdeterminowane, jest punktem możliwéj obiektywizacyi społecznéj, punktem, przez który środowisko ludzkie działa na osobnika, przenosząc nań nabytki kulturalne pokoleń. Są to, w ścisłém znaczeniu tego wyrazu, punkty węzłowe dla światów indywidualnych świadomości, w których one, te światy, tak na pozór szczelnie pozamykane dla siebie, zléwają się w jeden świat obiektywny, świat zjawisk społecznych, dzięki zasadniczéj tożsamości subiektów myślących. Każde pojęcie, każdy wytwór pracy, roztwiera na oścież wrota dla współdziałania między jednostką a środowiskiem ludzkiém. Od pierwszych dni życia otoczeni jesteśmy gęstą atmosferą myśli ludzkiéj, nagromadzonéj symbolistycznie w mowie i przedmiotach pracy, która to atmosfera ukształca i rozwija całą rozumującą stronę duszy naszéj i korzysta z każdego poruszenia się naszéj istoty myślącéj, ażeby narzucić jéj swoją treść i formy. Te punkty węzłowe — apercepcyjnie powstające pojęcia i myśli—nie są to jednak nasze indywidualne dusze. Jest to, używając utartego wyrażenia socyologów — „dusza społeczna” naszéj świadomości. Indywidualność kryje się po za niémi, w głębiach ludzkich, przeciwstawia się im jako pierwotne dane apercepcyi, z „nieświadomego” poczęte, jako dziewicza, bez-

imienna intuicya, któréj słowo dosięgnąć nie może, bezkształtna masa uczucia, która czai się ustawicznie u progu myśli naszéj, i którą działanie apercepcyi, aparat myślowy, przeistacza dopiéro na jawny i wyrażony, zorganizowany świat pojęć naszych. Indywidualność — jest to przedmyślowa dusza, nietknięta myślą mgławica intuicyi czującéj, która owija się jak gdyby wokoło subiektu myślącego, wskutek jego zetknięcia się z „nieświadomém” natury, a niosąc w swém łonie *principium individuationis*—czasu, przestrzeni i przyczynowości, daje mu złudzenie odrębności zamkniętéj w sobie i przeciwstawiającéj się innym subiektom. Bez téj osłony intuicyjnéj, którą czujemy jako swoją cenestezyę, jako podstawę uczuciowéj natury, na któréj bezustannie myśl nasza operuje, tworząc wyobrażenia i pojęcia, bez téj osłony którą „niewiadome” utkało specyalnie dla życia, przy samém tylko działaniu apercepcyi (gdyby to było możliwém), osobniki by znikły, „ja” i społeczeństwo nie przeciwstawiały by się sobie.

Wszystkie więc stany przedmyślowe, prądy cenestezyjne, czucia właściwe, chaotyczne, które nie zostały jeszcze zorganizowane w pojęcia i ujęte w symbole słowne, momenty bezimienne duszy, na które działa apercepcya przerabiając je na wyobrażenia, rozwijając z nich sądy analityczne, jednóm słowem — cała strona dziewiczéj, nietkniętéj jeszcze myślą intuicyi, jest i n d y w i d u a l n ą częścią duszy, osobnikiem właściwym. Wszystkie zaś wytwory myśli, pojęcia i sądy, strona duszy apercepcyjna, w mowie wyrażona, rozumująca, jest s p o ł e c z n ą. Sposób odczuwania jest dla każdego odmienny i nie znosi żadnych prawideł; jest to wewnętrzna i nietykalna własność osobnika. Logika zaś, przynależność subiektu myślącego, jest dla wszystkich wspólna, jednakowa, i dlatego obowiązująca. Jeżeli więc szukać zechcemy świadomości społecznéj w częściach wspólnych świadomości indywidualnych, jak to czyni Lazarus, w tém co jest powszechne dla umysłów poszczególnych, stałe dla umysłów przejściowych, to zobaczymy, że tém wspólném, stałém i powszechném, jest tylko apercepcya nasza determinująca intuicyjnie daną zjawiskowość. W każdém pojęciu, jak w każdym czynie i wytworze pracy jest część indywidualna, niedostępna dla innych, czysto intuicyjna—to co my o d c z u w a m y w danóm pojęciu, i część społeczna, dla wszystkich ta sama, strona formalna, apercepcyjnéj natury—to co my d e f i n i u j e m y i w y r a ż a m y. Dla nikogo nie jest dostępny sposób odczuwania przezemnie danego wrażenia; pojęciowe zaś określenie jego jest wspólne dla wszystkich. Moim zupełnie indywidualnym jest stosunek mój c z u c i o w y do danego wytworu pracy, stopień pożądania, gust, rodzaj użytku; spo-

łecznèm zaś jest cel wytworu i praca która go ma za swój symbol. W taki sposób rozwiązuje się stosunek osobnika do społeczeństwa, sprowadzając się do intuicyjnéj (przedmyślowéj) i apercepcyjnéj strony świadomości naszéj. Wszystko zatém co działa bezpośrednio na intuicyę, jak właściwości fizyologiczne rasy, środowisko natury, należy wyłącznie tylko do sfery indywidualnéj, ukształca właściwego osobnika, wpływa na wrażliwość systemu nerwowego, na głęboki, czysto uczuciowy podkład duszy ludzkiéj. Na historyę zaś, czynniki te mogą wpływać tylko po przejściu przez świadomą myśl ludzką, przybrawszy na siebie postać pracy, pojęć, zwyczajów sformułowanych, zatém straciwszy już swój charakter pierwotny, żywiołowo-naturalny, wolny od subiektu myślącego, od świadoméj woli ludzkiéj [1]). Usuwa się więc podstawa dla tych wszystkich teoryi, które za pomocą fizyologicznych właściwości rasowych lub natury środowiska geograficznego usiłują, bezskutecznie zresztą, objaśnić dzieje społeczeństw. Naśladując naiwny naturalizm Herdera, owe teorye „krwi rasowéj" i „darwinizmu społecznego", poszukując w biegu rzek, w uformowaniu gór i płaszczyzn, w antropologii rasy — wyjaśnienia dziejów społecznych, w postawie prostéj, w zróżniczkowaniu się odnóży—punktu wyjścia dla życia społecznego, przy całém bogactwie nagromadzonego materyału spostrzeżeń, wyciągają zeń jednak tak jałowe abstrakcye i tak nieudolne w objaśnianiu historyi, że przy każdéj próbie, grozi im swojém wtargnięciem idea „przeznaczenia" ludów i Opatrzności dziejowéj.—Umiejąc zaś odróżnić sferę indywidualną od społecznéj, musimy zarazem środowisku przyrodniczemu wyznaczyć właściwe miejsce w historyi ludów, twierdząc, że o tyle tylko wpływa ono na życie społeczne, o ile doń przystosowuje się celowa praca człowieka, o ile staje się treścią

---

[1]) Do podobnego twierdzenia, tylko zupełnie odmiennemi drogami dochodzą także Lazarus i Ihering. — Lazarus uważa, że oddziaływanie rzeczy na psychologię ludów nie jest bezpośrednie i proste. Przyroda nie tworzy ludów za pomocą jakiegoś mistycznego aktu; ludy tworzą się same, korzystając świadomie lub nieświadomie, z większą lub mniejszą zręcznością i szczęściem, z danych natury. Rzeczy zewnętrzne oddziaływają na historyę lecz przechodząc przez umysł. Dlatego też antropologia nie mogła by zastąpić psychologii ludów. Podobnież twierdzi Ihering, że środowisko przyrody, układ geograficzny ziemi, jakkolwiek posiadający według niego ogromny wpływ na historyę, nie działa jednak nigdy na nią mechanicznie i bezpośrednio. Ażeby mogło z naszéj strony wywołać jakąś reakcyę, do tego potrzeba, aby przeszło przez naszą duszę, przekształciło się w motywy. Przyczynowość nie może działać na naszą wolę inaczéj jak tylko przybierając formę celowości. (Wedł. Bouglé'go, loc. cit. p. 24, 105),

pojęć i rozbudza świadome pożądania; nie łączy się zaś żadnym mistycznym, bezpośrednim węzłem z historyą.

Ta społeczna natura apercepcyi, objawiająca nam zasadniczą tożsamość ludzkich subiektów myślących, tłómaczy nam zarazem, dlaczego w życiu społecznem jednostka zdaje się zanikać zupełnie, schodzi do podrzędnéj całkiem roli, według wyrażenia Simmel'a, „punktu przecięcia się różnych kół społecznych", do nikłego znaczenia zmieniających się ogniw w łańcuchu asocyacyi i procesów dziejowych. To bowiem, co stanowi łącznik, podstawę tych kół asocyacyjnych — klas, narodów, stowarzyszeń, wspólność ogniw je składających, jest tém samém co stanowi moje „ja" myślące, apercepcyą, bez któréj zobiektyzowanie i zespolenie indywidualnych stanów psychicznych — w zbiorowy interes, cel, pojęcie, t. j. w to, co stanowi „duszę" danéj asocyacyi, nastąpićby nie mogło. Człowiek zatém, objawiając w grupie społecznéj swoją tożsamość z innymi ludźmi, wyswobadza się jak gdyby—w téj obiektywizacyi społecznéj—z więzów swéj pozornéj odrębności indywidualnéj, nie przestając jednak być sobą samym, nie zatracając swego „ja" właściwego; gdyż ta grupa społeczna, która wchłonęła w siebie jednostkę, nie stanowiąc bynajmniéj czegoś odrębnego i wyższego od istoty pojedyńczego człowieka, powstaje właśnie wskutek tego tylko, że ta istota myśląca, to „ja" każdego człowieka drogą apercepcyi, na gruncie wspólnych interesów, myśli i pożądań, odnalazło w innych mózgach ludzkich i siebie samego. W całém życiu społecznem okazuje się najdoskonaléj ta jedność subiektów, jedność istoty myślącéj pozornie tylko, w zjawiskach, zróżniczkowanéj i rozbitéj na osobniki; okazuje się ona tak samo w życiu współczesnych ludzi, powiązanych w rozmaite zbiorowości, gdzie osobnik schodzi niemal do znaczenia punktu matematycznego, jak i w życiu pokoleń następujących po sobie, w biegu okresów dziejowych. Kiedy jednostki giną i zmieniają się, nie mogąc ani udzielić, ani przekazać nikomu swéj złudnéj „indywidualności" w czuciach zawarte, „ja" myślące osobników, zobiektywizowane w zjawiskach społecznych, w wynalazkach technicznych, w prawach, w ideach zbiorowych, rozwija się ciągle daléj, jako nieśmiertelna istota ludzkości, tak że ewolucya całéj kultury społecznéj, nie ponawia się z każdém nowém pokoleniem, nie przerywa swego wątku wiekowego, lecz pozostaje jednolitą i ciągłą. Zobiektywizowana inteligencya umarłych geniuszów, pokoleń minionych, żyje i rozwija się daléj, chociaż w przedmiotach samych, gdzie się skrystalizowała działaniem ich woli twórczéj, życia czerpaćby nie mogła, od-

najduje się zaś tylko w świadomości nowych ludzi [1]). „Dedukcya zaczyna się w głowie jednego osobnika, ażeby się skończyć w głowie drugiego. Stawiamy przesłanki, z których synowie nasi wyciągają wnioski" (Bouglé). Myśl, rozumowanie, przekracza indywiduum; rozwinięte w jedném pokoleniu potrzeby i idee, stają się czynem, przekształceniem rzeczywistości w następném. Historya nie zna przeskoków, jak natura nie zna próżni i stwarzania się z niczego; tu stoi temu na przeszkodzie jedność materyi i energii, przejawiająca się tylko w nieskończonéj rozmaitości kształtów; tam zaś—jedność istoty myślącéj, utajona w zróżniczkowanéj masie mózgów.

Prześlepienie téj prawdy, że tylko a p e r c e p c y a uspołecznia zjawiska, i że ta s p o ł e c z n a jéj natura jest zarazem objawieniem się tożsamości subiektów myślących ludzkich, wprowadzało socyologów wszelkich szkół i odcieni, na błędne drogi metafizyki społecznéj, zmuszało ich do tworzenia mistycznego pojęcia „świadomości społecznéj" jako syntezy naszych, odmiennéj od nich natury, do wprowadzenia na scenę historyi „duchów" narodowych i klasowych, jako zasadniczéj podstawy służącéj do objaśnienia życia zjawisk społecznych, a stąd, wiodło ich, jak np. Lazarusa, do teoryi o praktycznych wynikach, że duch narodu jest zróżniczkowany na duchy klasowe, które tworzą zarazem jedną harmonijną syntezę, a wchodząc ze sobą w zbyt wielkie przeciwieństwa, sprowadzają upadek całości. Tym sposobem filozofia społeczna wprowadza siebie w błędne koło, bo przyjmując za podstawę i źródło zjawisk społecznych — „syntetyczne" świadomości zbiorowe, duchy klas i narodów, narzuca sobie zarazem nierozwiązalne pytania, jak zbiorowości te powstać mogły bez zjawisk społecznych, i w jaki sposób dusze jednostek ludzkich, będące wytworem społecznym, syntetyzują się jednak w to, co ma stanowić pierwotne źródło i podstawę życia społecznego; zbiorowość wszelka wymaga bowiem już istniejących czynników społecznych, ażeby powstać mogła, jeżeli nie przypuszczamy, że ją wyższa siła nadziemska tworzy, nie może zatém objaśnić istnienia zjawisk społecznych; elementy zaś téj zbiorowości—dusze indywidualne—nie mogą być zarazem jéj produktami. Trudności te znikają, gdy przyjmiemy jako założenie, że podstawą warunkującą zjawiska społeczne jest nasze własne „ja" myślące, toż same

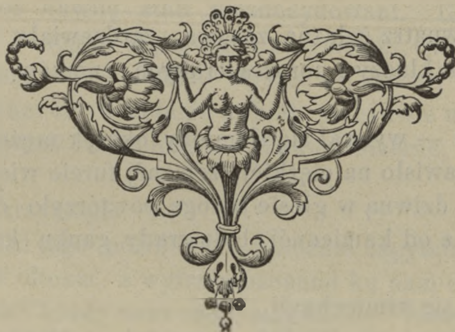
[1]) Którakolwiek z naszych maszyn, mówi Lazarus, znaleziona przez ludzi dzikich, może pozostać dla nich zupełnie bezużyteczną, podobnie jak którykolwiek z ich pomników, znaleziony przez nas, mógłby pozostać dla nas zupełnie niezrozumiałym. Zobiektywizowany umysł żyje w rzeczach, dlatego tylko, że żyje w świadomościach.

u wszystkich, że zatém żadna świadomość wyższa nie tworzy się z syntezy naszych, gdyż synteza jest tu zupełnie równą elementom. Czynnik społeczny istnieje w świadomości indywidualnéj, jest tąż samą świadomością. Narody zaś i klasy, nie stanowiąc bynajmniéj żadnéj metafizycznéj istoty, warunkującéj życie społeczne, są przeciwnie same tylko wynikiem tego życia społecznego, produktem zjawiskowości, i jak one ulegają zmianom i zniszczeniu. Klasy i organizacye mogą być lub nie być, zależnie od fazy, w którą wstępuje historya. Zjawisko społeczne poprzedza powstanie tych ugrupowań ludzkich, nie może zatém być uwarunkowane przezeń. Każda zbiorowość, każdy łącznik społeczny — interes, idea, wymaga przyjęcia już istniejącego podkładu społecznego, jakotéż poszukiwania swego zjawiskowego źródła, swojéj przyczyny determinującéj; jedna tylko apercepcya, subiekt myślący, przeciwstawiając się zjawiskowości wszelkiéj, przyczyny swojéj poszukiwać nie pozwala i sama wystarcza sobie jako substancya społeczna.

Ta właściwość zasadnicza zjawisk społecznych, że obiektywizują w sobie istotę myślącą człowieka, jest zarazem przyczyną, dlaczego daje się do nich powszechnie stosować kategorya etyczna, w formie „powinno być" wyrażana. Można nawet powiedzieć, że wszędzie gdzie się daje stosować kategorya etyczna, tam mamy do czynienia ze zjawiskami społecznemi lub mogącemi się uspołecznić. Wynika to, jak widzieliśmy, z tego, że tylko w istocie myślącéj człowieka rozwiązuje się sprzeczność determinizmu i dowolności. Do życia psychicznego stosuje się kategorya etyczna tam tylko, gdzie działa apercepcya; dla snów, skojarzeń, instynktów, nie znamy norm obowiązujących; istnieją one natomiast dla pojęć, sądów i rozumowania; nie znajdują zastosowania do czynności impulsowych, lecz tylko do celowych. Podobnież, fizyczne procesy, same przez się całkowicie obce kategoryi etycznéj, podlegają jéj jednak wtenczas, gdy są sprzągnięte z myślą ludzką, przystosowane do pracy celowéj. Jedném słowem, co tylko przesiąka apercepcyą, działaniem świadoméj woli człowieka, tam roztwiéra się pole dla norm etycznych, dla dowolności i ideału. Apercepcya umoralnia zjawiska. Możnaby więc powiedzieć, że kategorya etyczna jest najczulszym odczynnikiem, po którym poznaje się społeczeńskość zjawisk, i gdzie tylko ona zjawia się, tam zaczyna się obiektywizacya istoty myślącéj — świat społeczny. Stosowanie do tego świata twórczo-naukowéj metody narzuca się więc samo przez się; gdzie bowiem człowiek siebie samego odnajduje, tam obok przyczynowości występuje zawsze celowość, obowiązek, ideał — dziedzina dowolności subiektowi przynależna. Doszedłszy do tych

wyników drogą czystéj dedukcyi, widzimy jednak zarazem, że ta ścisła łączność kategoryi etycznéj ze społeczném zjawiskiem jest naszą wiedzą intuicyjną; znamy ją niezależnie od wszelkiéj teoryi, i tak dalece jest ona wkorzeniona w naszą intuicyę, że wtenczas nawet, gdy jesteśmy wyznawcami zupełnego fatalizmu mechanicznego w życiu społeczném, nie możemy jednak uwolnić się od stosowania do tego życia kategoryi etycznéj, przymierzając do każdéj dziedziny jego zjawisk — kryteryum tego „co być powinno". Analiza przeprowadzona, zgadzając się z intuicyą powszechną, każe témbardziéj przypuszczać prawdziwość zasady zjawiska społecznego — jako obiektywizacyi istoty myślącéj człowieka.

E. Abramowski.



WIĘZIEŃ.

Zgrzytnęła wewnątrz żelazna zasuwa, zardzewiałe zawiasy jęknęły głucho, brzęk kluczy i poroztwieranych zamków doleciał do uszu czekających.

— Już idą! — wyrwał się tłumiony okrzyk mężczyzny i ciekawe jego spojrzenie zawisło na ciężkiéj, żelaznéj furcie więziennéj.

— Idą!—z dziwną w głosie trwogą powtórzyło dziewczę i cofnęło się mimowolnie od kamiennéj balustrady ganku ku drzwiom salonowym.

Mężczyzna się uśmiechnął!

— Boisz się więźni, Haniu? — zapytał. — Nie bój się.

I przyciągnąwszy ją za rękę, objął ją wpół.

— To złodzieje, — szepnęła, tuląc się do niego,—takie wstrętne postaci.

Stali wysoko ponad tłumem, ujęci w wieniec szerokolistnych figusów i rozkwitłych na wiosnę już oleandrów. Tuż naprzeciw wznosił się gmach więzienny, ponury ze swemi zakratowanemi oknami i wązkiemi u góry luftami. Z poza nich tu i owdzie, mniéj, lub więcéj wyraźnie, migotały cienie więźniów o kudłatych głowach i obnażonych piersiach. Od czasu do czasu rozlegała się téż ochrypła, sprośna piosenka, przekleństwo, lub wybuch śmiechu spazmatyczny, nadrywany.

— Niemiłe sąsiedztwo—mruknął mężczyzna.

— Nie masz pojęcia, Gustawie—przerwała ona—jak bardzo niemiłém bywa ono niekiedy. Widzieć te twarze dzikie, ten wzrok zły i szyderczy, którym ciągle nas świdrują, czuć się przedmiotem ich uwagi, powodem sprośnych ich żarcików — to okropne, wstrętne. Ja téż rzadko kiedy wychodzę na balkon i to wtedy tylko, gdy trzeba kwiaty podléwać.

— Ale kwiaty masz przecudowne, Haniu! umiejętna z ciebie ogrodniczka. I co za kępy bzu... twój balkon uroczo wygląda!

— O, nie tak bardzo uroczo, Gustawie! szpeci go ten pawiak z przeciwka. Ale patrz, wychodzą.

W bramie więziennéj ukazało się kilku mężczyzn w aresztanckich jeszcze kitlach, bez kajdan, z małemi pod pachą węzełkami. Twarze ich, dziko obrośnięte, nosiły na sobie ślady długoletniego zamknięcia, a plecy wypukłe i pochyłe zdawały się mówić o niskich sklepieniach ciasnych murach, twardych pryczach. Szli krokiem ciężkim, miarowym, tocząc wzrok obojętny po zebranym tłumie.

Straż więzienna odprowadziła ich do furty dziedzińca, skąd wyszli na ulicę. Przez chwilę stali niezdecydowani. Gawiedź uliczna zaległa chodniki, Posypały się uwagi i przymówki, przeplatane śmiechem, lub drwinkami. Tu i owdzie słyszéć się dawały głosy spółczucia, a jedna ze stojących w pobliżu kobiét płaczliwie nawet zawodzić poczęła: — Oj! biédneż to, biédne. Takie mizerne, takie zdesperowane.

Hania nagle krzyknęła.

— Czy widzisz tego pośrodku?—trwożnie zapytała—poznaję go. Ciągle siedział pod oknem, z wytrzészczonemi ku nam oczyma, któremi zdawał się śledzić każdy nasz ruch, stąpnięcie. A oczy te jego takie straszne, że wprost bałam się o swoje kwiaty, by ich nie urzekły i nie zamieniły na osty i pokrzywę.

Gustaw się uśmiéchnął.

— Dziecko z ciebie, Haniu! Ot, zwyczajnie patrzał, bo z po za kraty swego okna nic, prócz twego balkonu dojrzéć nie mógł. Widzisz? ta gawiedź uliczna mniéj podejrzliwa; nawet się nie usuwa i każdemu więźniowi patrzy w oczy, jakby krewniaka w nim witała.

— Toć to Stach, mularczyk — szeptano wokoło. — Tęgi z niego był chłop, teraz chuchrak, żeby go własna matka nie poznała.

— A ten, patrzcie! czy to nie kowalski czeladnik, co to majstra swego obuchem w głowę uderzył, że na miejscu ducha wyzionął? O! odsiedział on karę, odsiedział.

— Cha, cha! akurat wygląda, jak nieboszczyk król Popiel, co to go szczury i myszy żywcem zjadły—zaśmiał się ktoś trzeci.

— Jezu! Jezu! jakie to głodne, obdarte, zmizerowane—zawodziła kobiéta.

— A cóżeście, gawrony, ślepia i gęby rozdziawili? — zawołał ktoś w tłumie.—Dalibyście lepiéj kilka groszy, toć to gołe, jak turecki święty.

Zrobił się ruch. Więźnie odsłonili głowy, jedni z tłumu się wysuwali, drudzy sięgali po kalétę.

— Oh! patrzy się ku nam — zawołała Hania. — Co za straszne spojrzenie! Rzuć mu coś, Gustawie! on pewno chce jałmużny.

— Gdzie? który?

— Ot tam, widzisz?

Istotnie, więzień o dzikim zaroście i wejrzeniu stał przez chwilę już z podniesioną ku balkonowi głową, odwrócony od ulicy, z całą przed sobą skupioną uwagą. Nozdrza miał rozdęte, usta nawpół otwarte, a wargi lekko mu drżały od żądzy jakby i pragnienia. Bezwiednie prawie przyjął datek, ofiarną mu podany ręką i nic nie powiedziawszy, ścisnął go w kułaku.

— Rzuć mu téż, Gustawie! niech idzie!—prosiła Hania.

W powietrzu błysła i mignęła drobna moneta, rzutką ciśnięta ręką i brzdękła o bruk, tocząc się pod nogi więźnia.

— Masz!—głośno przemówił Gustaw i wskazał więźniowi palcem monetę.

Więzień stał nieruchomy. Powieka lekko mu drgnęła i wdół opadła, po chwili oko jego znowu na górném zawisło przestworzu.

— Zagapił się—śmiano się w tłumie—wrony liczy.

— Dla ciebie, podnieś!—głośniéj jeszcze wymówił Gustaw i połową korpusu swego przechylił się naprzód. Hania bojaźliwie odsunęła się od balustrady.

Więzień potrząsnął głową. Nozdrza bardziéj mu się jeszcze wzdęły, jakby od mocno w płuca wciąganego powietrza, a źrenica szeroko rozwarta, niby zamagnetyzowana, patrzała w górę.

— Marsz! daléj! — zakomenderował stojący u furty więziennéj stójkowy i, ręką ujàwszy rękojeść szabli, zaczął nią energicznie śród tłumu wydzielać szturchańce.

Więzień drgnął. Błysk gniewu mignął mu po twarzy i jedném okiem groźnie zerknął po za siebie. Nagle jednak poruszył usta i rękę błagalnie podniósł do góry.

— Frant — śmiano się w około — mało mu, chce więcéj.

— Czego chcesz? — groźnie zapytał Gustaw.

Więzień okiem błagalném zawisł na Hani; wyraz rozczulenia przemknął mu po twarzy.

— Panienko! daj kawałek tego „wonia,” gałązeczkę bzu, maleńki chociażby pęczek.

Homeryczny śmiéch wybuchnął śród tłumu. Hania z krzykiem wbiegła do salonu.

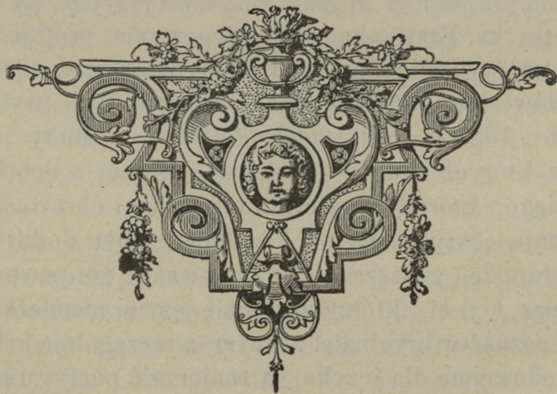
— Skapcaniałeś, bratku! — poklepał więźnia po ramieniu jeden z towarzyszy, — skapcaniałeś doszczętnie.

Więzień odepchnął go, że się tamten aż zatoczył i z wykrzywioną, rozognioną twarzą postąpił kilka kroków naprzód. Szedł ku miastu. Po chwili raz jeszcze się obejrzał i przelotnie zerknął do góry. Gustaw stał na balkonie, jedną ręką oparty o balustradę, drugą mnąc listki róży, wpiętéj w butonierkę. W kątach ust igrał mu uśmiech nawpół pogardy, nawpół zdziwienia.

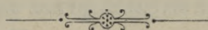
— Dostałeś na sznapsa,—rzucił mu wyniośle.

— Laluś! — wycedził więzień przez zęby i ze ściśniętą pięścią, w nasuniętéj mocno na oczy czapce poszedł daléj.

Salomea Perl.



DRAMATY SCHILLERA.



Stanisław Tarnowski. „O dramatach Schillera“. W Krakowie, skład główny w księgarni Spółki wydawniczéj polskiéj, 1896, 8-vo, str. 395.

W przedmowie opowiada autor, jakie powody skłoniły go do opracowania przedmiotu i jakie cele miał przytém na oku. Powołany po śmierci ks. Bratranka do zastępowania profesora literatury niemieckiéj na wydziale filozoficznym w Krakowie, obrał za przedmiot wykładów dramaty Schillera. Owocem tych wykładów były ogłaszane od r. 1884 w „Przeglądzie Polskim“ rozbiory pojedyńczych dramatów, z których złożyło się obecne studyum o Schillerze. Brak studyum takiego, któreby roztaczało przed nami obraz całego rozwoju jednego z największych poetów, dawał się zbyt dotkliwie uczuwać w naszéj literaturze, zwłaszcza gdy się zważy, że pewna część tylko z pomiędzy nas, t. j. ci, którzy uczyli się języka niemieckiego, mogła utwory jego poznać w oryginale. Innym, a szczególnie kobiétom utwory te były niedostępne dla języka, a znajomość poety u nas mniéj powszechna niż na nią zasługuje. Tych miał głównie na oku autor, chcąc czytelnikom rozpoczynającego się w r. 1884 zupełnego wydania dzieł Schillera w przekładzie polskim, ułatwić zrozumienie dzieł jego, z skromnością właściwą sobie nazywa autor głębokie i obszerne studyum swe, streszczeniem. Wzgląd na szersze koła czytelników, na które było obliczone, nakładał rozstrząsaniom naukowym pewną mia-

rę i granicę, którą powiodło się autorowi należycie zachować. Nie wciągając do rozbioru dzieł nic prócz tego, co niezbędne było do zrozumienia rzeczy saméj, wyróżnia się studyum niniejsze korzystnie od całéj powodzi dzieł i rozpraw niemieckich, które wiadomościami ściągniętemi ze wszystkich stron świata często starają się wyjaśnić nic, albo nie wiele do zrozumienia utworów przyczyniające się drobiazgi. Autorowi powiodło się szczęśliwie uniknąć tego szkopułu, a to, co stastanowi jego niezwykłą w dzisiejszych czasach zaletę, trzeźwy sąd i wytworny smak, przebija się w każdém zdaniu, wypowiedzianém przez autora, choćby nie zawsze bez ograniczeń pewnych można się na nie godzić. Innych zalet wspólnych wszystkim pracom autora jako zbyt znanych nie podnoszę, lecz przechodzę do rozbioru samego dzieła.

Jak z natury rzeczy wynikało, poprzedza właściwy rozbiór dramatów Schillera rzut oka na stan literatury niemieckiéj w XVIII-ym wieku. Wobec ram zakréślonych pracy, byłoby zbyt wygórowane żądanie zupełności i wnikania w szegóły. To téż, co autor mógł nam podać, ogranicza się na uchwyceniu głównych prądów, panujących w ówczesnéj literaturze niemieckiéj i wydobyciu najwybitniejszych osobistości. Autor odróżnia należycie prądy, które, obalając wszelkie powagi w kierunku politycznym, socyalnym i literackim, sprowadziły rozkwit literatury niemieckiéj w XVIII-ym wieku, ocenia należycie znaczenie Gottscheda, Klopstocka, Lessinga, Wielanda. Obraz téj epoki musiał się jednak stać niezupełnym i niejasnym, gdy wypuścił z szeregu owych wybitnych postaci Herdera, którego autor mimochodem wymienia (str. 23 i 28), nie wchodząc bliżéj w szczegóły jego działalności. Myśli rzucone przez Herdera stały się posiewem owego kierunku literackiego, który się *Sturm und Drang* nazywa, z którego wyszli Goethe i Schiller. Bez należytéj oceny więc Herdera, rozwój jednego i drugiego zrozumiany być nie może. Brak więc tegoż musi stanowić lukę, która nawet w najpobieżniejszym szkicu daje się odczuwać. Jak jednak z jednéj strony stanowisko i znaczenie Herdera nie we właściwém świetle przedstawia się, tak z drugiéj znaczenie Lessinga zostało przecenioném, gdyż autor widzi „wszystko, co już urzeczywistnioném ukazuje się w poezyi Schillera i Goethego złożone i wytłómaczone w krytyce Lessinga.” Zdaniem mojém, sam Lessing nie wystarczy do wytłómaczenia nietylko rozwoju literatury niemieckiéj, lecz nawet rozwoju obudwóch poetów. Wszak *Sturm und Drang* przeszedł nad regułami przez niego ustanowionemi do porządku dziennego, nie jego wpływowi jedynie należy przypisywać zwrot ku Szekspirowi, gdyż to, co Lessing mówi o Szekspirze, są to luźne wzmianki w 17 *Literaturbrief* i w Dramaturgii *Stück* 5, 11, 15, 69, 80, 81. Nawoływania do

zwrotu tego rozległy się z innéj strony, a podobne wzmianki o *„engelländischer Sophokles"* można już znacznie wcześniéj, niż u Lessinga, spotkać w literaturze niemieckiéj. Z tego jednak, co mówię, nie wynika bynajmniéj, żeby Lessing nie wywarł żadnego wpływu na Schillera, owszem — mimo wstrętu, jaki uczuwał do niego (wedle świadectwa Goethego), wpływ Lessinga da się zarówno w architektonice, jakotéż w poszczególnych ustępach jego dramatów, które często wyglądają na dosłownie wzięte z Lessinga, z łatwością odkryć, lecz że wpływ jego na całą literaturę nie był tak wielki, jak go przedstawia autor.

Na tle tego obrazu literatury niemieckiéj kréśli dzieje młodości Schillera aż do przedstawienia „Zbójców". Dłuższy ustęp poświęca autor obronie księcia Karola Eugeniusza przed zarzutami, jakie zwykle podnoszono przeciw niemu. Nowsze badania dostatecznie wykazały, do jakiéj miary należy je zredukować, chociaż Kuno Fischer, a za nim autor, zdaje się za daleko poszedł, biorąc wyrazy uwielbienia dla księcia w utworach współczesnych poety, za dowody jego wdzięczności dla księcia. Na ucieczce z Sztutgardu kończy się rozdział pierwszy, który ograniczył się na zestawieniu najgłówniejszych faktów z historyi literatury i życia Schillera, nie starając się w odpowiedni sposób wykazać związku między ówczesną literaturą a osobą poety. W drugim rozdziale przechodzi autor do rozbioru poszczególnych dramatów, postępując w chronologicznym porządku, w jakim się ukazywały, a więc rozpoczynając od „Zbójców". Nie wchodzę w to, o ile pogląd autora na tę tragedyę jest uzasadniony, czy i o ile mogą być dzieła sztuki sądzone ze stanowiska moralnego. Następstwem jednak zajęcia tego stanowiska musiało być uznanie założenia téj tragedyi za niedorzeczne. Rozbiór jéj ujmuje autor w charakterystykę głównych figur, występujących w niéj Karola, Franciszka i Amelii. W jaki sposób powstał w Schillerze plan „Zbójców", wiemy dostatecznie z dzieł odnośnych literacko-historycznych, choćby tylko wymienić Brauna *Schiller im Urtheile seiner Zeitgenossen*, z którego mógł się autor z łatwością przekonać, że pomysłu do téj tragedyi nie wynalazł poeta sam, lecz zaczerpnął go z opowiadania Szubarta, opartego na zdarzeniu rzeczywistém. Każdy z motywów użytych przez poetę w tragedyi ma swoją historyę jak marnotrawny syn, nienawiść braci, ojcobójstwo, ucieczka w lasy, o któréj doczytać się można choćby w dziele Minora o Schillerze. Autor poprzestaje na podniesieniu reminiscencyi i analogii w sytuacyach zbójców i królu „Learze", „Ryszardzie III" i „Hamlecie" Szekspira. Omawiając przebieg akcyi, podnosi autor słabe strony utworu tego, które zarówno w kompozycyi, jakotéż w poszczególnych częściach tegoż, jaskrawo występują. Zbyt surowym wydać się może sąd autora

w porównaniu z sądem krytyków niemieckich, lecz niestety aż nadto często musi się okazać sprawiedliwym. Że motyw udania się w lasy zamało zawiéra tragiczności, że uwięzienie ojca w lochu zamkowym jest tylko melodramatycznym, że sam stary Moor, jakotéż Karol, zbyt wiele w charakterystyce poety wykazuje luk, że Amalia z całym nakładem heroizmu i dziewczęcéj prostoty, naiwności i zbytniéj czułostkowości, wygląda raczéj na karykaturę, że wiele sytuacyi zbyt jest naciąganych i obliczonych jedynie na efekt teatralny, to są zarzuty autora, którym zdaje się nikt słuszności nie odmówi. Trafne jest również spostrzeżenie jego, że opowiadanie Kosińskiego w „Zbójcach" zawiéra wiele rysów przypominających „Emilię Galotti" i późniejszą *Kabale und Liebe.* Wypowiedział już przedtém przypuszczenie to B. Auerbach, choć nie da się utrzymać mniemanie autora, że możnaby w niéj dopatrywać się pierwszéj myśli do *Kabale und Liebe.* Usiłował to wprawdzie udowodnić H. Ottmann w *Das Verhältnis der „Räuber" zu den späteren Dramen Schillers zunächst zu „Kabale und Liebe"* (*Zeitschrift des kgl. Gymnas. zu Weilburg*, 1890, str. 25 — 30), lecz dowody jego nie mają siły przekonywującéj. Mimo wad wytkniętych w rozbiorze, autor przyznaje tragedyi téj siłę poetyczną w poszczególnych ustępach, poczém skréśliwszy nam życie tułacze Schillera po ucieczce ze Sztutgardu, przechodzi do rozbioru „Fiesca", któremu również wielki poeta starał się nadać tło szersze. Jak złe stosunki społeczne popchnęły Karola Moora do buntu przeciw społeczeństwu, tak złe stosunki w ustroju państwa popychają Fiesca do przewrotu istniejącego stanu rzeczy. Schiller widział ideał państwa w urządzeniach republikańskich, do przedstawienia tychże miało dążyć *„ein republikanisches Trauerspiel"*, lecz tragedya wręcz przeciwny obrót wzięła, niż to poeta zamierzał, a w tytule zaznaczył, bo kończy się abdykacyą zupełną najczyściejszego z pomiędzy tam występujących republikanów Verriny. Jest to bezwątpienia jeden z najsłabszych utworów, jakie Schiller napisał a wydał, w grudniu 1782 z liczbą r. 1783. Wyśrubowanie akcyi, przesada zarówno w charakterystyce osób, jakotéż sytuacyi—to są niedostatki, które autor wytyka téj tragedyi. Najnieszczęśliwiéj wypadł pod względem techniki piąty akt, da się jednak łatwo to wytłómaczyć historyą powstania tego utworu. Mamy zatém trzy zupełnie różne zakończenia téj tragedyi, w jedném opracowaniu dla sceny każe poeta Fiescowi poświęcając dramatyczność dla teatralności zrzec się tronu, lub téż w opracowaniu dla sceny lipskiéj każąc go zasztyletować. Chwiejność ta co do wyboru stosownego zakończenia jest charakterystyczna dla młodego poety. Słabe zaś zakończenie w pierwotnéj sztuce zarówno razić musi, jak brak tego, co największą

stanowiło zaletę „Zbójców", to jest skoncentrowanie akcyi i przyśpieszone jéj tempo (z wyjątkiem II aktu).

Wady te nie mogły więc zapewnić powodzenia téj sztuce już przy pierwszém przedstawieniu we Frankfurcie i Kolonii, „gdyż nie posiadała zalet jakieby wynagrodziły jéj niedostatki." Co do tendencyi nie bardzo oddaloną od poprzednich jest trzecia z kolei tragedya Schillera *Kabale und Liebe*, do któréj napisania powziął plan Schiller, pokutując w areszcie za wycieczkę do Mannheimu. Jeżeli w „Zbójcach" poddał krytyce złe ustawy społeczne, w Fiescu zły ustrój polityczny, w *Kabale und Liebe* wykazał oddziaływanie tych złych stron na życie rodzinne. O tém, co autor jako przypuszczenie jedynie wypowiada, wątpić nie można, że wśród osób występujących w tragedyi są dobrzy znajomi poety, książę Karol Eugeniusz, Franciszka Hohenheim i minister Montmartin, choć wiele rysów mają dodanych celem zatarcia zbyt rażącego podobieństwa (por. E. Müller, *Schillers Kabale und Liebe*, *E. Studie*, Tübingen, 1892). Przedmiot sam był w literaturze niemieckiéj i francuskiéj XVIII wieku nader ulubiony, a niektóre motywy dadzą się z łatwością w ówczesnéj literaturze odkryć, że wskażę tylko Diderot'a (*Père de famille*), Leisewitza (*Julius von Tarent*), Gemmingen (*Deutscher Hausvater*), Millera (*Siegwart*), Lessinga (Emilia Galotti), Zofia La Roche (*Fräulein von Sternheim*), Klinger (*Das leidende Weib*), nie mówiąc już o pokrewnych utworach Lenza, malarza Müllera, H. L. Wagnera. Plan, jaki pierwotnie Schiller sobie ułożył, uległ pod wpływem miłości w Bauerbach zmianie, gdyż zamierzona tragedya miłości przekształciła się tutaj w tragedyę zazdrości, co bynajmniéj nie wyszło na korzyść samego utworu. Wykazuje to rozbiór téj tragedyi, któréj zakończenie oburzającém każdy wraz z autorem nazwać musi.

Drugą wadą, którą w rozbiorze tym uwydatnić trzeba, jest, że poeta zbyt siląc się stworzyć to, co Niemcy zowiąc „*zugkräftiges Theaterstück*", poświęcił niejednokrotnie prawdę rzeczywistą dla efektu teatralnego, a nieobeznany z życiem dworskiém, popadł niekiedy w niesmaczność. Lubo autor odmawia wszelkiéj racyi bytu „dramatowi z życia potocznego" (*bürgerliches Trauerspiel*), gdyż „musi nadać figurom i sytuacyom tę cechę zwykłości, powszedniości, jaką ma codzienne życie", przyznaje mu pewne zalety, które ją korzystnie wyróżniają od poprzednich. W całości jednak wypadł sąd autora ujemnie, co było wynikiem zajętego stanowiska, którego mimo argumentacyi wymownéj nie mogę z autorem podzielać.

Czego właśnie w *Kabale und Liebe* brakować musiało, charakter wysoki, poetyczny, odkrywa autor w *Don Carlosie*. By módz należy-

cie ocenić i rozebrać utwór ten, niezbędnie potrzeba przedstawić sposób jego powstania. Temu autor w części tylko czyni zadość nie wchodząc w to, jak każde z miejsc pobytu Schillera wśród pięcioletniéj pracy zostawiło niezatarte ślady w utworze samym. Sztutgart satyryczny zakrój, Bauerbach liryczny polot, Mannheim wycieczki przeciw kościołowi, Saksonia swobodę i wesołość. Pomysł do utworu tego wziął poeta z *Nouvelle historique et galante* St. Réala. Przedstawienie więc nieszczęśliwego infanta przez poetę, oparte na St. Réala noweli, musiało w całości i w szczegółach odbiegać od prawdy historycznéj, jak to wykazały badania Gacharda, Maurenbrechera a szczególnie Büdingera. W rzeczywistości brzydki, garbaty, rachityczny Karol lubił królowę, choć dalekim był od zakochania się, gdyż starał się naprzód o rękę Maryi Stuart a potém arcyks. Anny, nie posiadał jednak pociągających rysów, jakiemi go poeta wyposażył w swéj tragedyi, w któréj pociąga nas swym smutkiem i ową fatalną miłością ku macosze. Z historycznych rysów zatrzymał tylko nienawiść ku ojcu i chęć panowania nad Flandryą.

Budowa i układ całości są w pierwszych trzech aktach wspaniałe. W miarę jednak jak Markiz Posa na drugie plany spycha infanta, rozpada się. To stanowi słabą stronę tego utworu, choć da się usprawiedliwić trzykrotném opracowaniem, jakiemu uległ „Don Carlos", a czuł to dobrze sam poeta, starając się usprawiedliwić w *Briefe über Don Carlos.* Niedostatki te wytyka rozbiór akcyi saméj, do którego autor przechodzi po krótkiéj charakterystyce występujących tu osób. Pisano już o tych niedostatkach wiele a szereg wymienionych u autora dałby się jeszcze niejednym szczegółem uzupełnić, że wskażę tylko na sprzeczność, w jaką popada poeta gdy infant uważa w II, 4 list księżniczki za list królowéj, z którą jak się pokazuje w V, 1, korespondował, brak ścisłego związku księżniczki Eboli z akcyą, dla któréj zdaje się wzorem była Charlotte Kalb, a nie dla królowy i t. p. Najwięcéj, jak z natury rzeczy wynikało, zajmuje się autor w rozbiorze swym markizem Pozą. Nie poprzestając na podniesieniu słabych stron téj postaci, wykazuje, ile mimo przepysznych wierszy, mimo całego czaru poezyi, dałoby się argumentów przytoczyć przeciw doktrynom markiza, ile zarzutów podnieść przeciw jego postępowaniu, które ani pod względem moralnym ani patryotycznym nie może zasługiwać na uwielbienie, jakie zwykło budzić w młodocianych umysłach. Rażącém jest również dla autora, choć da się w części wpływem na poetę wychowania i otoczenia protestanckiego wytłómaczyć, pomieszanie katolicyzmu z despotyzmem, gdyż Filip II nie był bynajmniéj tak pokornym

sługą kościoła, jakim go poeta przedstawia w scenie z wielkim inkwizytorem. Błędy w szczegółach, w budowie i założeniu wynagradza zapał poetyczny, tragiczna groza przedstawionych stosunków—jak to na końcu rozbioru swego autor słusznie zaznacza. „Don Carlos" stanowi epokę w twórczości dramatycznéj Schillera, stanowi zwrot od realistycznéj ku idealistycznéj metodzie „ze szkodą genialnego dramatyka scenicznego," jak mówi Bulthaupt, z korzyścią, jak twierdzi autor.

Pomiędzy ukazaniem się „Don Carlosa" a „Wallensteina" zachodzi przerwa dwunastolenia. Oczekiwać by należało, że autor na wstępie samym do rozbioru „Wallensteina" wykaże nam czynniki, które wpłynęły na rozwój poety w przeciągu tego czasu—lecz niestety, prócz szkicu pobieżnego bardzo, nie znajdujemy tego, czegośmy oczekiwali. Autor porusza wprawdzie pytanie, o ile zajmowanie się filozofią wpłynęło szkodliwie na twórczość Schillera i Goethego, jednak ocena wpływu filozofii i historyi, wpływu Goethego na Schillera i innych nie daje nam należytego obrazu rozwoju poety w tym czasie, gdyż zbyt jednostronnie ogranicza się na podniesieniu szkodliwych następstw, jakie wywarły zajęcia naukowe na twórczość poetycką Schillera. Obok szkodliwego wpływu, który uderzać musi szczególnie w późniejszych dramatach Schillera po „Wallensteinie", trudno przeoczać i dodatni wpływ, jaki zajęcia te wywarły na poetę, o czém mówi obszerniéj K. Fischer w dziełku *Schiller als Philosoph*. Bez należytéj i gruntownéj oceny téj strony poety musi rozbiór Wallensteina, wykazywać luki pewne, gdyż brak mu tego, czego w dziele sztuki nie da się oddzielić t. j. względu na rozwój poety, który dopiéro nadaje właściwe piętno swemu dziełu. Pominąwszy tę wadę, rozbiór saméj akcyi w całości jest wyborny. Mimo, że autor widzi w Schillerowskim Wallensteinie najdoskonalszą tragedyę nowszych literatur europejskich, wytyka jednak jako błąd poecie nierównomierny rozkład materyału. Zarzut ten wnet po pierwszém przedstawieniu Wallensteina podniesiono, lecz nie brak usiłowań wśród krytyków niemieckich, by usprawiedliwić poetę że wskażę tylko G. Freytaga który widzi tu dwa odrębne, samodzielne dramaty, kiedy Bellermann stara się je jedynie jako rozszerzoną pięcioaktową tragedyą, a więc w tym razie dziesięcioaktową, z prologiem przedstawić, nie chce zaś jéj w żaden sposób za trylogię uważać. Wobec téj spornéj kwestyi stara się autor osłabić zarzut, jaki poecie czynią, tłómacząc to „wielką obszernością materyału dramatycznego," co oczywiście nie jest w stanie zbić go. Dotknąwszy mimochodem głównéj idei tragedyi, przechodzi autor do rozbioru, wplatając zręcznie charakterystykę osób. Charakterystyka Wallensteina jest, w stosunku do znaczenia tegoż w utworze samym, jakotéż wobec sprzecznych sądów, jakie o niéj wy-

dawano i wydają, zbyt pobieżnie traktowana. W szczegóły rozbioru wchodzić nie mogę, gdyż zajęłoby to zbyt wiele miejsca, poprzestanę jedynie na zaznaczeniu stanowiska autora w kwestyach tyczących się utworu tego, w których dotąd zdania się rozchodzą, mianowicie pojmowania charakteru Oktawia i znaczenia Maksa w tragedyi. Co do pierwszego, nie brak głosów między krytykami niemieckimi, którzy uważają Oktawia za wiarołomnego zdrajcę i przypisują mu nawet tę nikczemność, że śmierć wodza leży w jego planie (Bulthaupt). Autor jednak nie popadając w zbytnią pobłażliwość dla generała, owszem podnosząc jego winę, gdy zawodzi zaufanie swego wodza, bierze go w obronę przeciw takim zarzutom, widząc w nim człowieka uczciwego, który znajduje się w strasznéj kolizyi. Ta ocena charakteru, zdaniem mojem, odpowiada jedynie intencyom poety, który w jednym z listów swych wyraźnie twierdzi że: *Octavio ist ein ziemlich rechtlicher Mann.*

Przechodzę do drugiéj kwestyi, któréj autor również milczeniem w rozbiorze pominąć nie mógł, t. j. do znaczenia miłosnego „epizodu" w tragedyi, choć trudno całą tragedyę rozgrywającą się w rodzinném kole wielkiego wodza za epizod jedynie uważać. Figura ta, która tyle kłopotu sprawia nowszym krytykom, była najulubieńszą dla poety, choć zrazu obawiał się o jéj los na scenie. Autor uważa ją nie tylko za niezbyteczną lecz nawet za konieczną, gdyż „bez Maxa i jego fanatycznego przywiązania Wallenstein byłby tylko twardym, egoistycznym i dość pospolitym ambitnym człowiekiem." Na zdanie to można się zgodzić zupełnie i uważać ten „epizod" za integralną część tragedyi, mimo głosów krytyków niemieckich. Pominąwszy jednak zbytnią sentymentalność, która w niejedném miejscu zbyt ich zdaje się razić, pominąwszy Teklę samą, która wydaje im się postacią chybioną, trudno nie uważać (wraz z autorem) tragedyi téj za typową, jako historycznéj którą poeta prześcignął Szekspira i Goethego a w któréj nikt mu dotąd w literaturze europejskiéj nie dorównał. Równocześnie prawie z Wallensteinem pracował poeta już nad inną tragedyą historyczną, do któréj plan był dawniéj powziął t. j. nad „Maryą Stuart". Postać téj nieszczęśliwéj a niekiedy występnéj królowéj, ocena jéj charakteru w historyi jest dotąd przedmiotem sporu między historykami protestanckimi a katolickimi. Kiedy pierwsi potępienie jéj uważają za swe zadanie, drudzy biorą ją w obronę. Poeta mimo że protestant, mimo braku naówczas źródeł historycznych, oddał jednak nieszczęśliwéj królowéj sprawiedliwość z całém ciepłem i współczuciem, na jakie zasługiwać mogła, jakto badania historyczne Philippsona w najnowszych czasach wykazały. Tendencya protestancka byłaby zaszkodziła nawet pod względem artystycznym utworowi, który w Plutarchowym zakroju wykonał poeta.

Jest też to może najregularniejsza z tragedyi niemieckich, choć autor widzi w niéj osiągnięcie zenitu, z którego już na dół tylko może droga prowadzić. Uderzającém jest w téj tragedyi zbliżenie się poety zarówno w sposobie traktowania sytuacyi i figur, jakotéż w zachowaniu owych tak zwalczanych trzech „jedności" do klasycznéj tragedyi francuskiéj. Spostrzeżenie to autora, nader trafne, zyskałoby należyte wyjaśnienie przez przegląd korespondencyi Schillera i Goethego, bez tego pozostaje nam jedynie z autorem stwierdzić istnienie tego faktu tak charakterystycznego dla rozwoju poety i literatury niemieckiéj. Po tych ogólnych uwagach przechodzi autor do rozbioru akcyi. W trzech wypadkach odstąpił tu Schiller od tradycyi historycznéj a mianowicie wprowadzając miłość Lestera ku Maryi, miłość Mortimera i spotkanie trzech królowych. Tylko ostatnie uznaje autor za pomysł dobrze wykonany, natomiast potępia obadwa pierwsze. Miłość Lestera zmniejsza, zdaniem autora, rozmiary tragicznéj sytuacyi, gdyż zamiast rywalizacyi dwóch kościołów, dwóch narodów, wprowadza rywalizacyę dwóch zakochanych kobiet. Drugi, Mortimer, mimo ognistéj namiętności dość wodnisty, musi swém wyznaniem miłości obniżyć wrażenie sceny tragicznéj, jaka się przed chwilą między dwiema rywalkami rozegrała. To są główne zarzuty, jakie czyni autor Schillerowi, choć stara się go tém usprawiedliwić, że zbliżywszy się zbyt do tragedyi starożytnych a widząc akcyę za skąpą na nasze pięć aktów, przeładować ją musiał szczegółami ubocznemi, jakotéż pojedyncze sceny zbyt szeroko traktować. Nienaturalném wydać się musi również, że wszyscy mężczyźni w téj tragedyi zadawalniają się mniéj lub więcéj bierną rolą, że z bohaterek jedna pozostaje bierną, druga ją udaje. W wymienionych niedostatkach upatruje autor główny powód, że tragedya ta, choć może najklasyczniejsza z pomiędzy niemieckich, nie czyni tak tragicznego wrażenia jak Wallenstein.

Jeżeli już w Maryi Stuart nie wszędzie udało się poecie zachować należytą miarę między poezyą a retoryką, przewaga retorycznego elementu w następnéj tragedyi zbyt dotkliwie dała się uczuć, obniżając wartość samego utworu. Spółcześni Schillera widzieli w „Dziewicy Orleańskiéj" arcydzieło. Wśród nowszych krytyków zdanie, uważające Dziewicę za najsłabsze z pomiędzy dzieł Schillera, przeważa, że wymienię Vilmara, Hebbla, Köstera, Bulthaupta, Balthę. Tego samego zdania jest autor niniejszego studyum. Uważa on przedewszystkiém przedmiot sam za nadający się bardziéj do epopei niż do dramatu, gdyż ani cud nie może być dramatycznym, ani szereg walk, gdzie mierzą się wojska a nie indywidua, choć walki mogą zawierać sytuacye dramatyczne. Za wielki błąd poecie uważa, że odstąpił od prawdy historycznéj, na-

dając wypadkom inny obrót, niż je wzięły w historyi. To zaś, co wymyślił, nie uczyniło sztuki dramatyczną ani bohaterki tragiczną. Joanna jest postacią chybioną, chcąc bowiem przedstawić ją jako czyniącą cuda, nie umiał tego zrobić, będąc protestantem. Nadał jéj więc tylko pozory twardych kobiét, wléwając w nią zamiast natchnienia sentymentalny liryzm. Po tych ogólnych uwagach przechodzi autor do szczegółowego rozbioru akcyi, wykazując liczne sprzeczności i wady utworu. Winy Joanny nie widać wcale w tragedyi, gdyż nagła miłość jéj, jaką zapałała spojrzawszy w oczy Lionelowi, może być jedynie śmieszną ale nigdy tragiczną. Za winę jéj poczytywał poeta sam zuchwałość, z jaką zapowiada, że nie spocznie pierwéj aż dumny Albion ulegnie, za karę—pokochanie Lionela. *Eine einzige Berührung des Geistes lähmt sie. Mehr wollte ich dadurch nicht ausdrücken noch motivieren.* Słusznie jednak utrzymują krytycy niemieccy, że w tém oświadczeniu chodziło jedynie o usprawiedliwienie słabéj strony utworu, gdyż Joanna, jak to widać z jéj monologu, sama uważa za swą winę miłość ku Lionelowi. Zresztą, jak Bulthaupt zaznacza — gdyby poeta rzeczywiście w tém jéj winę był upatrywał, mógłby i musiałby był na to główny nacisk położyć. Mimo pięknéj dykcyi, mimo wspaniałych scen, utwór ten jest chybiony, choćby nie koniecznie i nie wyłącznie wraz z autorem powód tego należało upatrywać w braku uczuć katolickich. Ustępstwa bowiem uczynione kierunkowi romantycznemu musiały wydać eksperyment nieudatny, co łatwo mógł wyjaśnić rzut oka na działalność obudwóch poetów w celu podniesienia sceny Weimarskiéj. Brak tego daje się zbyt uczuwać w dziele, gdyż wiele rzeczy musi pozostać wskutek tego nie wyjaśnionemi.

Niczém więcéj jak tylko eksperymentem była również następna z kolei tragedya Schillera „Braut von Messina”, choć we wręcz przeciwnym kierunku. Chodziło tu o przywrócenie chóru starożytnego na na scenie nowożytnéj. Inowacyę tę starał się poeta w przedmowie do utworu tego usprawiedliwić, lecz mimo całego wywodu Schillera, który autor podaje w wybornym przekładzie, chór w nowoczesnym dramacie nie ma racyi bytu. Ten bowiem jest w przeciwieństwie do starożytnego zbyt indywidualizującym i realistycznym, chór więc w tragedyi Schillera nie może zająć takiego stanowiska, na jakie go chciał wznieść poeta, wskutek tego zaś zamiast podnosić, osłabia wrażenie akcyi saméj.

Drugą rzeczą, którą się autor w rozbiorze zajmuje, jest kwestya przeznaczenia, które tu poeta wzorem starożytnych wprowadził. Jednak zbyt daleko idą ci, którzy dla niektórych podobnych motywów, nic innego nie widzą w tragedyi Schillera jak tylko naśladownictwo „Kró-

la Edypa". Istota przeznaczenia w obudwóch tragedyach jest różna. Kiedy Edyp pozostaje zupełnie pod wpływem tego *fatum*, bohatérowie Schillerowskiéj tragedyi ściągają na siebie winę, która sama w sobie, już bez względu na wyrocznię, jest straszna i niesłychana. Kwestyą téj różnicy autor wprawdzie się nie zajmuje, lecz ocenia ją ze stanowiska moralnego i rozumowego, wykazując, że zamiast moralnego i wzniosłego pogodzenia sprzeczności, które sam wymyślił, wpadł w nowe, „z których się wydobył tylko pozornie nie przez istotne pogodzenie, ale przez dowolne i oburzające pogwałcenie wrodzonych praw sumienia, a nawet logiki." Zarzut ciężki udowadnia następnie rozbiór szczegółowy akcyi, a nie pokrywają bynajmniéj błędu poety zalety wysokie utworu tego, jak wspaniałość i szlachetność stylu, głębokość myśli i sentencyi, sztuka stopniowania wrażeń tragicznych, którą przejął od starożytnych. Dziwna tylko rzecz, że obadwaj poeci uważali utwór ten za najtragiczniejszy. Autor przypuszcza jednak, że Schiller wnet zawrócił z błędnéj drogi, co powrót jego do tragedyi historycznéj w „Wilhelmie Tellu" wskazywać się zdaje. Swego przypuszczenia nie popiéra niczém, zarówno jak i dalszego, że rozważanie współczesnych wypadków politycznych nakłoniło go do obrania tego przedmiotu. Przedmiot ten poprzednio już chciał opracować Goethe jako epopeę, do któréj się lepiéj nadawał niż do dramatu. Wskazuje na to, jak słusznie autor zaznacza, sam utwór Schillera, w którym brak dążenia do jakiegoś celu w bohatérze dramatu—zdaniem jego—zbyt się dotkliwie daje uczuć, każda scena może rozwlekle traktowana wygląda raczéj na epizod epopei w formie dyalogu, a nie na scenę dramatyczną. Wobec szerszego tła danego utworowi, wprowadzenie chóru mogłoby było robić, zdaniem autora, prawdziwie kolosalne wrażenie, gdyż „zbiorowość uczuć" znalazłaby w nich była swój wyraz, szczególnie przy zakończeniu każdego aktu.

Ostatni rozdział swego dzieła poświęca autor fragmentom pozostałym po poecie. Z tych głębiéj rozbiéra tylko pierwszy z pomiędzy wymienionych, wytykając na samém czele błędy historyczne, które razić muszą każdego Polaka. Błędy te nie wynikły bynajmniéj wskutek braku studyów historycznych u poety, temu zaprzeczają wyciągi i notatki Schillera, lecz dadzą się odkryć w bałamuctwach dzieł pomocniczych, jakich używał Schiller w studyach swych nad tym przedmiotem. Pytanie, czy Schiller miał jaką niechęć ku Polakom, choć zaznacza, że sympatyi w utworze tym nie widać, zostawia autor bez odpowiedzi. Z zachowanych resztek wnosi, że całość nawet po zupełném wykonaniu, nie byłaby się przedstawiła pięknie, choć sceny w sali sejmowéj i nad Białém Jeziorem są wspaniałe i robią potężne wraże-

nie. Dotknąwszy wydania fragmentów w *Schriften der Goethe-Gesellschaft* przez G. Kettnera, poświęca autor krótką wzmiankę niewykonanym planom dramatycznym Schillera, jak „Warbeckowi”, „Rycerzom maltańskim” i *Kinder des Hauses*, pomijając inne milczeniem.

W zakończeniu dzieła, rzuciwszy okiem na obecne objawy w sztuce, które zdają się wskazywać panujące dziś dziwne pomieszanie pojęć w sztuce, podnosi autor należycie znaczenie Schillera w historyi literatur europejskich. Żałować wypada, że nie uczynił tu autor tego, czego brak już powyżéj dotknęliśmy, że nie dał nam obrazu rozwoju dramatu Schillerowskiego, począwszy od „Zbójców” do „Dymitra”. Wprawdzie autor starał się połączyć poszczególne ustępy swego dzieła zapomocą przeglądu odpowiednich danych z życia poety, lecz suche wyliczenie faktów nie może nam bynajmniéj dać należytego obrazu rozwoju poety, ani należycie połączyć pojedyńczych ustępów, z których każdy odrębną dla siebie całość stanowi. Témbardziéj więc oczekiwać tego należało w zakończeniu. Pod innym względem jeszcze doznaliśmy zawodu w zakończeniu, gdy autor ani słówkiem nie wspomniał o wpływie Schillera na literaturę polską. A ślady tego wpływu dadzą się łatwo odkryć w Odyńcu, Korzeniowskim i innych. Témbardziéj byłoby zajmującém usłyszéć zdanie o tym wpływie z ust najbardziéj do tego powołanych. Razić musi również, że autor, przeznaczając dzieło swe przedewszystkiém dla ziomków nie znających języka niemieckiego, przytacza znaczniejsze nawet ustępy w języku niemieckim, a nie w przekładzie polskim. Nie da się jednak zaprzeczyć, że dzieło nawet dla mogących czytać utwory poety w oryginale jest nader pouczające.

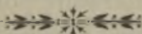
Na końcu wypada nam zaznaczyć cały szereg błędów drukarskich, które to cenne studyum szpecą, jako to: str. 19 praeventiv-Massregel, str. 57 Freistaat, str. 58 bömisch, str. 67 Freicheit, str. 70 Müller str. 112 Montespan, str. 121 Selbstbekentniss, str. 135 che, str. 144 Willkübr, str. 165 Wollzogen, Volksstadt, str. 167 przyjaźń, str. 169 Humbold, str. 179 Haupstadt, str. 181 komike, str. 189 den, str. 190, Burgognino cf. 33, 78 i t. d., str. 194 wei, str. 200 men, str. 201 tonie Nahme, str. 226 Grey, str. 231 nich, str. 321 Ael, boawa, str. 350 Tyrannen macht, str. 378 Rettner, str. 379 Rettner.

Dr. Witold Barewicz.



Podmiejskie uzdrowiska szpitalne

dla chorych piersiowych.



Anatomia patologiczna w żadnéj dziedzinie nie dała więcéj przekonywających dowodów wyleczalności pewnych chorób, jak właśnie w gruźlicy.

Carswell.

W jednym z ostatnich numerów „Zdrowia" (r. 1896, II, str. 70) czytamy: „Beneke radzi wprowadzenie podatku pod nazwę *Epidemiesteuer*, który ma być używany na udoskonalenia sanitarne w walce z gruźlicą."

Zdziwiony zapyta niejeden czytelnik: czyż można utożsamiać walkę z epidemiami wogóle z walką przeciw gruźlicy; a gdzież ten cały okrutny szereg innych chorób epidemicznych i endemicznych, gdzie cholera, błonica, ospa i t. d., i t. d. I posądzi wielu projektodawcę o pewną jednostronność, w któréj przeocza wszystkie inne niebezpieczeństwa fizyczne wrogie ludzkości, gruźlicę jedynie za groźną uznając.

A jednak, chociaż wróg to wcale nie jedyny, jest gruźlica najniebezpieczniejszym biczem ludzi, wielokrotnie przewyższającym w swéj szkodliwości choroby inne.

Nie mamy statystyki, którahy pozwoliła określić ilość osób w Królestwie na gruźlicę chorych. Statystyki takiéj kraj żaden nie ma i mieć nie może z tego choćby prostego względu, że bardzo wiele osób żyje ze zmianami gruźliczemi np. w płucach, nie chorując wszakże wcale na suchoty. Dowiodły tego sekcye osób zmarłych w różnym wieku i z powodu różnych chorób.

Nie mamy téż obliczonéj śmiertelności od gruźlicy w Królestwie; zaledwie dla Warszawy wiemy, z pewném prawdopodobieństwem, ile osób umiéra od gruźlicy. Istniejące rubryki statystyczne, pod które podciągane są wszystkie wypadki śmierci, nie pozwalają na ścisłe oznaczenie śmiertelności od gruźlicy nawet przy najsumienniéj prowadzonéj statystyce. To téż pod dwiema rubrykami słowem „gruźlica” zatytułowanemi (gruźlica płuc, gruźlica opon mózgowych) nie mamy wcale wszystkich zgonów od gruźlicy. Część ich kryje się w rubrykach zatytułowanych: koklusz (zejście śmiertelne przez powikłanie gruźlicą nie jest tu rzadkiém—o czém ogół mało wié, nawiasem mówiąc), nieżyt oskrzeli, zapalenie opłucnéj, zapalenie otrzewnéj, zołzy, choroby stawów, drgawki (rubryka oddawna na zagładę zasługująca), zanik dziecięcy. To téż liczby niżéj podane wykazują mniéj niż *minimum* wypadków śmierci z powodu gruźlicy, i z tém zastrzeżeniem odczytywać je należy.

Podług B. Danielewicza („Zdrowie”, r. 1895, str. 395) w Warszawie w czasie lat 1888 — 1892 przy ogólnéj śmiertelności 25,54‰ umiérało przeciętnie co roku osób 12,044. Na każde 100,000 żyjących wszelkiego wieku zmarło z powodu suchot płucnych 289,2 [1]), z powodu gruźlicy opon mózgowych osób 62,5. Na każde 1,000 zgonów ludzi wszelkiego wieku z powodu wszystkich przyczyn śmierci wypada na suchoty płuc 113,22, na gruźlicę opon mózgowych 24,46, czyli na 1,000 zgonów — 137,68 zgonów z powodu gruźlicy wyraźnie rozpoznanéj i w świadectwie śmierci oznaczonéj. Stanowi to więcéj niż $^1/_8$ ogólnéj liczby zgonów.

Jeżeli weźmiemy pod uwagę wiek najprodukcyjniejszy t. j. wiek od lat 20 do 40 życia, to okaże się, że na każde 1,000 zmarłych tego wieku wypada na suchoty płuc osób trzysta dziewięćdziesiąt, co znaczy: co trzecia osoba z liczby zmarłych w wieku 20 do 40 lat życia — była ofiarą gruźlicy płuc.

---

[1]) Za czas lat 1887 — 1888 zmarło od suchot płucnych w Warszawie na każdę 100,000 żyjących—366 osób (Ciemniewski, „Zdrowie„ 1889, str. 617).

Nie należy sądzić, by cyfry statystyczne dla Warszawy za lata 1888—1892 wyliczone jakiś niesłychany wyjątek stanowiły.

Sommerfeld (*Allg. med. Centr. Zeit.* r. 1895 Nr 102) podaje następujące dane statystyczne, tyczące się śmiertelności od gruźlicy w Niemczech. W państwie tém umiéra rocznie od gruźlicy osób 170,000 do 180,000 (Bollinger, *Münch. Med. Woch.* 1895 r., liczy 250,000). Na każde 1,000 zgonów w wieku lat 0 — 1 na gruźlicę przypada 10,8 zgonów; na 1,000 w wieku lat 1—15 na gruźlicę: 62,2; na każde 1,000 zgonów w wieku lat 15—60 na gruźlicę przypada zgonów 322,3.

W Berlinie cyfra ostatnia brzmi: 332,3 [1]). A więc i tu téż same dane co i dla Warszawy wyliczone.

Gruźlica jest najokropniejszym wrogiem ludzkości. W s z y s t k i e inne choroby, zabierające ludzi w wieku najprodukcyjniejszym, zaledwie dwa razy więcéj ofiar zabierają aniżeli j e d y n a gruźlica.

A przypominam, że wśród tych innych chorób wszystkich, jakie gruźlicy przeciwstawiamy, znajduje się pewna garść zgonów téż od gruźlicy zależnych, chociaż pod inne rubryki statystyczne wniesionych.

Bollinger na zasadzie wielu tysięcy sekcyi dowiódł, że w co trzecich zwłokach bez różnicy wieku i przyczyny śmierci, znajdujemy zmiany gruźlicze. Do takich wniosków doszli i inni anatomo-patolodzy.

Na nieszczęście umysł ludzki drży jedynie na widok upiora nagłéj katastrofy; przestrasza go i do samoobrony podnieca najście cholery, obojętny pozostaje wobec chyłkiem pełzającéj gruźlicy.

A jednak wszystkie epidemie cholery azyatyckiéj jakie Europę w wieku bieżącym nawiedziły, zabrały drobny zaledwie ułamek téj liczby ofiar, jakie gruźlica przez tenże czas pochłonęła [2]).

To téż, gdy dziś znamy istotę sprawy tak dla ludzkości zgubnéj, gdy przekonaliśmy się o uleczalności gruźlicy, gdy znamy środki,

---

[1]) Jakkolwiek nie ma to bezpośredniéj wartości dla zajmującéj nas obecnie kwestyi, podaję jeszcze cyfry odnośne, dla różnych zawodów wyliczone. Otóż na 1000 osób danego zawodu zmarłych w wieku lat 15 do 60 zmarło od gruźlicy: murarzy 382, rytowników i litografów 446, krawców i szewców 563, introligatorów 574, robotników w fabr. cygar 598, tokarzy 610, czapników 664, białoskórników 678 (wszystko to w Berlinie), szlifierzy 783 (w Solingen), kamieniarzy 893.

[2]) W Warszawie podczas wszystkich epidemii cholery od r. 1831 do r. 1892 zmarło na cholerę osób niespełna 18,000 (Polak „Zdrowie“ 1893), kiedy z powodu jednéj tylko z chorób gruźliczych: gruźlicy płuc umiéra rok rocznie osób przeciętnie 1,363. Jednocześnie zaś wydano wielkie sumy pieniędzy na walkę z cholerą, na walkę z gruźlicą grosza nie poświęcono!

jakiemi zwalczyć gruźlicę rozwijającą się jesteśmy w możności—musimy rozwinąć wszystkie zasoby nasze do walki z tym biczem ludzkości.

Mówimy ciągle o gruźlicy wogóle, zamiast w zgodzie z nagłówkiem mówić o chorobach piersiowych. Otóż przedewszystkiém w nazwie szpitala nie wolno wymieniać słowa „suchoty", „gruźlica" — dla względów łatwo zrozumiałych. Powtóre, na gruncie przez choroby piersiowe (płuc, oskrzeli, opłucnéj, gruczołów) niegruźlicze przygotowanym, rozwija się gruźlica, względnie: suchoty płuc; im więcéj będzie chory „piersiowym" tylko (*sit venia verbo*), im zaś mniéj „gruźliczym" — tém lepsze, bez wątpienia, da wyniki leczenie w szpitalu. Wreszcie, lwia część zgonów z powodu chorób piersiowych—od gruźlicy właśnie zależy.

Słuszna więc, mówiąc o uzdrowiskach dla chorych piersiowych—gruźlicę głównie uwzględniać.

Ponieważ pierwotne siedlisko zarazka gruźlicy istniéć może po za jamą piersiową, skąd zawsze grozi i narządom téj jamy—rzecz słuszna pamiętać na tém miejscu o gruźlicy wszystkich narządów, bo najczęściéj sprowadza zgubę osiedlenie się zarazka w płucach.

I.

Istota gruźlicy. Istota suchot płucnych. Leczenie suchot płucnych.

Dla dokładniejszego zrozumienia zadań leczniczych wobec gruźlicy, przypomniéć sobie wypada następujące dane ogólne, istoty tego cierpienia tyczące.

Nauka o gruźlicy powstała dzięki badaniom nad gruźlicą płuc; w tkance płuc bowiem spostrzeżono i opisano po raz pierwszy „gruzełek"—drobniutki, wielkości ziarnka prosa, swoisty guziczek nie zawierający naczyń krwionośnych, zbudowany kosztem nowowytworzonych komórek i resztek tkanki, jakiéj te komórki wyprzéć a sprawa zapalna zniszczyć nie zdołały. Gruzełek łatwo staje się ofiarą zwyrodnienia, a wtedy i cała tkanka przez gruzełki opanowana obumiera i rozpada się.

Gruźlica jest sprawą zakaźną; zarazek gruźliczy — to laseсznik Kocha (*bacillus tuberculosis*). Laseczniki gruźlicze do ustroju wchodzą wraz z kurzem powietrza, zaschłą plwociną, ropą, z mięsem i mlekiem zwierząt gruźliczych. Wrotami zarażenia może być zarówno skóra, jak i błona śluzowa, przyczém lasecznik usadowić się może bądź we

wrotach, bądź odrazu wdali od wrót zarażenia. Miejsce, w którém zarazek gruźlicy osiada i rozmnaża się, nazywamy ogniskiem gruźlicy pierwotném.

Osiadłszy na skórze, jest lasecznik Kocha przyczyną gruźlicy skóry (najczęściéj pod postacią t. z. wilka przebiegającéj), przyczyną t. z. wrzodów skrofulicznych (zołzowych), a nawet czasem t. z. czyrakowatości (*furunculosis*) dzieci małych. W narządach wewnętrznych znajdujemy gruźlicę w postaci: wrzodów gruźliczych języka, gardzieli, podniebienia miękkiego, w postaci przetok odbytnicy, gruźlicy jąder, pęcherza moczowego, moczowodów, nérek, w postaci gruźlicy kiszek, płuc, w postaci gruźliczych spraw w kościach i stawach, w mózgu i gruczołach chłonnych.

Cały długi szereg chorób, które zdawały się przedtém zupełnie od siebie niezależnemi—zjednoczyła nauka dzięki ich wspólnéj przyczynie, którą jest: lasecznik Kocha. Okazało się, np. że prawie wszystkie przypadki zołzów (skrofułów) zależą od tego zarazka, gdy się w gruczołach chłonnych zagnieżdża. Toż samo okazało się dla wielu innych pod różnemi mianami znanych chorób innych tkanek i narządów, przedewszystkiém zaś, dla najrozmaiciéj dawniéj nazywanych cierpień płucnych.

Wreszcie, gdy laseczniki gruźlicze dostają się do krwiobiegu — wywołać mogą t. z. ostrą gruźlicę prosówkowatą; w tym razie sprawa gruźlicza szybko do śmierci prowadzi; w wypadkach zaś wyżéj wymienionych bądź stale lecz powoli podkopuje ustrój, bądź téż na czas pewien ucicha, by następnie znowu dzieło zniszczenia prowadzić; bądź téż wygasa zupełnie.

Jeżeli całe ognisko gruźlicze pierwotne dostępném jest nożowi chirurga, jeżeli przy tém nigdzie nie ma w ustroju ogniska wtórnego — mamy najprostszy sposób leczenia gruźlicy: za pomocą operacyi. Naturalnie, im wcześniéj ognisko pierwotne usunięte zostaje, tém więcéj prawdopodobieństwa istnieje, że zarazek nie utworzył gdzieś w głębi ustroju ogniska wtórnego. Przenoszeniu się zarazka z miejsca na miejsce drogą naczyń chłonnych przeszkadzają gruczoły chłonne, które są niejako filtrami dla zarazków. Ta rola skazuje jednak gruczoły chłonne na to, że same często gruźlicy ulegają; a wtedy przestają być ochroną, stają się raczéj ogniskami nowemi, skąd zarazek daléj się upowszechnia. Wogóle gruczoły chłonne najczęściéj po płucach są przez gruźlicę opanowywane. Bo najczęstszém ogniskiem gruźlicy są płuca.

Jeżeli niewątpliwém jest, że wcale nie każdy kto spożyje krętoprątki cholery—na chorobę tę zapada, z tém większą pewnością twier-

dzić należy, że część zaledwie osób, które do ustroju przyjęły zarazek gruźlicy, cierpieniu gruźliczemu ulega.

Zarazek, sam przez się, nie może gruźlicy wywołać. Inne jeszcze czynniki, bądź przed wprowadzeniem zarazka do ustroju, bądź po tém powstałe, istniéć muszą, by zarazek mógł swoją rolę niszczyciela odegrać.

Czynniki te — to ogólna (całego ustroju) lub szczególna (danego narządu, danéj tkanki) skłonność chorobowa. O istocie téj skłonności wiemy dziś to tylko ogólnie, że zarówno cały ustrój, jak i tkanka pojedyńcza zupełnie zdrowe, t. j. anatomicznie dzielne i fizyologicznie sprawne, są na zarazki gruźlicze oporne; że ustrój lub tkanka w budowie swéj zmienione i w swych czynnościach upośledzone — są do gruźlicy skłonne.

Te ogólne postulaty stosują się do wszystkich tych czynników, jakie powstawaniu gruźlicy sprzyjają. A czynnikami temi są:

1) dziedziczność, czyli odziedziczona skłonność chorobowa (w minimalnéj tylko liczbie przypadków bezpośrednio z rodziców na płód przeniesiony zarazek), przejawiająca się zarówno w budowie anatomicznéj, jak i we własnościach czynnościowych narządów i tkanek;

2) ogólne czasowe wyczerpanie ustroju, zarówno cielesne, jak i duchowe (choroby wyczerpujące, gorączkowe, niedokrwistość, moczówka cukrowa, długotrwały głód, alkoholizm, tęsknota, rozpacz, strach);

3) stałe osłabienie ustroju przez niepomyślne warunki życiowe i zawodowe;

4) osłabienie narządów pojedyńczych (np. oskrzeli, płuc) przez choroby swoiste.

Te wszystkie czynniki współdziałają zarazkowi gruźlicy; gdyby nie one — ziarno zniszczenia padłoby na grunt granitowy i spełzło bezpotomnie.

Wspaniały przykład znaczenia warunków, które obok zarazka gruźlicy, tę ostatnią powoduje, daje nam statystyka śmiertelności osób pielęgnujących suchotników, t. j. zmuszonych nieustannie stykać się z zarazkiem gruźliczym, który w szczególnéj mnogości znajduje się w powietrzu (pyle) sal szpitalnych. Kiedy dozorczynie chorych w Berlinie, zwykłe najemnice, dają 1% śmiertelności od gruźlicy, zakonnice w Monachium, z sal szpitalnych nie wychodzące, postami wycieńczone, dają... 62% śmiertelności z powodu gruźlicy płuc. Więźniowie w celach zamknięci mrą strasznie od suchot płucnych, pracujący zaś na wolném powietrzu — nieskończenie rzadziéj suchotom ulegają. Mniéj

ściśle ilustrują tezę powyższą przykłady ze statystyki śmiertelności różnych zawodów czerpane, to téż je na tém miejscu opuszczam.

W danéj chwili zajmuje nas przedewszystkiém gruźlica płuc, cierpienie zdawna pod nazwą suchot płucnych znane. Oba te terminy nie są wszakże jednoznacznemi. Na gruncie gruźlicy płuc powstają suchoty płuc, bo te stanowią ostatnie ogniwo sprawy niszczącéj płuca; są one skutkiem zarażenia wtórnego ognisk gruźliczych przez t. zw. drobnoustroje ropotwórcze. Dochodzą drobnoustroje te do płuc głównie z pyłem powietrza, a natrafiwszy na tkanki przez gruźlicę zniszczone są przyczyną ostatniego aktu strasznego dramatu, jaki, na nieszczęście, każdy z nas aż nadto dobrze zna z życia. Przykład suchot płucnych jest najlepszą nauką, jak rozumiéć należy etyologię większości chorób zakaźnych. Zarazek swoisty gruźlicy paść musi na grunt przygotowany, by wzeszedł; na grunt przez zarazek gruźlicy przygotowany padają znów inne zarazki (ropotwórcze) i te wszystkie trzy czynniki winić należy równomiernie przy każdym zgonie z powodu gruźlicy: gdyby nie było usposobienia, zarazek gruźlicy nie mógłby nic zdziałać; gdyby nie zniszczenie płuc przez zarazek gruźlicy, drobnoustroje ropotwórcze zginęłyby w sokach zdrowego ustroju. Albo inaczéj rozumując: gdyby ustrój do gruźlicy skłonny nie był napotkał zarazka—uszedłby chorobie; gdyby płuca przez zarazek gruźlicy nawiedzone oddychały powietrzem nie zawierającém drobnoustrojów ropotwórczych—uszłyby suchotom.

Jeszcze jedno w téj sprawie; szkoda, jaką zarazek przynosi ustrojowi, zależy od: ilości wprowadzonego zarazka i od jego zjadliwości, a ta jest zmienną zależnie od wielu warunków, o których nie tu miejsce się rozwodzić, tém bardziéj, że pominąć muszę rzecz o wiele w danéj chwili ważniejszą: sprawę zapobiegania suchotom płuc.

Mówić o zapobieganiu suchotom nie chcę, bo: 1) w całéj rozciągłości omawiana sprawa ta zajęłaby za dużo miejsca (wyłożyćby przyszło duży kęs hygieny ogólnéj); 2) w skróceniu mówić—nie warto, bo istnieją broszury sprawę tę w ogólnych zarysach dostatecznie przedstawiające [1]; 3) część daléj wyłożonych zabiegów leczniczych, równocześnie i do zapobiegawczych odnieść można — nie chcę więc się powtarzać.

Leczono do czasów ostatnich suchoty: lekami aptecznemi i środkami dyetetyczno-klimatycznemi.

---

[1]) Uważam się w prawie wskazać na moję broszurę: „O suchotach czyli gruźlicy, jak się téj choroby wystrzegać.“ Wydanie 2. Warszawa, 1894. Nakładem Obuchowskiego. Cena groszy sześć.

O wartości środków farmaceutycznych mówić tu nie będę; ogólny jednak pogląd na tę kwestyę ustalony da się streścić w słowach następujących: środka swoistego przeciw suchotom nie znamy; z góry wykluczyć trzeba możność wynalezienia środka swoistego [1]), któryby wszystkie trzy wyżéj podane przyczyny suchot usunął, *respective:* wskrzesił zniszczone tkanki, odnowił otruty wydzielinami bakteryi ustrój, zmienione przez gorączkę narządy, wyczerpane przez ubytek soków siły; niektóre leki farmaceutyczne okazały się pożytecznemi środkami pomocniczemi przy leczeniu suchot płucnych.

To téż leczenie w szpitalach ogólnych, gdzie przedewszystkiém kwitnie kuchnia łacińska, musi być potępione jako rzecz dla chorych na suchoty szkodliwa (bo niepomocna, a zwlekająca chwilę podania pomocy skutecznéj), a dla innych chorych również niepożądana, ponieważ: 1) chorzy z osłabionemi płucami zaopatrywani są przez sąsiadów gruźliczych w laseczniki; 2) chorzy gruźliczy zajmują wielką ilość łóżek w szpitalach ogólnych, i to przez czas długi za każdym razem, nie dopuszczając przez to do szpitali tych, którzyby w nich prawdziwą pomoc znaleźli.

Przełomowy postęp w leczeniu suchot płucnych (i wszelkich chorób piersiowych) stanowi zrozumienie wartości czystego powietrza i odpowiedniego pożywienia dla chorych takich; innemi słowy, zastąpienie wogóle środków farmaceutycznych środkami hygieniczno-leczniczemi.

I tu muszę uważać za rzecz znaną to wszystko, co pod nazwą metody hygieniczno-leczniczéj w lecznictwie chorób piersiowych się stosuje, i pominąć wyliczanie stacyi klimatycznych górskich i nadmorskich, krajów południowych i miejscowości podzwrotnikowych, zimnéj wody i bezpośrednich promieni słonecznych i t. d.

Środki te okazaly się j e d y n e m i skutecznie choroby piersiowe zwalczającemi, co większa: okazało się, że nie potrzeba w wielu wypadkach jakiegoś s z c z e g ó l n e g o powietrza, wystarczy czyste, odpowiednio wilgotne, niezbyt szybko poruszające się (wiatry) i tylko w pewnym kierunku pożądanym i t. p.

Okazało się, że dla wielu chorych płucnych nasze warunki klimatyczne wystarczają jako środki lecznicze; że bądź co bądź, więcéj są pomocne, gdy działają p r z e z c z a s d ł u g i, aniżeli parotygodniowy pobyt (zwykły okres czasu dla średniozamożnych dostępny)

---

[1]) Pojęciu s w o i s t o ś c i przeciwna jest już w zasadzie możność działania leczniczego w kilku kierunkach; a takim być musi lek przy suchotach, bo zwalczyćby musiał: skłonność chorobową (dziedziczną lub nabytą), zmiany gruźlicze i zmiany od zakażenia wtórnego—w ustroju chorego współcześnie istniejące.

w głośniejszych stacyach klimatycznych. Bo nie ujmując wartości tym ostatnim, pamiętać musimy, że stanowią one środek leczniczy dla bogatych = dla mniejszości. A nam chodzić tu musi o większość, o te całe legiony ojców i matek, synów i córek, sióstr i braci, których co rok grzebiemy w ziemię, w liczbie daleko, daleko większéj, aniżeli na to sumienie i środki społeczeństwa pozwolić powinny.

Środek przeciw chorobom piersiowym mamy, krótko mówiąc, w czystém powietrzu. Należy jedynie użyć tego środka umiejętnie. A właśnie w tym względzie u nas dotąd *nic*, lub prawie nic, nie zdziałano; bo cała wada nieumiejętnego stosowania powietrza chorym piersiowym na tém polega, że lek ten dajemy im w ręce, by go bez kontroli lekarza używali, podług swego „widzimi się" i swych dotychczasowych przyzwyczajeń.

Zanim przejdę do opisania metody racyonalnego stosowania powietrza przy chorobach piersiowych o jedném jeszcze wspomnieć muszę, a to dla uniknięcia nieporozumień, jakie się zbyt często zakradają między zachwalającego jakiś lek a słuchaczy.

Nie żądajmy od żadnego leku — cudów. Zgóry więc uprzytomnić sobie należy, że opisywane przezemnie daléj postępowanie hygieniczno-lecznicze nie jest wcale cudownie działającém, nie obiecuje wcale uleczenia wszystkich chorych piersiowych.

Gdy jednak przypomnimy sobie te cyfry, jakie wyżéj podałem, to myśl, że mniéj ludzi na suchoty umiérać będzie, aniżeli dziś, wystarczy chyba do jaknajprędszego zastosowania w życiu tego, co nazywamy uzdrowiskami.

II.

Podmiejskie uzdrowiska szpitalne dla chorych piersiowych.

Zdziwi może czytelnika tak wielki wstęp, tyle słów przygotowawczych, poprzedzających rzecz nadzwyczaj prostą.

Lekarze specyalnie chorych piersiowych leczący, przyszli do przekonania, że:

dla chorych takich [1]) istnieć muszą oddzielne szpitale;

---

[1]) Dla chorych piersiowych biédnych lub mało zamożnych, tych co bądź w szpitalu ogólnym szukali lekarstwa na swą chorobę, bądź wyjeżdżali „na wieś", by tam $^{2}/_{3}$ doby spędzać w dusznéj izbie wiejskiéj, a $^{1}/_{3}$ spacerować po lesie i polu lub leżéć na murawie, żywiąc się przytém tak, jak na to warunki wiejskie pozwalały.

szpitale te stać mogą w bliskości miast, w miejscowości posiadającéj warunki odpowiednie;

chorzy piersiowi muszą w tych szpitalach przepędzić z rzędu kilka miesięcy;

chorzy tacy muszą przez ten czas otrzymać „wychowanie hygieniczne", t. j. zostać wdrożeni do pewnego postępowania i zachowywania się zgodnego z ich stanem, a porzucić pewne przyzwyczajenia zdrowiu ich groźne; jednocześnie wpływa lekarz na duchowy stan chorego, stale z nim obcując;

chorzy tacy używają ruchu i odpoczynku na wolném powietrzu zgodnie ze wskazówkami lekarza, który przepisy swe indywidualizuje; toż samo tyczy się pożywienia.

Obok zmian w płucach mają chorzy tacy zmiany i w innych narządach—wskutek suchot lub przed suchotami powstałe; i te sprawy leczyć należy (czyli: leczyć zawsze cały ustrój, a nietylko oddzielny narząd) [1]).

Oto wszystko.

Na takich zasadach utworzono szereg uzdrowisk w całéj Europie. W Cesarstwie Rosyjskiém istnieje jedno właściwie, w Finlandyi, sanatoryum Halila, z funduszów Cesarza utrzymywane, dla 32 chorych cywilnych i 100 oficerów okręgu petersburskiego. Ministeryum dóbr państwa wyznaczyło świéżo rs. 100,000 jednorazowo i rs. 3,000 corocznéj zapomogi na budowę sanatoryum w Willmanstrandzie nad jeziorem Sajma.

W Niemczech istnieje od roku bieżącego komitet centralny pod przewodnictwem kanclerza państwa, zajmujący się: statystyką gruźlicy, zbiéraniem pieniędzy na uzdrowiska i agitacyą na rzecz tychże. W obecnéj chwili (wrzesień, 1896) następujące dane o uzdrowiskach tego rodzaju w Niemczech podać można: Altena (Westfalia) buduje uzdrowisko na 100 łóżek. Altona. Istnieje komitet budowy. St.-Andreasberg (Harz) buduje się uzdrowisko dla 30 chorych. Berlin. Miasto ma dwa uzdrowiska: w Malchow i Blankenfelde, które do r. 1896 przyjęły 1,211 chorych piersiowych. Stowarzyszenie „Berlin-Brandenburger Heilstätenverein für Lungenkranke" ma na celu budowanie uzdrowisk bez różnicy narodowości i religii; pierwsze powstaje dla „nauczycieli, uczonych i pisarzy." Majątek stowarzyszonych wynosi obecnie 200,000 marek. „Czerwony Krzyż" ofiarował swoje baraki pod Oranienburgiem leżące, w których 1 maja r. b. otworzono uzdrowisko dla piersiowych. Brema umieszcza chorych swoich w uzdrowisku w Rehburg. Frankfurt nad M. — w Ruppertshain (na 75 osób). W Görbersdorfie istnieje dwa małe uzdrowiska dla niezamożnych. W Halli istnieje stowarzyszenie dla budowy uzdrowisk, obecnie wysyła na swój koszt niezamożnych do istniejących uzdrowisk. Hannower — czyni toż samo (dotąd wysłano 91). Jonsdorf posiada zakład na 33 osoby. Kolonia wysyła swoich

---

[1]) Dettweiler powiada: typowy suchotnik reprezentuje znaczny dział całéj patologii.

chorych niezamożnych do uzdrowisk, płacąc za nich. Lipsk przystąpił do tworzenia uzdrowiska. Monachium zaczęło budowę w Planegg uzdrowiska na 70 łóżek. a w Harlacking — na 300 łóżek. Norymberga ma obecnie prawie 200,000 marek na uzdrowisko zebranych. Oldenburg — zbiéra pieniądze [1]. Opole przystępuje do budowy uzdrowiska do spółki z kilku okolicznemi miastami. Regensburg — zbiéra pieniądze. W Saksonii budują uzdrowisko w Albersberg na 108 chorych. W Schömberg istnieje uzdrowisko dla mniéj niż rednio zamożnych. Szczecin — zbiéra pieniądze. Sztutgart — toż samo. Würzburg przystępuje do budowy uzdrowiska na 30 łóżek. Następujące Towarzystwa ubezpieczeń (Invaliditäts-Versicherungen) wysyłają swych ubezpieczonych, gdy na gruźlicę zapadną, do uzdrowisk własnych lub wspólnych, badeńskie, brandenburskie, bruńświckie, hanowerskie, lubeckie, hesseńskie, oldenburskie, poznańskie i inne.

Austro-Węgry. Wiedeń buduje w Allan uzdrowisko na 108 chorych. Buda-Peszt — zbiéra pieniądze na ten cel.

Szwajcarya. Aargau — zbiéra pieniądze. Bazylea otworzyła już jedno uzdrowisko na 70, a drugie buduje na 60 chorych. Bern ma uzdrowisko na 50 chorych. St.-Gallen — zbiéra pieniądze. Glarus — również (wkrótce zacznie budować na 30 chorych). Graubünden, Solothurn — również. Zurich przystępuje już z gotowemi środkami do budowy uzdrowiska na 80 łóżek.

Anglia — kraj, który pierwszy leczył piersiowych w oddzielnych szpitalach (co nie znaczy wszakże: uzdrowiskach, w dzisiejszém słowa tego znaczeniu), posiada 16 szpitali wielkich i uzdrowisk wielkich dla piersiowych. W Szkocyi istnieje jedno, w Irlandyi — dwa, trzecie zaś uzdrowisko jest projektowane.

Francya. Paryż buduje uzdrowisko na 200 łóżek w Angicourt i przytułek dla nieuleczalnie chorych suchotników na 400 łóżek. Prócz tego istnieje szereg długi uzdrowisk dla dzieci gruźliczych, po całéj Francyi.

Belgia — nie ma dotąd żadnego uzdrowiska (nb. i dla zamożnych téż żadnego); dopiéro zaczyna się agitacya w tym kierunku. Dla dzieci istnieją 2 — na 500 łóżek.

W Holandyi téż tylko dziecięce istnieją.

W Szwecyi rozwija się żywa agitacya.

W Norwegii w jesieni r. b. powstać miało uzdrowisko w szpitalu St. Jürgen.

W Danii istnieje zakład dla dzieci (130 łóżek). W r. 1898 otworzone ma zostać uzdrowisko dla dorosłych.

Ameryka: 1) Adirondack Cottage Sanatorium na 83 chorych; 2) Chestnus Hill (50 chorych); 3) Bellevue Sanatorium; 4) Glechner Sanatorium.

Jeżeli pominiemy w omawianiu sprawy walki z gruźlicą punkt najważniejszy: zapobieganie powstawaniu skłonności i zwalczanie istniejącéj skłonności do gruźlicy, jako

---

[1] To znaczy: utworzyło się stowarzyszenie, które sprawę budowy uzdrowiska dla niezamożnych chorych piersiowych wzięło w swe ręce i w tym celu pieniądze zbiéra.

sprawę oddzielnego obszernego wykładu wymagającą, natenczas zacząć musimy od drugiéj wytycznéj w téj walce: od zapobiegania zarażeniu.

Jak się przekonamy, zapobieganie zarażeniu należy zarazem, do pewnego stopnia, do środków leczących rozwiniętą już chorobę.

Do środków zapobiejących zarażeniu lasecznikami gruźlicy należą [1]):

zabronić matce-gruźliczéj karmienia dziecka;

zabronić mamce-gruźliczéj karmienia dziecka (badać starannie mamki);

wprowadzić państwowy nadzór nad oborami i rzeźniami;

wprowadzić państwowe obowiązkowe ubezpieczenie bydła od gruźlicy;

używać mléka z dużych obór, gdzie istnieje możność rozcieńczania mléka krowy gruźliczéj mlékiem krów zdrowych;

używać mléka przecedzonego i przegotowanego;

niedozwalać obcym (nawet krewnym) całowania dzieci w usta;

nie pozwalać na wysysanie rany po obrządku obrzezania rytualnego;

wyciérać sprzęty z kurzu, zamiatać pokoje, ulice i t. p. — zawsze na mokro;

przyzwyczajać swe dzieci, siebie, uczyć bliźnich, by przy wszelkim kaszlu plwocinę odpluwali do naczynia napełnionego wodą [2]), (lub do specyalnych maleńkich spluwaczek, któreby wraz z zawartością palić można);

odzwyczajać dzieci swe, bliźnich i siebie od plucia w chustki, na podłogę, na ulicę i t. p., bo wyschnięte plwociny wniosą, jako kurz, laseczniki gruźlicze do ustroju naszego lub bliźnich;

uważać, by sprzedający produkty spożywcze zachowywali czystość (np. nie dmuchali do torebek papiérowych, bo w ten sposób wdmuchnąć mogą ewentualnie zaschłą na ich wargach plwocinę) [3]);

palić wszelkie przedmioty (opatrunki) wydzieliną ran zanieczyszczone;

---

[1]) Oprócz wszystkich tych środków, jakie wogóle zwiększają odporność ustroju na wszelkie zarazki (patrz podręczniki hygieny).

[2]) Zawartość naczynia tego wylewać bezpośrednio do ustępów, a naczynia wyparzać potém wodą wrzącą.

[3]) Pamiętajmy, jak częstą jest gruźlica płuc, ujawniona lub skryta, a nie wyda nam się przykład powyższy wcale jakimś wyszukanym!

państwo niech podda surowemu nadzorowi sanitarnemu warunki panujące na kolejach, na banhofach, w dorożkach, restauracyach, gospodach, szynkach, hotelach, przytułkach, kąpielach, golarniach, szkołach, koszarach, więzieniach i t. p. (nie mówiąc już: szpitalach!);

osoby gruźlicze nie powinny pielęgnować chorych.

Jeżeli przypomnimy sobie, że ustrojowi gruźliczemu grozi bardzo zarażenie wtórne przez drobnoustroje ropotwórcze, które unoszą się w powietrzu z kurzem, osiadają na pożywieniu (owoce na straganach), na rękach i na palcach, na talérzach i szklankach, natenczas zrozumiemy, że też same środki zapobiegawcze, jakie strzedz mają zdrowych od zarażenia przez laseczniki gruźlicy, stosować téż należy, by ustrzedz chorego gruźliczego od drobnoustrojów ropotwórczych.

Jeszcze z jednego względu przepisy powyższe są zarówno przy zapobieganiu, jak i przy leczenu ważne. Nie uwzględniając zapobiegania, narażamy ustrój gruźliczy, na drodze do uleczenia będący (lub uleczony), na ponowne (nieraz wielokrotne), zarażenie się gruźlicą.

Przechodząc do omówienia działu leczenia suchot płucnych w zakładach oddzielnych, uprzedzić muszę, że ani to moim zamiarem, ani treścią pisma dozwoloném jest roztrząsać szczegóły i wskazania lecznicze.

Podam tylko zasady ogólne, a to w celu zainteresowania ogółu względem uzdrowisk, w celu przekonania, że bez tych niemożliwém jest stosować suchotnikom tych leków, jakie obecnie za jedynie skuteczne medycyna uznaje.

Środki lecznicze przeciw suchotom płucnym stosowane, polegają na jednoczesném dostarczeniu chorym warunków następujących:

A) Powietrze od kurzu, od laseczników gruźliczych i wszelkich innych drobnoustrojów wolne. Takiém powietrzem oddychać musi chory dzień i noc (t. j. w sypialni).

B) Ruch ciała i ruch klatki piersiowéj do stanu zdrowia i stanu płuc ściśle stosowany.

C) Odpoczynek na wolném powietrzu, w położeniu poziomém. Warunkowi temu czyni zadość t. zw. „kuracya przez leżenie" *(Liegekur)* w altanach z góry i z trzech stron ścianami (oszklonemi) zasłoniętych [1]); chorzy leżą przepisaną liczbę godzin na odpowiednich szeszlongach (w ubraniu), nawet podczas słoty, zimna, mrozu.

D) Leczenie wodą—jedyny środek walki z niebezpieczeństwem zaziębienia, przy powyższéj metodzie leczniczéj możliwém.

---

[1]) Altany takie, niewielkich rozmiarów, robić można ruchomemi, by odpowiednio do wiatru i słońca wykręcać je było można.

E) Karmienie chorych, których łaknieniu sprzyja pobyt całodzienny na powietrzu i stosowanie wody.

F) Spokój duchowy dzięki oddaleniu od spraw życia codziennego, od gwaru miejskiego, a głównie wpływ moralny lekarza, który za pierwszy cel leczniczy uważać sobie musi osiągnięcie spokoju moralnego, równowagi duchowéj chorego.

G) Powolne przyzwyczajenie chorego zdrowiejącego do pracy.

H) Wychowanie hygieniczne, mające na celu wdrożenie choremu pewnych zwyczajów i zabiegów, dla utrzymania poprawionego zdrowia niezbędnych.

I) Regulamin, który zarówno podczas pobytu w uzdrowisku pomocnym jest w leczeniu, jak téż służy do celu pod literą *H* wskazanego.

J) Lekarz wykształcony, taktowny, wyrozumiały lecz surowy, sumienny.

K) Służba inteligentna i odpowiednio wyuczona.

Wyniki leczenia ułatwiają warunki następujące:

a) Wczesne rozpoznawanie choroby i wczesne zwracanie chorych do uzdrowisk;

b) Nie przyjmowanie chorych beznadziejnych.

c) Oddzielne uzdrowiska dla zupełnie niezamożnych, oddzielne zaś dla takich, którzy mogą zakładowi zwracać koszty utrzymania (mało i średnio zamożni).

d) Istnienie przy uzdrowiskach dla niezamożnych Towarzystw dobroczynnych, opiekujących się rodziną ojca (osoby rodzinę utrzymującéj) przez czas jego pobytu w uzdrowisku.

e) Umieszczanie uzdrowisk w okolicy niezbyt oddalonéj od miejsca, skąd większość chorych pochodzi, a to w celu umożliwienia im stosunków z rodziną (wpływ moralny).

f) Istnienie przy uzdrowisku ogrodu, łąk, krowiarni, gdzieby chorzy, z zawodu fizycznie pracujący, mogli w okresie zdrowienia powoli do pracy się wdrażać.

Wypada wreszcie kilka słów dodać o sposobie budowy samego uzdrowiska. Najodpowiedniejszém dla niego miejscem jest skraj lasu, któryby z trzech stron tamował przystęp wiatrów, z jednéj tylko strony (od południa) tego nie czynił. Co najmniéj — uzdrowisko od wiatrów północno-wschodnich i północno-zachodnich wolném być musi. Czystość powietrza możliwa jest tylko wdali od dymu miasta, fabryk, wdali nawet od wsi zaludnéj. Jakkolwiek pewne wzniesienie nad po-

ziom morza jest bardzo pożądane, mniéj ono znaczy, aniżeli warunki klimatyczne wyżéj wskazane.

W samym budynku, którego front ku południowi jest zwrócony, musimy miéć: pokój lekarski, poczekalnią, sypialnie dla 4 do 10 chorych przeznaczone, sypialnie dla pojedyńczych chorych (ciężko chorych, nieustannie kaszlących, chorych po krwotokach), salę jadalną i altanę, *resp.* altany do „kuracyi przez leżenie.” Las, ogród i t. d. były wspomiane. Nie powinno brakować fortepianu, gier, gazet, obrazów, kwiatów i t. p. Bardzo pożądanym jest Dom Boży.

Na gruncie uzdrowiska musi być woda w dobrym gatunku, łatwo dostępna. Nie mówię już nic o przewietrzaniu, oświetlaniu, opalaniu, o ustępach i t. d., i t. d.—bo nie o dane ze szpitalnictwa mi idzie w tym razie.

Celem moim było naszkicowanie tego, co obecnie państwa i gminy dla swych suchotników czynią, i w jaki sposób z pożytkiem wydatkować należy te sumy, jakie dziś bez wszelkiego pożytku szpitale co rok na setki suchotników w nich leczących się (?) wydają.

Głos mój w kwestyi powyższéj nie jest wcale pierwszym u nas. Dr. T. Heryng („Gaz. Lek.” 1890, Nr. 11) i dr. H. Dobrzycki („Medycyna” r. 1880 i 1890) obszernie i z głęboką znajomością rzeczy i metod leczniczych sprawę tę poruszali. W tym samym kierunku pisał dr. A. Sokołowski („Odczyty kliniczne” Nr 53); prof. Jaworski („Przegląd Lek.” 1891 i 1892), dr. Jaruntowski („Now. Lek.” 1893), Lutostański („Zdrowie” II, 1886), Zieleniewski („Zdrowie” II, 1886). Istniał nawet w r. 1879 do r. 1882 pod kierunkiem d-ra H. Dobrzyckiego szpital dla chorych piersiowych w M i e n i ($1^1/_2$ godziny drogi od Warszawy) co rok przez 4 miesiące czynny. Ale i ten szpital, z którego korzystało przez cały czas jego istnienia osób 128, zamknięty — a głos d-ra D. nawołujący do poprawy zaniedbanych obowiązków społeczeństwa względem swych suchotników—bez echa przebrzmiał.

To téż nie bez racyi, zdaje mi się, ośmieliłem przypomniéć myślącemu ogółowi, lekarzom i inteligencyi, społeczeństwu i jego przedstawicielom o niespełnionym obowiązku.

Stowarzyszenie Berlińskie „Nationalverein zur Hebung der Volksgesundheit” ma za swą dewizę: „Poprawa zdrowia narodu jest najmądrzejszą polityką socyalną.” Jest to zdanie głęboko pomyślane i bardzo sprawiedliwe. A miejscem najboleśniejszém w „zdrowiu narodu” jest g r u ź l i c a p ł u c .

Dr. S. Sterling.

Prócz prac polskich w tekście przytoczonych i pracy Liebego, „Ueber Volks heilstätten für Lungenkranke,“ Wrocław 1895, bardzo godnej czytania, z następujących źródeł korzystałem:

Beneke. „Kampf gegen die Tuberkulose.“ Monatsbl. f. öffentl. Gesund. 1895 Nr 9.

„Chaliła“ Sanatoryum. „Izwleczenie iz atczota za 1894—1895 god.“

Dettweiler. „Mittheilung über die erste deutsche Volksheilstätte für untemittelte Lungenkranke in Falkenstein“ i T. Deutsche Med. Woch,“ 1892 Nr 48.

Gabryłowicz. „Zur Aetiologie u. Therapie der chronischen Lungenschwindsucht.“ Odbitka z „Wien. Med. Woch. 1891 Nr 5.

Gabryłowicz. „O zakrytych leczebnych zawiedeńjach dla legocznych bolnych.“ Odb. z „Wracza“ 1894, Nr 9.

Heinzelmann. „Ueber Umgang mit Tuberculösen“ Zt. f. Krankenpfl. 1894 Nr 6, 1894 Nr 12; „Ueber Vervolkommung der Lungentuberculosebehandlung.“ „Wien. med. Presse“ 1894 Nr 30.

Jaruntowski. „Die geschlossenen Heilanstalten für Lungenkranke.“ Berlin, 1896.

Leyden. „ Ueber Specialkrankenhäuser.“ Odb. z „Arbeit. a. d. I med. Klinik.“ Berlin 1890.

Leyden. „Ueber die Versorgung tuberculöser Kranker seitens grosser Städte Berl. klin. Woch. 1894 Nr 39.

Leyden. „Ueber die Nothwendigkeit der Errichtung von Volksheilstätten für Lungenkranke. Zt. f. Krankenpfl.“ 1895 Nr 4.

Liebe. „Beiträge zur Volksheilstätten-Frage.“ „Hygien. Rundschau“ 1895 Nr 17.

Nahm. „Ueber die aertztliche Thätigkeit in Volksheilstätten,“ Zt. f. Krankenpfl. 1895 Nr 10.

Penzoldt. „Behandl. der Lungentuberkulose.“ W „Hbch der Spec. Therapie Penz.—Stintzing, Jena, 1895.

Schmid. „Ueber Volkssanatorien f. Lungenkranke. Münch. Med. Woch,“ 1893 Nr 11 i 12.

Schrötter. „Ueber die Lungentuberkulose und die Mittel zu ihrer Heilung.“ Wiedeń 1891.

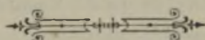
Schrötter. „Ueber den gegenwärtigen Stand der Frage der Errichtung eigener Heilstätten für die Tuberculose“. Wiedeń, 1892.

Tr-n. „Wosiem miesiacew w Imperatorskoj sanatorii „Chaliła.“ Petersburg, 1894.

Wolff. „Zur Errichtung von Heilstätten für unbemittelte Lungenkranke. Münch. Med. Woch.“ 1892, Nr 51.

Wolff. „Die moderne Behandl. der Lungluschw. mit besonderer Berücksichtigung der physikalische—diätetischer Heilmethoden.“ Wiesbaden 1894.

Ziemssen. „Klinische Vorträge III, 4. Freiluftbehandl. der Lungenschwindsucht.“ Lipsk. 1895.



PIĘĆ LAT REAKCYI W EUROPIE.

(1815 — 1820).

Alfred Stern. „Geschichte Europas seit den Verträgen 1815 bis zum Franktfurter Frieden von 1871.“ Erste Abtheilung „Geschichte Europas 1815 bis 1830“. Erster Band. Berlin, Wilhelm Hertz, 1894, s. XVI + 654.

Do studyów nad dziejami XIX-go wieku przybyła nowa cenna praca uczonego Alfreda Sterna. Obejmuje ona tylko okres pięcioletni po kongresie wiedeńskim.

Po wstępie ogólnym, przedstawiającym nam ówczesne położenie europejskie, wypływające ze zmiany ducha czasu, okresu klasycznego na romantyczny, oraz po rozbiorze postanowień kongresu wiedeńskiego—autor kolejno przechodzi wypadki polityczne we Francyi, Anglii, Austryi i w Niemczech. Z tego lwia część, bo prawie połowa książki, poświęcona jest historyi Niemiec. W szczegółach praca autora przedstawia wiele nowego. Autor wyzyskał bowiem niewydane dotychczas materyały dyplomatyczne z archiwów w Paryżu, Wiedniu, Berlinie, we Florencyi i Bernie szwajcarskim [1]). Uwzględnia przytém skąpe dane statystyczne, o ile one istnieją do tamtych czasów, rozprawy parlamentarne, oraz literaturę publicystyczną i pamiętnikową.

Cały ten okres pięcioletni dzieli autor na dwie części, których

[1]) Kilka niewydanych dokumentów pomieścił autor w dodatkach.

linią graniczną jest kongres w Akwizgranie. W przeciągu tego czasu wypadki polityczne zawisły w znacznym stopniu od upadku Napoleona i konsekwencyi, jakie on za sobą pociągnął. W polityce mocarstw europejskich dominującą rolę odgrywa alians czterech mocarstw Europy, które w obaleniu Napoleona główny wzięły udział, t. j. Anglii, Rosyi, Austryi i Prus. Francya do kongresu w Akwizgranie, a w znacznym stopniu, późniéj, pozostaje jakby pod kontrolą tych czterech mocarstw.

W życiu wewnętrznem Europy na początku bieżącego stulecia okazał się przełom stanowczy. Powrót całkowity do dawnych stosunków przedrewolucyjnych był już niemożliwy. We Francyi Burboni objęli część spuścizny zarówno społecznéj, jak i politycznéj, po rewolucyi i Napoleonie. W Niemczech poczucie narodowościowe i wolnościowe, wzmocnione wskutek walk z Francuzami o niepodległość, skupiło się w warstwach oświeconych, wśród młodzieży uniwersyteckiéj, profesorów, a nawet polityków i dyplomatów. Wyraziło się ono w dążeniach do zjednoczenia Niemiec i do nadania państwom niemieckim formy ustroju konstytucyjnego. Anglia zagrożona została widmem klęski społecznéj, która tutaj najwcześniéj wysunęła się na pierwszy plan. Austrya pod rządami Metternicha odzyskała pierwszorzędne stanowisko w Europie, a nawet po konferencyach wiedeńskich prawie pierwszorzędne stanowisko w Niemczech, jakie była utraciła już przed dwustu laty.

W całem przedstawieniu polityki wewnętrznéj Niemiec, praca prof. Sterna odznacza się wielką bezstronnością, bez uprzedzenia dla Austryi i bez fałszywych sympatyi dla Prus, jak u wielu historyków niemieckich. Owszem, autor bezstronnie maluje politykę ówczesną pruską (zwłaszcza po kongresie w Akwizgranie) egoistyczną, małostkową, reakcyjną i nie tai usposobienia większości ówczesnych Niemiec które zwracały się z mniejszą ufnością do Prus, jak do Austryi.

Rządy Metternicha przedstawił autor we wszystkich ich przejściach. Praca jego obala zakorzenione w poglądach niektórych mniemanie, jakoby Metternich już w tym okresie był owym demonem reakcyi. Przeciwnie, wtedy jeszcze skłonnym się okazywał uczynić niektóre ustępstwa duchowi czasu, jak się wyrażał jego pomocnik Gentz. Podobnież jak w Austryi, w całéj Europie powszechne było mniemanie o jakiéjś, ogólnéj rewolucyi, mającéj lada chwila wybuchnąć. Żywił je zarówno lord Wellington, po zajściach na Peterloo, jak i Metternich po zabójstwie Kotzebuego. Spiski i zaburzenia w Niemczech, Anglii, Francyi i Włoszech wydawały się im jednorodnemi i mającemi wspólne źródło. Wszystkie też państwa, nietylko kanclerz austryacki, w równéj mie-

rze używały przeciwko nim téj saméj broni, mianowicie praw wyjątkowych.

W pierwszym dwuletnim czy półtrzecioletnim okresie czasu, t. j. do traktatu akwizgrańskiego, fala reakcyi, aczkolwiek nadpłynęła, na razie jednak nie uderzała gwałtownie. W drugim dopiéro okresie, t. j. po umowie w Akwizgranie, miała nadpłynąć nowa fala reakcyi, już o wiele szersza i głębsza, żłobiąca trwalsze ślady w życiu ludów Europy.

Do najbardziéj zajmujących ustępów o polityce mocarstw w pracy prof. Sterna należą ustępy poświęcone wpływowi cesarza Aleksandra I-go na wewnętrzny bieg spraw europejskich. Osobistość cesarza jest postrachem dla Metternicha, który podejrzywał, iż agenci cesarscy podsycają ruch wolnościowy i narodowy we Włoszech; we Francyi jest znienawidzona przez ultra-rojalistów, ponieważ sam Aleksander przyłożył rękę do zwalczenia zakusów téj partyi w celu obalenia konstytucyi; w Anglii w sferach torysowskich uchodzi i nazywany jest naprzykład przez Canninga, jakobinem. Rozchwianie się tych obaw ze strony Metternicha, jak również i zmiana usposobienia cesarza Aleksandra od kongresu w Akwizgranie, nie wydaje nam się jednak zbyt dobrze uwydatnioną i umotywowaną przez autora, który tylko napomyka o wkradaniu się spisków do wojsk cesarskich. Autor słusznie, zdaniem naszém, usiłuje obniżyć, ale zadaleko idzie chcąc zupełnie obalić znaczenie świętego przymierza na rzecz traktatu 20 listopada 1815 r., w którym dopatruje się punktu wyjścia dla całéj polityki europejskiéj w następném pięcioleciu. Zapomina bowiem o zużytkowaniu pomysłów mistycznych cesarza Aleksandra dla celów swojéj polityki reakcyjnéj przez Metternicha, który, jak wiemy, drwił sobie z mistycyzmu, ale lękał się liberalizmu cesarza Aleksandra, bez poparcia którego nie mógłby tak bezwzględnie przeprowadzać swego systemu reakcyi. Skutki polityki świętego przymierza wykraczają nawet po za rok 1820, który autor postawił sobie jako kres pracy w niniejszym tomie. Szkoda, że dalszych wypadków, jak również blisko wiążącéj się z nimi historyi południowéj Europy, nie zdążył autor wciągnąć w zakres swego przedstawienia, ponieważ byłyby one niewątpliwie rzuciły na całość téj epoki wiele światła.

Przesuńmy wszakże przed oczyma obraz stosunków Europy w pierwszych pięciu latach po kongresie wiedeńskim, tak jak przedstawia je autor.

Przełom w życiu duchowém i gospodarczém dawnéj a nowéj Eupy, rozlew idei demokratycznych, oraz wytwarzanie się wspólności interesów wszystkich ludów europejskich, inaczéj zarodki przyszłéj opi-

nii Europy—oto co cechuje początki wieku XIX go. W nauce i sztuce zapanowała romantyka, jako reakcya przeciwko osławionemu panowaniu rozumu. Dodatnią stroną tej reakcyi był zwrot w kierunku historyi. Niebawem imiona Niebuhra, Voigta, Raumera, Sismondi'ego i Thierry'ego zaznaczają odrodzenie się prawdziwej umiejętności historycznej, zrywającej z dowolnościami wyrozumowanej abstrakcyi i formułkami estetycznemi.

Inne gałęzie wiedzy przeniknięte są tym samym duchem traktowania historycznego. Jakób Grimm bada mowę, Savigny — prawo, jako wytwór przyrodniczny powstały na gruncie narodowość. Podobnież K. Z. Haller przedstawia państwo, jako „konieczny porządek natury", lecz równocześnie posuwa się reakcya do idealizowania państwa patrymonialnego, a nawet zdyskredytowanego prawa pięści. Na polu przyrodoznawstwa, nie opartego zaś na indukcyi, ani na badaniu doświadczalném, jest to smutna epoka „wesołych saturnalii czysto idealnéj wiedzy przyrodniczéj", jak się wyrażał A. Humboldt. Na polu sztuki w poezyi stała się hasłem powszechném narodowość. Robert Burns, dziecię szkockiego ludu, Tomasz Moore, syn uciemiężonego Erynu—czerpią treść i nastroje dla swéj poezyi z bogatych podań swojéj ojczyzny. W Niemczech Tick, Nowalis, w Anglii Wordsworth, Coleridge, Southey, we Francyi pani de Staël, Chateaubriand wprowadzają nowe kierunki do literatury.

Jeżeli reakcya przeciwko wszechwładnemu rozumowi na polu nauki sprowadziła zwrot ku historyi, a na polu fantazyi -- odrodzenie poezyi, to na polu uczucia zaznaczyła się ona wskrzeszeniem i odżywieniem wiary. Po upadku swoim pod koniec XVIII wieku i na początku XIX w. kościół święcił tryumf. Pierwszém dziełem Piusa VII po powrocie z niewoli napoleońskiéj, było przywrócenie zakonu Jezuitów. Powrót z protestantyzmu na łono kościoła katolickiego staje się wypadkiem bardzo powszechnym zarówno wśród arystokracyi niemieckiéj (hr. Fryderyk Stolberg), jak i wśród rzeszy uczonéj, oraz literackiéj (Fryderyk Schlegel). Kościół znajduje gorących obrońców i wielbicieli wśród pisarzy politycznych i filozoficznych, jak w Lamennais, Bonaldzie i De Maistrze.

Kongres wiedeński krajał kartę Europy w sposób niemniéj klasyczny, jak to czynili jego poprzednicy, nie troszcząc się ani o względy historyczne, ani o uczucia narodowościowe. Jedno tylko słowo „legitymizm", rzucone przez Talleyranda, które się powszechnie przyjęło i na długo zakorzeniło, miało dźwięk całkiem nowożytny, romantyczny. W rękach zręcznego dyplomaty służyło ono za broń, aby uzyskać napowrót dla Francyi utracone pierwszorzędne stanowisko w Europie.

Po kongresie wiedeńskim, Austrya pozyskała dostęp do morza Adryatyckiego i wpływ na półwysep Apeniński, Anglia—przewagę na morzu i w koloniach, tak niezbędną dla rozwoju jéj przemysłu i handlu. Plany cesarza Aleksandra co do Polski zostały pokrzyżowane; wprawdzie Anglia i Francya nie były im przeciwne w zasadzie, ale i one widziały w nich raczéj środek do powiększenia potęgi Rosyi na zewnątrz. Prusy aczkolwiek pomnożone co do rozmiarów, jednak rozerwane na dwa kompleksa, przedzielone przez Hannower, pozostawały w najniekorzystniejszém dla siebie położeniu geograficzném. Opinia Europy widziała się wzburzoną i zagrożoną na przyszłość wskutek stworzenia „sztucznych martwych wyrobów maszynowych pod nazwą narodów zamiast utrzymania narodów, żywych ciał, stworzonych przez naturę.”

We Francyi najważniejsze zmiany społeczne po rewolucyi, jak rozdrobnienie własności ziemskiéj, pomnożenie liczby właścicieli ziemskich przeszło o pół miliona, utrwaliły się raz na zawsze. System biurokratyczno-centralistyczny, stworzony przez Napoleona po nadaremnych wysiłkach konstytuanty, konwentu i dyrektoryatu nadania Francyi formy rządu — przyjęli Burboni w spuściźnie. Poszli za radą Fouchégo i ułożyli się na posłaniu Napoleona, które było tylko trochę wygodniejszą pościelą Ludwika XIV-go. Karta konstytucyjna gwarantowała ustrój demokratyczny Francyi, ale już w pierwszych dniach restauracyi, Chateaubriand przepowiedział, iż „pewnego pięknego poranku cała karta może być skonfiskowana na mocy jednego ordonansu królewskiego.”

Po Ludwiku XVIII-ym trudno było się tego spodziewać; chłodny, sceptyczny, bezduszny egoista, chociaż mocno przywiązany do honoru Francyi, był za mądry, aby się oszukiwać co do wielkości zmian, jakie zaszły we Francyi, za flegmatyczny, aby podejmować sam jakąś walkę. Prędzéj była obawa tego ze strony jego rodziny. O dwa lata od niego młodszy Karol Filip hr. d'Artois, który nosił tytuł „*monsieur*”, uważał siebie za rycerza dawnéj Francyi, powołanego, aby z niéj otrząsnąć ducha rewolucyi. Również zaciętym wrogiem rewolucyi była księżna d'Angoulême, córka Ludwika XVI i Maryi Teresy, więziona w Temple za czasów rewolucyi, która za swoją energią i siłę ducha otrzymała nazwę „jedynego męża w rodzinie”.

Za drugim powrotem Burbonów, Francya uszczuplona pod względem terytoryalnym, obarczona ciężarem 700-milionowéj kontrybucyi, dostawała się jakby pod międzynarodowy dozór policyjny czterech mocarstw, które w niéj pozostawiły 150,000 swego wojska. Ministerstwo sklecone przy powrocie Burbonów do Francyi, którego główne siły stanowili Talleyrand i Fouché nie mogło długo się ostać. Najzaciętszy

wróg nie mógłby odmówić Talleyrandowi zasług, jakie położył dla Francyi, a w szczególności dla Burbonów; pomimo tego Ludwik XVIII się skarżył, iż „za pierwszém zetknięciem się z królobójcą utracił swe dziewictwo.”

Pierwszy objaw reakcyi, wylew uczuć rojalistycznych tłumu na południu Francyi, rzezie w Avignon, Carpentras, Nîmes, Uzès oraz w Marsylii, rząd musiał tłumić proklamacyą wydaną w Cambrai do obłąkanych Francuzów. Wybory przyniosły większość legitymistyczną. Talleyrand jako głowa gabinetu ustąpił miejsca ks. Richelieu'mu, szczeremu rojaliście. Wybór tegoż był związany ze sprawą układów pokojowych, które trzeba było przeprowadzić z czterema mocarstwami. Richelieu cieszył się sympatyą i zaufaniem cesarza Aleksandra, jeszcze bawiąc u niego w służbie, mógł zatém liczyć na jego poparcie. Nazwa „izby nie do znalezienia” (*la chambre introuvable*), nadana jéj przez króla, miała pozostać przy niéj raz na zawsze. W izbie téj Pasquier, de Serre, Beugnot reprezentowali mniejszość wprawdzie lojalną, ale chcącą utrzymać równowagę między dawną a nową Francyą. Masa deputowanych przeważnie z prowincyi, bez politycznego doświadczenia i bystrzejszego poglądu na sprawy, szła pod jedném hasłem „za tron i ołtarz” z Villèle'm, Corbièr'em, Labourdonnaye'm i Bonaldem na czele. Partya ta ultra-rojalistyczna przeprowadziła prawa wyjątkowe, jako to prawo przeciwko demonstracyom powstańczym (np. używania trzech kolorów), prawa zawieszające swobodę osobistą, uproszczające procedurę sądową, a przypominające prawa rewolucyi o podejrzanych. Labourdonnaye był Saint-Justem rojalizmu. Damy przedmieścia Saint-Germain nie dały się w téj mierze wyprzedzić mężczyznom. Hasło reakcyi „*epurer*” oczyszczać z naleciałości rewolucyi wojsko, administracyę, sądownictwo, szkoły i zakłady wychowawcze wychodziło z pawilonu Marsan, rezydencyi hr. d'Artois, który stanowił tajny rząd obok rządów króla i u którego ministrowie królewscy, jak Vaublanc, Dubouchage, Feltré czerpali swoje natchnienie. Większość w parlamencie domagała się całkowitego ministeryum ze swego grona i przekształcenia karty konstytucyjnéj w duchu arystokratyczno-klerykalnym. Żądania ich posuwały się tak daleko, iż król razu pewnego wyraził się do Pozzo, posła rosyjskiego: „ci panowie zechcieliby mnie samego *epurer*, gdyby mieli wolne ręce.” Za wpływem mocarstw sprzymierzonych, które skutkiem nadużyć partyi ultra-rojalistycznéj obawiały się zakłócenia porządku wewnętrznego we Francyi, a zwłaszcza cesarza Aleksandra, występującego w obronie zasad konstytucyjnych, parlament został rozwiązany. Król ustępował w tém również życzeniu swego ulubieńca, ministra policyi, Decazes'a, lecz sam, chcąc uniknąć

burzy z bratem, położył się do łóżka. Nowe wybory, dzięki wpływowi rządu, przyniosły większość umiarkowanie rojalistyczną. Lewica również zyskiwała większą ilość głosów. Członkowie jéj używali nazwy „niezawisłych", którą później zastąpili hiszpańskiém słowem *liberali*. Ultra-rojaliści znajdowali gorącego stronnika w Talleyrandzie, oraz szukali zbliżenia się z rządem torysowskim w Anglii. Rząd francuski zmienił teraz ordynacyę wyborczą; dzięki temu punkt ciężkości władzy prawodawczéj przeniósł się do warstw zamożnych mieszczańskich, które jedynie, zdaniem Guizota, jednego ze współpracowników ustawy, zdolne były do zwalczenia dwojakiego wroga rewolucyjnéj teoryi o wszechwładzy ludu i fałszywéj równości, natomiast opozycya chciała się oprzéć na arystokracyi ziemskiéj i na masach ciemnego, ale pobożnego i przywiązanego do swych panów chłopstwa. Wady tego nowego prawa wyborczego dowcipnie scharakteryzował Fiévé: „król mianuje prezydentów w komisyach wyborczych, prezydent mianuje biuro, biuro mianuje deputowanych, a wyborcy są tylko świadkami."

Rząd miał większość w izbie; postępowanie jego znajdowało aprobatę mocarstw sprzymierzonych, ale niezadowolenie wśród mas, a z niém bonapartyzm, rosły. „Niezadowolenie w Europie, ambitni, liberali, rewolucyoniści wszystkich odcieni, wszyscy noszą barwę Napoleona i maszerują razem", wynurzał się Richelieu przed posłem austryackim. Niezadowolenie tłumu podsycała klęska głodu, jaką przyniósł rok 1817-ty. Powstawały rozruchy, rabowano rynki i magazyny; ludność uboga robotnicza zawiązywała spiski. W Lugdunie, który nie mógł się podnieść po strasznéj ruinie, jaką mu zgotowała rewolucya, przyszło do wybuchu jednego z takich sprzysiężeń, o którém rząd wiedział, ale któremu nie starał się zawczasu przeszkodzić. Krwawe wyroki, które się posypały po stłumieniu powstania, były tak pośpieszne i po większéj części tak nieuzasadnione, iż rząd wyznaczył w charakterze komisarza marszałka Marmonta, który uznał w Canuelu głównodowodzącym wojskami w Lugdunie, głównego inicyatora i sprawcę rzezi oraz zakłócenia porządku publicznego. Lewica zyskała przy wyborach uzupełniających nowych 12-tu członków. Z pośród niéj wyodrębniła się grupa doktrynerów, odrzucających teoryę wszechwładzy ludu, a obstających przy zasadzie odpowiedzialnego ministeryum. W grupie téj zajaśniały później najświetniejsze talenta parlamentaryzmu francuskiego, jak Royer-Colard, Camille Jordan, de Serre, Beugnot, Guizot i inni. Opozycya poniosła nowy cios z rąk rządu: ustawę wojskową ministra Saint-Cyra, która wprowadzała na miejsce dawnego napoleońskiego systemu konskrypcyi—system rekrutacyjny, nazywany przez Villèle'a nową dźwignią rewolucyi. Te trzy rzeczy: dekret kró-

lewski z 5 września 1816 r., rozwiązujący izbę, nową ustawę wyborczą i wojskową—starał się *Monsieur* przedstawić posłowi austryackiemu, u którego szukał poparcia, jako pogwałcenie karty konstytucyjnéj. W rzeczywistości pod koniec sesyi parlamentarnéj, w maju 1818 r., w kraju utrwalał się spokój i podnosiły się siły ekonomiczne kraju, co się zaznaczyło świetnym rezultatem pożyczki wewnętrznéj.

W tym samym czasie w Anglii wynalazki Hargreavesa, Arkwrighta, Cromptona, Cartwrighta podniosły przemysł, zwłaszcza wełniany i bawełniany, na który Anglia posiadała prawie monopol. Zarówno na polu współzawodnictwa materyalnego, jak i duchowego, nie mogły jéj dotrzymać placu inne narody, pierwsza Anglia dążyła do zniesienia niewolnictwa (Wilberforce). Polityczne instytucye Anglii otoczone były aureolą chwały na stałym lądzie.

Ale właśnie podówczas cała budowa społeczna i polityczna Anglii była zagrożona. Arystokracya skupiła w swych rękach cały samorząd (*selfgovernement*), będący takiém charakterystyczném przeciwieństwem do centralizmu francuskiego. Najmniéj $^4/_5$ posiadłości ziemskiéj było w rękach około 7 tys. przedstawicieli *nobility* i *gentry*. Klasa średnia uprawniona do głosowania w liczbie około 200 tys. była zepchnięta na stanowisko farmerów czyli dzierżawców. Wybory były albo ukartowaną naprzód komedyą albo otwartym handlem. Wielkie miasta przemysłowe, jak Manchester, Birmingham, Leeds, Sheffield z ludnością stutysięczną, nie miały ani przedstawicieli w parlamencie ani żadnych praw korporacyjnych. Tymczasem przewrót społeczny w Anglii dokonał się całkowicie. W r. 1815 w Anglii i Szkocyi wszystkiego 35% ludności było zatrudnionéj w rolnictwie. Nad ludnością robotniczą ciążyły przestarzałe prawa Elżbiety. W przemyśle sześcioletnie dzieci zatrudniano dwunastogodzinną pracą dzienną. Wśród warstw uboższych liczono $^3/_4$ analfabetów. Prawa dla ubogich zamykały ich do domów, gdzie się przedstawiały obrazy piekła dantejskiego. Każdy kto w ciągu 2 tygodni nie wykazał się dochodem rocznym 10 fun. sterl., był odsyłany do miejsca swego urodzenia. Prawodawstwo karne do r. 1808 znało wyrok śmierci za kradzież kieszonkową. Nędzę ludu podnosiły nałożone w interesie własności ziemskiéj cła zbożowe, które zabraniały przywozu zboża z zagranicy, dopóki za kwarter pszenicy miejscowéj płacono nie więcéj, jak 80 szyllingów. Jest to jedną z najciekawszych i najchlubniejszych kart dziejów Europy, zdaniem autora, jak Anglia zdołała bez gwałtownego przewrotu dokonać potrzebnych zmian i poprawy większości swych stosunków społecznych i politycznych.

W epoce po kongresie wiedeńskiém stał na czele rządu gabinet torysowski lorda Liverpoola, w którym najwybitniejszą siłę stanowił lord Castlereagh, minister spraw zewnętrznych, w polityce zagranicznéj łączący się z Metternichem. Gabinet Liverpoola opierający się na zwycięstwach, odniesionych w polityce zewnętrznéj, na większości w izbie i na zupełném zaufaniu rejenta, nie lękał się opozycyi wrogów z lordem Grenville'm na czele. Obok tych dwóch historycznych stronnictw, w parlamencie tworzyło się pod wpływem idei, wiejących od strony stałego lądu, nowe stronnictwo demokratyczne, późniéj t. zw. radykalne. Jego ojcem duchowym był Bentham, umysł czysto szkocki, ścisły, logiczny, bezwzględny. Kiedy Robert Owen, który był przyjacielem i wielbicielem Benthama, marzył o środkach dla poprawienia doli ludu, Cobbet stał się zapalonym jego agitatorem i uczynił kwestyę reformy wyborczéj punktem środkowym swojéj agitacyi. Jego cięty styl wyrobiony na Swifcie czynił go zrozumiałym i popularnym wśród szerokich warstw ludności, dla któréj były niedostępne ciężkie poglądy i uczone argumenta Benthama.

Ciężkie przesilenie finansowe, jakie przechodziła Anglia, po ukończeniu wojny z Napoleonem, spowodowany przez nie zastój w przemyśle i handlu, głód wreszcie doprowadziły do rozruchów robotniczych już na wiosnę r. 1816. W Brandon tłumy dopuściły się grabieży, na sztandarach powiewały napisy: „chleba i krwi". Tłum działał na rząd za pomocą petycyi i zgromadzeń. Na jedném z nich na placu Spafield w grudniu 1816 r. przyszło do krwawych starć tłumu z policyą i wojskiem. Rząd w obawie przed jakimś skrytym spiskiem, gotującym zamach na istniejący porządek rzeczy i na własność prywatną, przeprowadził prawo wyjątkowe, zawieszające prawa kardynalne narodu angielskiego, jako to prawo wolności osobistéj, zgromadzeń i stowarzyszeń—ale pod wpływem presyi obrażonéj opinii publicznéj, sądów przysięgłych, które powszechnie uwalniały oskarżonych, zrzekł się wkrótce tego środka obrony.

W polityce zewnętrznéj lord Castlereagh, w obawie przed wmieszaniem się Rosyi w kwestyą wschodnią, idzie ręka w rękę z Austryą i dokłada wszelkich usiłowań, aby utrzymać dobre stosunki z Francyą i Prusami.

W Austryi pomimo iż budowa społeczna była potężnie wstrząśnięta w ostatnich latach, przetrwała jednak dotąd bez zmiany. Stanowisko pierwszorzędne w społeczeństwie pozostało przy szlachcie a rząd odebrał nawet wiernym wiedeńczykom prawo przedstawienia burmistrza do zatwierdzenia cesarzowi. Franciszek I, według trafnego orzeczenia Pillersdorffa, uważał siebie za jedynego stróża nietykalno-

ści państwa. Cechowała go stale pewna ociężałość i brak stanowczości w myślach i czynie, obawa przed drobnemi przykrościami. Osobę cesarza wszechwładnie zastępował Metternich, którego wola a wola cesarza były jedno. Napoleon wyraził się niegdyś o nim: „Pan Metternich jest bliskim zostania mężem stanu—kłamie bardzo dobrze." Przepowiednia ta sprawdziła się na niekorzyść Napoleona. W r. 1813 Metternich mógł powiedzieć cesarzowi: „znowu odzyskaliśmy pierwszorzędne stanowisko w Europie."

Uważał on za konieczne uczynić niektóre ustępstwa duchowi czasu. Utworzono nowe ministeryum spraw wewnętrznych z włączeniem do niego spraw oświaty i religii, wszystkie sprawy państwowe poddano centralnemu kierownictwu konferencyi ministrów oraz rady nadwornéj. Nosił się nawet Metternich z myślą utworzenia jakiegoś ciała reprezentacyjnego, ogólnego, złożonego z deputowanych sejmów krajowych i mianowanego przez cesarza kolegium. Na miejsce tego wegetowały w krajach koronnych tak zw. sejmy postulatowe, którym wolno było tylko przedkładać swe opinie i prośby rządowi. Węgry od lat trzech nie widzieli u siebie zwołanego sejmu. W nowoutworzoném zaś królestwie lombardzko-weneckiém, kolegia stanowiły rodzaj reprezentacyi, która nie mogła zaspokoić życzeń narodowościowych i wolnościowych Włochów.

W całém państwie panował system policyjny, którego głową był hr. Sedlnitzky. Uniwersytety i licea były pilnie strzeżone. Hr. Filip Stadion ratował finanse państwa, zachwiane poprzedniemi niedołężnemi operacyami.

W polityce zewnętrznéj Austrya kierowała się obawą przed Rosyą i utrzymaniem *status quo* na półwyspie Bałkańskim. Turcya, zdaniem Metternicha, zapewniała Austryi taki spokój i bezpieczeństwo, jak gdyby z téj strony oblewało ją morze. We Włoszech Austrya, popierana przez Anglię, starała się przykuć drobne państewka włoskie do swego rydwanu politycznego, co jéj się w znacznym stopniu udało, z wyjątkiem królestwa Sardynii. Téj saméj polityki imała się Austrya względem Niemiec, i tu i tam był to środek zwalczający zapędy względem zjednoczenia się Włoch i Niemiec.

W Niemczech, po upadku Napoleona, to dążenie do zjednoczenia się górowało ponad wszystkiemi innemi. Co do rozmiarów tego przyszłego państwa, co do środków jego stworzenia i co do zasad, na których miało się ono opierać—nie było jedności i zgody,—owszem panował chaos i zamieszanie. Z pewnością jednak żaden z Niemców nie wyobrażał sobie tego państwa zarówno bez Wiednia z Bethowenem, jak i bez Weimaru z Göthem. Zwolennicy hegemonii Prus daliby się

policzyć na palcach. Związek państw niemieckich, powstały na kongresie wiedeńskim (8 czerwca 1815 r.) nie uczynił zadosyć niczyim życzeniom. Większość jednak była tego samego zdania, co i kanclerz pruski ks. Hardenberg oraz W. Humboldt, że lepiéj jest zawrzéć mniéj doskonały i zupełny związek aniżeli żadnego.

W polityce międzypaństwowéj niemieckiéj istniało od kongresu naprężenie stosunków pomiędzy Austryą a Prusami, świéżo zaognione sprawą okupacyi Moguncyi. Położenie zewnętrzne państw niemieckich cechował rozdział między panującymi a poddanymi, zawiedzionymi w swych oczekiwaniach pozyskania przyobiecanéj konstytucyi (z wyjątkiem jednego księstwa wejmarskiego). Do tego dołączyło się zubożenie ludności wskutek wojen, przemarszu wojsk i kwaterunków a nawet częstych grabieży—wreszcie nieurodzaj panujący w r. 1816.

Zaraz z otwarciem posiedzeń, związek niemiecki, w którym przewodniczyła Austrya, znalazł się w trudném położeniu rozstrzygania sporów i pretensyi pomiędzy elektorem heskim a jego poddanymi, pokrzywdzonymi nawet co do praw własności prywatnéj. Kwestya kompetencyi związku nie była dosyć wyraźna. Jedni widzieli w nim kongres dyplomatów, drudzy przyznawali mu atrybucye władzy najwyższéj. Elektor heski, w tonie obrażającym zastrzegał się przeciwko wszelkiemu mieszaniu się do spraw wewnętrznych swego państwa. Co do stosunków zewnętrznych, była obawa mieszania się mocarstw zagranicznych, Francyi, Rosyi i Anglii, które wysłały swych posłów uwierzytelnionych, w wewnętrzne sprawy związku. Dla państw drobnych i średnich niemieckich te trzy mocarstwa, jak się wyraził minister badeński Hacke, mogłyby służyć za obronę i oparcie przeciwko Austryi i Prusom. Kwestya przyszłéj siły wojskowéj związku, była pierwszorzędnéj wagi, ale niezmiernie trudna do rozstrzygnięcia. Prusy domagały się ze swéj strony prawa wystawienia téj saméj liczby wojska związkowego, co i Austrya a przytém wcielenia pod owo dowództwo armii drobnych państewek północno-niemieckich. Prócz rywalizacyi Austryi i Prus, ich różnorodny, niejednolicie niemiecki skład państwowy utrudniał ich stosunek do związku. I Prusy i Austrya chciały przystąpić do niego wraz z prowincyami polskiemi, aby tym sposobem zabezpieczyć je od Rosyi. W najważniejszéj sprawie artykułu 13-go, co do przyszłéj formy rządu państw związkowych, związek zadecydował, aby każde państwo rozstrzygnęło ją z osobna samo dla siebie.

W Niemczech północnych wszędzie prawie wzięła przewagę idea restauracyi. W Hanowerze, Saksonii a zwłaszcza w Meklenburgu, utrzymały się dawne stosunki feudalne wraz z przewagą szlachty. Jeden

tylko elektor heski Wilhelm I, który nie sprzyjał szlachcie, nie odnowił przywilejów władzy patrymonialnéj szlachty nad ludnością wiejską.

Niemcy południowe bardziéj przeniknięte były ideą konstytucyjną a zarazem i dążności partykularystyczne były tutaj silniejsze. Instytucye prawne francuskie o wiele lepsze wyrugowały prawie powszechnie przestarzałe niemieckie. W Wirtembergii po śmierci króla Fryderyka, który odznaczał się absolutystycznemi dążeniami, syn jego Wilhelm I zniósł dawną ustawę prasową i uwolnił przemysł od krępujących go więzów. W Bawaryi wprawdzie król Józef I, wielbiciel Napoleona, dosyć obojętnie traktował uczucia ogólno-niemieckie, ale był powszechnie lubiany. Równouprawnienie wyznań chrześciańskich, zniesienie cenzury książkowéj, zaprowadzenie przymusu szkolnego, było dziełem jego pełnowładnego ministra Montgelas'a, który również popierał system centralistyczny rządów na wzór francuski. Cała nienawiść patryotów niemieckich a także i duchowieństwa, dotkniętego skasowaniem majątków i instytucyi kościelnych, skupiła się na Montgelasie. Za wpływem następcy tronu, ks. Ludwika, a także przy poparciu z Wiednia, gdzie nazywano Montgelas'a ministrem rewolucyonistą, został on usunięty. Rady Metternicha nie zdołały odwieść króla od nadania narodowi systemu reprezentacyjnego (25 maja 1818 r.).—W Badenie opłakany stan finansowy zmusił rząd do zwołania sejmu krajowego z systemem dwuizbowym, oraz jeszcze szerszém rozciągnięciem na ludność prawa czynnego i biernego wyboru niż w Bawaryi.

Prusy oprócz niekorzystnego położenia, o którém już mówiliśmy, były zlepkiem prowincyi o separatystycznych dążnościach. Nie mówiąc już o dawnych prowincyach polskich, przeciwieństwa silne zaznaczały się między Prusami wschodniemi a zachodniemi. Te ostatnie, należąc przed tém do związku nadreńskiego, przesiąknięte były duchem ustawodawstwa francuskiego, szlachta utraciła była w nich owe dawne prerogatywy polityczne i społeczne, skutkiem sprzedaży wielu dóbr w drodze licytacyi, wcielenia dóbr szlacheckich do obszarów gminy. Tymczasem główny rys prowincyi wschodnich stanowiła arystokracya ziemska, w któréj rękach skupiała się nie tylko cała ziemia, ale i urzędy polityczne prowincyonalne aż do landrata włącznie. Nad zjednoczeniem państwa pruskiego pracowały mądre prawa Steina i Hardenberga na polu przemysłowém, ustawy o powszechnéj powinności wojskowéj, wreszcie dzielny, wyćwiczony, czasem może aż do pedanteryi skrupulatny i sumienny stan urzędniczy pruski. Dzięki jemu, we wszystkich prowincyach zakwitła praca skierowana ku jednemu celowi, podnosząca rozwój materyalny i łagodząca usposobienia separatystyczne, pomimo iż w rządzie brakowało stanowczości i jednolito-

ści. Charakterowi króla pruskiego Fryderyka Wilhelma III przedewszystkiém zarzucić można było to, iż podkopywał ducha przedsięwzięć, zwalczał entuzyazm i utrudniał wszelką inicyatywę. Z jego najbliższego otoczenia, kanclerz Hardenberg był za stary i za słaby. Jeden tylko minister wojny Boyen, twórca ustawy o powszechnéj służbie wojskowéj, reprezentował ów idealizm, który przyczynił się do podniesienia i odrodzenia Prus. Grupa reakcyonistów jako to: ks. Wittgenstein, minister policyi, ks. Karol Meklenburski głównodowodzący gwardyą, do których późniéj przybywa Bernstorff, były poseł duński a potém minister spraw zewnętrznych, wypróbowała poraz pierwszy swe siły w zawieszeniu wydawnictwa „Merkurego Nadreńskiego" Görresa, w odwołaniu gen. Gneisenau'a z Koblencyi. Brakowi reprezentacyi narodowéj miała zapobiedz rada państwa, składająca się z wyższych urzędników. Większość ich, byli to ludzie wyrobieni w szkole liberalnéj Adama Smitha. Odrzucono projekt ministra finansów Bülowa nałożenia podatku na mięso i mlewo; zniesiono cła wewnątrz państwa. Kiedy Anglia i Francya wzmacniały swój system protekcyjny, Austrya przy nim przetrwała a Rosya podejmowała go napowrót, Prusy śmiało wkraczały na drogę wolnego handlu. Brakowało im tylko reprezentacyi narodowéj. Hardenberg nosił się z myślą nadania jéj— wahano się jednak pomiędzy stanami prowincyonalnemi a ogólnym sejmem państwa.

Idee wolnościowe i ogólno-niemieckie żyły najbardziéj wśród młodzieży uniwersyteckiéj. Arndt rozniecał w jéj sercach płomień miłości ojczyzny swemi pieśniami, Jahn, założyciel pierwszych stowarzyszeń gimnastycznych t. zw. „turnverein'ów", swą potężną indywidualnością. Instytucya burszenszaftów, stowarzyszeń akademickich, z których pierwsze zostało założone w Jenie 1815 r., poczęła szybko się rozkrzewiać, a ożywiały ją dążenia naukowe, zapał dla Niemiec oraz swoboda umysłu szczerze młodzieńcza. Co do idei politycznych, to nawet u najwybitniejszych, jakim był niezaprzeczenie Karol Follen, wśród młodzieży panowała dziwna mieszanina dawnych reminiscencyi historyczno niemieckich, świeżych haseł rewolucyjnych owianych duchem religijnym. Zaraz przy pierwszém zetknięciu się stowarzyszeń młodzieży na uroczystości w Wartburgu (17 października 1817 r.) bursze zamanifestowali swoją nienawiść przeciwko rządom, tamującym ducha swobody i niemieckości a zwłaszcza przeciwko Austryi i Prusom.

W tym samym czasie wypadki niemieckie, jak i ogólno europejskie, dążą do przejścia w nową fazę, która rozpoczyna się od kongresu w Akwizgranie. Miał on się zająć sprawą wycofania wojsk sprzymierzonych mocarstw z Francyi oraz sprawą utrwalenia „moralnéj siły"

i „porządku publicznego Europy.” Usposobienie mocarstw względem siebie przed kongresem, nie było zbyt pogodne. Metternich lękał się liberalizmu Cesarza Aleksandra. Prusy i Austrya w sprawach niemieckich nie przestawały między sobą rywalizować a przyjęcie, jakiego doznawał cesarz Franciszek I po drodzej do Akwizgranu u ludności nadreńskiéj, między innemi w Kolonii, mogło nasunąć myśl, iż ludność miejscowa posiada więcéj zaufania do katolickiego cesarza aniżeli do Hohenzollernów. Kongres stwierdził całkowite porozumienie między mocarstwami sprzymierzonemi. Okazały one zaufanie do legitymistycznego i konstytucyjnego rządu we Francyi, wycofując z niéj wojska i przypuszczając ją do aliansu. Lecz ówczesne położenie rzeczy we Francyi, wybór do parlamentu Lafayette'a, Manuela i dwóch członków byłéj izby studniowéj obudziły napowrót nieufność mocarstw dla Francyi i skłoniły je do odnowienia napowrót tajnego poczwórnego aliansu, na wypadek jakiegokolwiek wstrząśnienia rewolucyjnego, które groziło wyjść z Francyi.

Tu postać rzeczy się zmieniła, gdyż Richalieu ustąpił, czując się znużonym swą karyerą polityczną oraz uważając swą misyę za ukończoną od chwili wycofania się wojsk sprzymierzonych z Francyi. W nowoutworzoném ministeryum Desolles'a główną siłą był Decazes, w charakterze ministra spraw wewnętrznych, którego Ludwik XVIII nazywał swoim synem, tak dalece zdołał go sobie zawojować. Głównėm oparciem rządu byli teraz doktrynerzy. W kwestyi swobody prasy skłaniał się on na stronę lewicy, ale co do amnestyi dla t. zw. królobójców, wypędzonych z kraju, wypowiedział stanowczo swoje, „nigdy.” Tymczasem doktrynerzy stanowili bardzo słabą siłę wobec lewicy i prawicy, z których pierwsza chciała karty konstytucyjnéj bez Burbonów, a druga króla bez karty, a żadna nie wypowiadała szczerze i otwarcie swych żądań. Pierwszém poważném wstrząśnieniem dla rządu był wybór Grégoire'a biskupa z Blois, byłego członka konstytuanty i konwentu. Izba nie zatwierdziła go w godności deputowanego, ale wrażenie tego wyboru „królobójcy”, chociaż nie brał on udziału w sądzie na Ludwika XVI, było wstrząsające. *Monsieur* od dłuższego czasu zachowując milczenie w kwestyach politycznych, w rozmowie z królem po raz pierwszy ośmielił się odezwać: „Patrz, Najj. Panie, dokąd cię prowadzą.” „Widzę”, odpowiedział Ludwik XVIII, „i postaram się temu zapobiédz”. Drugim faktem, jeszcze bardziéj wstrząsającym a równocześnie przebijającym drogę dla reakcyi, było zamordowanie następcy tronu ks. de Berry (13 lutego 1820). Teraz Ludwik XVIII zażądał sam praw drakońskich i wyjątkowych. Dla partyi ultra-rojalistycznéj głównym sprawcą téj zbrodni był Décazes, znienawidzony

przez nią od czasu rozwiązania „izby nie do znalezienia”. Król nie chciał poświęcić „wilkom”, jak się wyrażał, swego faworyta, dopiéro gdy *Monsieur* i księżna d'Angoulême rzucili mu się do nóg i grozili porzuceniem raz na zawsze kraju, upadek Décazes'a był zdecydowany. Partya *ultra* tryumfowała. „Jego noga pośliznęła się we krwi”, pisał Chateaubriand w *Conservateur*: „Décazes obalony”.

Powtórne ministeryum Richelieu'go rozpoczynało swe rządy pod hasłem zawieszenia swobody osobistéj, ustanowienia cenzury, skutkiem czego masa dzienników przestała wychodzić, zmiany ustawy wyborczéj. Francya po raz wtóry, w ciągu pięciolecia po kongresie wiedeńskim, wstępowała na drogę reakcyi, któréj koniec trudny był teraz do przewidzenia.

W Anglii przez cały czas od r. 1815 zrobiono bardzo niewiele na polu reform społecznych i politycznych. Zagrożony stan finansów starała się ratować komisya parlamentarna pod przewodnictwem Roberta Peela. Projekt emancypacyi katolików postawiony w izbie niższéj przez sędziwego Grattana przepadł większością 243 głosów przeciwko 241. Wprawdzie uczyniono pierwsze kroki na polu ustawodawstwa fabrycznego, rozciągając opiekę państwa nad pracą dzieci, zatrudnionych w przemyśle.

Dwie najważniejsze jednak kwestye palące: kwestya reformy wyborczéj i kwestya ceł zbożowych nie były załatwione. Zamiast uspokojenia umysłów przyszło do rozruchów i krwawéj rzezi w Peterloo (16 sierpnia 1819 r.), skutkiem któréj izba uchwaliła 6 tak zwanych bilów krępujących swobodę. Najdotkliwszym z nich był zakaz zgromadzeń, z wyjątkiem uprawnionych do nich korporacyi. Był to cios wymierzony w samo serce agitacyi, przy pomocy zgromadzeń i petycyi ludowych, jaką prowadziły takie miasta, jak Manchester, Birmingham, Shefield, które nie posiadały praw korporacyjnych. Śmierć króla Jerzego III (29 stycznia 1820 r.) sprowadziła tylko prostą zmianę tytułu dotychczasowego rejenta na króla pod imieniem Jerzego IV. Ciężar reakcyi nie przestał przygniatać kraju.

Te same obawy rządów przed rewolucyą co w Niemczech, istniały we Francyi i Anglii. W każdém jednak z tych państw obawy te miały inne swe źródło. We Francyi — jakobinizm i bonapartyzm, w Anglii—rewolucya społeczna, w Niemczech grozą dla rządów byli studenci i profesowie. Zabójstwo Kotzebuego przez Sanda naprowadziło na domysł istnienia jakiegoś rozgałęzionego sprzysiężenia wśród młodzieży uniwersyteckiéj. Wprawdzie Metternich w r. 1816 mówił, iż „niemieckie konspiracye kończą się zwykle na papiérze”, oraz oświadczał, iż „nie zna niedołężniejszych konspiratorów nad profeso-

rów", ale obawiał się on, aby uniwersytety nie stworzyły całego zastępu młodzieży rewolucyjnéj. Potrzebne mu było porozumienie się z Prusami, które od kongresu w Akwizgranie było zupełne. Zamach na prezydenta Ibla, którego morderca Löning uważał za „naśladowcę napoleońskiego systemu tyranii", przekonał Fryderyka Wilhelma III-go ostatecznie o istnieniu rozgałęzionego spisku, mającego za cel „niemieckość", za środek „mordowania tyranów", policya łatwo potwierdziła z listów przejętych na poczcie, a nie zawierających, zdaniem Gneisenau'a, nic innego prócz wynurzeń poufnych, życzeń i nadziei nieokréślonych.

Pierwszym wspólnym krokiem, uczynionym przez Austryę i Prusy, w sprawach związku niemieckiego, były punktacye cieplickie (29-go lipca 1819 r.), po których we wrześniu t. r. przyszło do t. zw. postanowień karlsbadzkich. Mocarstwa związkowe uchwaliły skrępowanie wolności prasy, stowarzyszeń akademickich i uniwersytetów. Prócz tego utworzono komisyę śledczą w Moguncyi; zobowiązano się do zarządzenia silnych środków wykonawczych, a nawet do użycia wojska związkowego przeciwko knowaniom rewolucyjnym.

Wrażenie tych zarządzeń wrześniowych na ogół było niezmiernie przygnębiające, z czém podnosiły się głosy takich ludzi, jak Niebuhra-Dahlmana. Austrya miała z wykonaniem ich niewiele kłopotów, gdyż nie posiadała ani burszów, ani swobody na uniwersytetach, ani dziennikarstwa liberalnego. Tém surowiéj przeto nastawała na wykonanie ich wśród drobnych państw niemieckich. W Bawaryi minister Lerchenfeld nie dopuścił do tego, aby postanowienia wrześniowe ograniczyły w czémkolwiek prawa obywateli, zagwarantowane przez konstytucyę. Król wirtemberski ogłosił wprawdzie postanowienie związku, ale na parę dni przedtém zatwierdził konstytucyę, opiérającą się na wprost przeciwnych zasadach.

Jedne Prusy, uleczone przez Metternicha, jak się sam późniéj wyrażał, od czasu kongresu w Akwizgranie, wyprzedziły wszystkie państwa niemieckie na polu reakcyi. W kwestyi ustawy prasowéj cofnięto się do aktu Wöllnera z r. 1788. Dziennikom obcym zabroniono nietylko wstępu, ale i przesyłki przez państwo pruskie do innych krajów. Nawet Metternichowi wydało się to zarządzenie zbyt gwałtowném. W marcu 1820 r. stowarzyszenia gimnastyczne zostały rozwiązane. Ich twórca Jahn dostał się do więzienia. Görres ścigany za swoją broszurę „Niemcy i rewolucya", schronił się do Strassburga. Projekt nadania ogólnéj reprezentacyi krajowéj został zupełnie pogrzebany. Ministrowie wolnomyślniejsi, jak Humboldt, Boym i Boyen musieli opuścić swe stanowiska.

Postanowienia karlsbadzkie były podane poprostu do wiadomości związkowi, niemniéj jak i rezultaty konferencyi wiedeńskich, które odbyły się w listopadzie t. r. jako dalszy ciąg konferencyi karlsbadzkich. Tutaj bliżéj określono ustrój związkowy niemiecki. Niemcy miały pozostać związkiem państw, a nie państwem związkowém; mieszanie się związku w sprawy państw wewnętrzne zostało wykluczone. Co do stosunków na zewnątrz, związek wypowiadał wojnę większością $^2/_3$ głosów. Natomiast każdemu państwu związkowemu wolno było podejmować wojnę na własną rękę. Na polu ekonomiczno-finansowém uczyniono jeden krok naprzód w celu ściślejszego związania Niemiec, zaprowadzono swobodny obrót produktów żywności w całych Niemczech.

Na konferencyach wiedeńskich zamyka autor swoje dzieło, którego zalety: jasność, bezstronność, oraz zużytkowanie nowego materyału — jużeśmy wskazali. Stosunki dyplomatyczne jeszcze występują w niém na plan pierwszy. Żałować wypada, że autor nie stoi na szerszém stanowisku rozwoju społecznego i cywilizacyjnego ludów Europy, zwłaszcza w historyi Francyi, Austryi i Niemiec. Co do Anglii mniéj można się skarżyć na brak oświetlenia wypadków politycznych ze stanowiska społecznego. Nicią przewodnią autora, o ileśmy się mogli przekonać z jego przedstawienia rzeczy, było istotnie szukanie wspólnych rysów i potężnych prądów rozwoju dziejowego, jak to zapowiedział na wstępie. Ale w powodzi drobnych faktów gubią się nieraz te wspólne rysy. Autor unika nietylko objęcia jednym rzutem oka całéj sytuacyi politycznéj, ale często zapomina o streszczeniu i wypowiedzeniu ogólnego wniosku o wypadkach opowiedzianych. Wadliwość ta kompozycyi nie obniża zalet dzieła, które krytyka bezwątpienia zaliczy do rzędu najlepszych prac nad historyą XIX wieku.

Adam Szelągowski.



U SZEKSPIRA.

Homer, Dante, Shakespeare: oto, bez najmiejszego wątpienia, trzy najwyższe imiona wszechświatowéj poezyi. Mityczna epoka, do jakiéj należy poeta Grecyi, dostatecznie tłumaczy brak wszelkiéj świadomości o jego osobie i życiu. Posiadamy ją natomiast o poecie średniowiecznym i przyczynia się téż ona do zrozumienia niejednego ustępu „Boskiéj Komedyi.” Wbrew naturalnym oczekiwaniom, inaczéj rzecz się ma z poetą nowożytnym, Shakespearem. Chociaż bliżéj nas stoi o trzy wieki aniżeli Dante, nie wiemy o nim nic, albo nic prawie. Jest to fakt bezprzykładny, jedyny. Pomimo bezustannych, gorliwych, wielostronnych poszukiwań czynionych przez całe pokolenia biografów, komentatorów i krytyków, pomimo czci i uwielbienia, jakiemi otacza swego narodowego wieszcza Anglia, nie zdołano uchylić tajemniczéj zasłony, która go ukrywa. Wszystko co o nim wiemy jest to, że się urodził w Stratfordzie nad Avonem, że się tam ożenił i spłodził kilkoro dzieci, że udał się do Londynu gdzie był aktorem i przedsiębiorcą teatralnym, że powrócił do swego rodzinnego gniazda, że sporządził swój testament i umarł tamże. Cała jego biografia sprowadza się do tych zasadniczych punktów. Geneza jego twórczości poetyckiéj pozostaje całkowicie nieznaną. Zagadka ta nie będzie prawdopodobnie nigdy wyjaśniona w sposób, któryby mógł zadowolnić zarówno wymogi rozumu, jak potrzeby uczucia. Nie przestaniemy stawiać sobie sceptycznych pytań, jak się to stało, że najgłębsza mądrość, najobszerniejsza wiedza,

odziana w najwytworniejszą formę poezyi, skrystalizowała się w umyśle tego pospolitego człowieka, który się nazywa Williamem Shakespearem. Przeciwieństwo takie drażni, a im więcéj się nad niém zastanawiamy, tém bardziéj zapadamy w jego odmęty.

Gdy się przewertowało, jak do tego piszący miał sposobność, kilkadziesiąt tomów traktujących o szekspirowskiéj tajemnicy i gdy się w dodatku, od lat wielu zamieszkuje w kraju poety, nie dziwota, iż przychodzi chwila, w któréj niepodobna oprzéć się pokusie odbycia pielgrzymki do Stratfordu nad Avonem, gdzie jest kolébka i gdzie grób Shakespeare'a. Udając się w odwiedziny do niego, nie można wprawdzie łudzić się płonną nadzieją, że się klucz do zagadki otrzyma, a przeciwnie, wié się z góry, że wątpliwości i podejrzenia jedynie wzmogą się na sile. Ale jest przynajmniéj rodzajem osobistego zadośćuczynienia, iż się miało sposobność jeden czynnik problematu postawić w jego własnych ramach, a wizya materyalna ułatwia wprowadzenie dawno zgasłych postaci w krąg współczesnych. Wrażenie, jakie się z tych odwiedzin u Shakespeare'a wynosi, jest tak żywe, iż się stąd rodzi przypuszczenie o możności takiego samego interesu u oddalonych czytelników. Niechaj ono wytłumaczy poniższe notatki.

Był to słoneczny, ciepły poranek sierpniowy roku bieżącego, gdym po tygodniowym wypoczynku w Oxfordzie dotarł do sąsiadującego z nim hrabstwa Warwick, słusznie nazwanego sercem Anglii. Kraj to śliczny i ku własnemu zdziwieniu nie żałuje się uroczéj doliny Tamizy, gdy się zapoznaje z miejscowościami rozsianemi nad Avonem. Przyroda i praca ludzka wysiliły się na odzianie go wyjątkowém piękném. Nie groźne ono, ani wspaniałe ale sielskie, uśmiechnięte. Avon i liczne wpadające doń rzeczki i strumienie wiją się w pośród łąk żyznych, bogatego czarnoziemu, wśród lasów dębowych, wśród sadów i parków, zachwycających oko bujnością swéj wegetacyi. Na każdym skręcie rzeki nowe krajobrazy stają przed widzem i do każdego ram tylko brakować się zdaje. Zamożne sioła i miasteczka, ze spiczastemi wieżycami kościołów; nurzające się w zieleni drzew fermy albo wille odznaczające się nawet na zewnątrz wyrafinowanym smakiem i błyszczące dostatkiem; trzody pasące się na łąkach zielonemi żywopłotami przegradzanych: oto charakter tych okolic. A miejscowości, jedne ciekawsze od drugich, mogą zatrzymać tu wędrowca. Nieopodal od Leamingtonu, miasta powabnego, słynącego ze swych mineralnych zdrojowisk, ściągających w letnich miesiącach liczny zastęp pacyentów, jest najwspanialsze zamczysko jakiém się ziemia angielska pochlubić może, Warwick, historyczna rezydencya wielkiego rodu magnackiego. Podziwiać w nim można i położenie malownicze, i piękność architektury, któ-

rą szereg wieków uharmanizował i pokrył swą patyną i nagromadzone arcydzieła sztuki, z któremi nie wiele królewskich rezydencyi rywalizować może. Zaledwie się pyszny Warwick opuszcza, spotyka się Guy's Cliff, romantyczny, szerokiéj sławy w poezyi i powieści używający zamek lordów Percey, a Opactwo Stoneleigh, niedalekie od stolicy hrabstwa, przemysłowego miasta Coventry, siedziba historyczna lordów Leigh i książąt Chandos, zatrzymać musi podróżnika. Nakoniec majestatyczne ruiny zamku Kenilworth, przewyższają rzeczywistością wyobrażenie, jakie sobie o nim każdy czytelnik Walter Scott'a musiał uczynić. Pomiędzy temi rezydencyami wielkopańskiemi, gdzie w całym blasku i godności uwydatnia się tradycyjna rola arystokracyi krajowéj, nie należy także pominąć Charlecoote Hall, chociaż naturalnie z zamkiem Warwick porównywać się nie daje, ale dla tego że w życiu Shakespeara odegrał on, podług podań, rolę stanowczą. W parku tego zamożnego dworu, należącego wówczas do Sir Tomasza Lucy i do obecnéj pory znajdującego się w ręku jego spadkobierców, młody a niesforny William, w gronie towarzyszy, zabił daniela czy jelenia a prześladowany za to przestępstwo, opuścił Stratford i wstąpił do trupy aktorskiéj.

Gniazdo Shakespare'a było ulepione w kraju malowniczym i uśmiechniętym. Krzyżowały się tam dwa wielkie trakty bite, świadczące o cywilizacyi rzymskiéj. Wielkie zamki potężnych rodów i żywe tradycye wojen dwóch Róż, łączyły ową epokę starodawną z pierwszym, chaotycznym peryodem bytu narodowego. Natura i dzieje nie mogły złożyć się na środowisko podatniejsze do rozbudzenia wczesnego lepiéj usposobionych, wyższych osobistości, posiadających w sobie samych skrę twórczą.

Ale ogniskiem intelektualném Stratford nad Avonem nie mógł być w połowie XVI wieku, jak niém nie jest u schyłku XIX-go. Dzień jeden wystarcza do zwiedzenia dzisiaj wszystkich jego pamiątek i osobliwości, przywiązanych do osoby Williama Shakespeare'a: innych nie miał i nie ma. Jest to miasteczko drobne, rodzaj zamożnego sioła, położonego na prawém wybrzeżu Avonu. Na około ścielą się piękne, żyzne błonia, gęstą trawą porosłe łąki, mnóstwo drzew rozłożystych, usiewających rozległą płaszczyznę zamkniętą w oddali siną wstęgą lasu. Krasą mieściny jest jéj rzeka, jasna, czysta, srebrzysta, ku któréj lekko skłaniają się nadbrzeżne smugi, i w któréj przeglądają się korony drzew, lub starego szerokiego mostu i nad któréj zaokrąglonym skrętem wznosi się kościół św. Trójcy, zbudowany między XIII a XV wiekiem. Jedna szeroka ulica i kilka poprzecznych wiodą odrazu w otwarte pola. Fizyognomia rolniczego miasteczka z rzemieślniczym

przemysłem, wytwory rolne bezpośrednio przerabiającym. Obecnie Stratford ma nie całe 4,000 mieszkańców. Nie miał ich ani połowy tylu w epoce Shakespear'a. Chociaż kilka pożarów zniszczyło część miasteczka w XVII wieku, a między innemi dom, w którym William żywot swój zakończył, wiele domów zachowało wygląd starodawny. Wogóle tutaj, jak w całém hrabstwie Warwick, domy budowane są z tak zwanego u nas pruskiego muru, t. j. z poprzecznic drewnianych pomiędzy którémi przedziały zalepione gliną. Są przyżby rzeźbami na drzewie ozdobione, jest kilka kamienic płaskorzeźbami upiększonych, świadczących o zamożności ich mieszkańców, ale nie ma żadnéj budowy pokaźnéj, artystycznie pięknéj. Nic nie musiało w połowie XVI wieku wyróżniać Stratfordu od wielu innych miejscowości tego samego rozmiaru w środkowéj Anglii: przyjemna, pospolita mieścina w ładném położeniu.

Zwiedzając ją dzisiaj, ma się z dwojakiego rodzaju ciekawościami do czynienia — z temi, które są współczesne Shakespearowi, albo przynajmniéj za takie uchodzą, i z temi, które jego chwale *pietas* wieków następnych poświęciła. Tych jest mało i dlatego od nich zacząć nasz przegląd wygodniéj. Wszystkie są owocem nie tylko naszego stulecia ale ostatnich jego dziesiątków, co świadczy jak obojętnemi były wiek XVII, XVIII i jeszcze połowa naszego, na wielkość Shakespeare'a. Bardziéj niż jakiegokolwiek innego wielkiego geniusza, sława jego jest pogrobową. Ma ona, gdy się ją tutaj na miejscu dotyka, stronę nieprzyjemną, wstrętną nieledwie. Zrozumié ją każdy, kto odbył pobożną pielgrzymkę do jakiéjkolwiek miejscowości ze zjawisk religijnych, z cudów słynącéj. Ohydną jest eksploatacya wiary, frymarczenie, tandeta świętościami w Lourdes: łatwém jest do zrozumienia, że wyradza sceptycyzm. To samo, *mutatis mutandis* dzieje się w Stratfordzie z Shakespearem. Nie ma szyldu szewca albo rzeźnika, szynku czy oberży, któraby jego imienia nie nosiła. Wyzyskują na każdym kroku łatwowierność odwiedzających, sprzedając im pamiątki, rzekomo do niego w jakikolwiek, najbardziéj nawet naciągany sposób się odnoszące. Pierwszy fotel, na którym Shakespeare miał siadywać, zakupiony został przez rodaczkę naszą, księżnę Czartoryską w lipcu 1790 r. za dwadzieścia gwinei. Wówczas ani Anglicy, ani tém mniéj jeszcze Amerykanie nie polowali na pamiątki po Szekspirze. Ale obecnie, gdy amatorów tego rodzaju chmara, stolarze miejscowi nie przestają wyrabiać autentycznych fotelów. Nie tylko wyzyskiwanie takie odbywa się w formie pieniężnej: okazuje się ono także i niemile drażni przybysza w pewném spoufaleniu się miejscowych mieszkańców z tą wielką postacią. Dziewczyna napełniająca kufel piwa za szynkwasem,

dorożkarz obwożący gościa po miasteczku, najpospolitsze osobistości z którémi w rozmowę się wchodzi, traktują obcego, jak Ateńczycy traktowali mieszkańców Beocyi—z wyniosłą pogardą. Oni, co prawdopodobnie żadnéj jego sztuki, żadnego jego sonetu nie czytali, stroją się w jego pióra i wydaje im się, że są uczestnikami jego geniuszu. To wzięcie w posiadanie przez pospolitą gawiedź małomiasteczkową nieuchwytnéj, głęboko filozoficznéj muzy, ma w sobie niezaprzeczoną stronę komiczną.

Pamiątkowych budowli współczesnych Stratford, jak wyżéj zaznaczono, posiada kilka zaledwie. Pierwszą, którą przychodzień spotyka, gdy ze skromnego dworca drogi żelaznéj, przeszedłszy przed ładnemi pawilonami świéżo wzniesionego szpitala, wejdzie na środkowy plac mieściny, jest fontanna z popiersiem poety i pamiątkowemi tablicami ofiarowana miastu przez obywatela amerykańskiego z okazyi 50-letniego jubileuszu panowania królowéj Wiktoryi. Z estetycznych względów, nie jeden zarzut dałoby się téj monumentalnéj fontannie uczynić: zbawia ją atoli dobra intencya i dobry przykład dany obojętnym na chwałę swego poety Anglikom, przez ich rasowego pobratymca. U drugiego końca miasteczka, nad Avonem, w pośród gustownie założonych i starannie utrzymanych ogrodów kwiecistych, wznosi się wielki, ciężki, w baszty zaopatrzony budynek, mający przypominać swemi kształtami ów teatr w Blackfriar, którego współwłaścicielem był Shakespeare podczas swego teatralnego zawodu w Londynie. Otworzony nie dawniéj jak w 1879 roku, gmach ten mieści w sobie najprzód bibliotekę zawierającą wszystkie edycye dzieł poety i znaczną do jego pism odnoszącą się literaturę, daléj galeryę obrazów z portretami Shakespeara i różnych artystów dramatycznych, co w jego sztukach występowali, nakoniec salę teatralną, mogącą pomieścić 800 widzów, starannie urządzoną, w któréj kilka razy na rok dawane bywają przedstawienia jego arcydzieł. W ogrodzie przed tą budowlą wznosi się pomnik poety. Wyszedł on z pod dłuta jednego z najpierwszych rzeźbiarzy angielskich, rzeźbiarza-amatora. Jest nim lord Ronald Gower, książe Sutherlandu. Upokorzała go myśl, że w całéj Anglii nie ma ani jednego posągu Shakespeara — bo ten, jaki szpeci Leiceister Square w Londynie i kilka innych jeszcze odeń gorszych, do dzieł sztuki najmniejszéj nie mogą rościć pretensyi. U stóp poety stoją typowe postaci z jego tragedyi: najpiękniejszym jest Hamlet. Jeżeli posąg ten, pomimo niezaprzeczonych piękności jakie zawiera, nie odpowiada estetycznym naszym wymogom, to prawdopodobnie wina tego spada na trudność ucieleśnienia w plastycznéj formie téj apoteozy, jaką każdy z nas w wyobraźni swéj wzniósł prze-olbrzymiemu poecie.

Ślady w których osobistości Shakespeare'a szukać można, pozostałości jego własnych czasów, sprowadzają się do domu, w którym się urodził, do szkolnego gmachu w którym nauki pobierać musiał, do domu w którym mieszkała Anna Hathaway, jego żona i do kościoła w którym jest pochowany i gdzie się mieści jego nagrobek. Zaczyna się naturalnie pielgrzymkę od domu jego rodzinnego położonego przy ulicy Henley. Dom ten nabył za 40 funtów szt. Jan Shakespeare, ojciec Williama, na dziesięć lat przed jego urodzeniem. Posiadał on także kilka innych domów w Stratfordzie i jego okolicach, które zakupił za wiano swéj żony, należącéj do zamożniejszéj aniżeli on sam i wyżéj towarzysko położonéj rodziny Arden. Oboje byli jednak ludzie prości, niepiśmienni. Gdy był aldermanem t. j. ławnikiem w Stratfordzie, należał do trzynastu co krzyżem się tylko na protokułach ratuszowych podpisywali, a sześciu zaledwie pisać umiało. Szczegół ten jest ważny, gdyż wskazuje jak niski poziom intelektualny panował w domu Williama; w inwentarzach sporządzonych po śmierci rozmaitych członków jego rodziny, nie ma wzmianki ani o jednéj książce posiadanéj, nawet o Biblii. Przypuszczać tedy można, że wszyscy oni nie tylko pisać ani nawet czytać nie umieli. Ale co jest jeszcze bardziéj uderzającém, to że wnuczka owego Jana Shakespeara a córka wielkiego Williama, Judyta, nie umiała pisać! Ten jeden fakt wystarcza do ocenienia atmosfery umysłowéj, jaka w domu i rodzinie największego poety rzekomo panowała.

To co jest wiadome z dokumentów urzędowych w aktach ratuszowych Stratfordu, odpowiada wyglądowi domu, gdzie się William miał urodzić. Ojciec jego był małym mieszczaninem, posiadającym rolę, i handlującym skórami i wełną. Wiadomo, że podupadł majątkowo, że podatków płacić nie mógł, i wtedy prawdopodobnie został rzeźnikiem. Jedna izba w domku mogła służyć za sklep do sprzedaży mięsa. Pomiędzy dziesięciorgiem jego dzieci, niektóre mu pomagać musiały. Nie ma nic zadziwiającego, że najstarszy jego syn William, zaczął swój zawód przy straganie rzeźnika. Nie ma obecnie żadnych osobistych śladów rodziny Shakespearów w tych izbach prostych, o grubych belkach w pułapie, o wązkich wschodach wiodących na pięterko, o wybejcowanych ścianach, szerokich kominach i alkowach, dużém oknie o drobnych szybach. Trudno pojąć, że widok ten wywołuje u niektórych odwiedzających histeryczne wybuchy łez i wzruszenie: nie ma lepszego okazu potęgi suggestyi! Zapominają zwykle, że dom ten znajdował się w ręku różnych właścicieli, którzy go przeistaczali swoim potrzebom odpowiednio. Gdy w 1847 roku miał być całkiem zburzony, utworzył się komitet, który zebrał sumę 3,000 funtów

dla zakupu domu i zabezpieczenia jego zachowania jako własności narodowéj. Zakupiono następnie sąsiednie domki i rozebrano je dla odosobnienia miejsca narodzin poety. Stoi tedy wśród ogródka, co się za tym szeregiem domków rozciągał i daje, nawet taki skromniutki, jaki jest dzisiaj, przesadzone wyobrażenie o tém, czém był za życia Williama. Nie było wówczas obszernéj izby na dole, którą przebudowano dla pomieszczenia drobiazgów i sprzętów rzekomo do rodziny poety należéć mających: noszą one pompatyczną nazwę „Muzeum Shakespeare'a". Ponad tą komnatą jest na piętrze inna takich samych rozmiarów, w któréj umieszczono księgozbiór.

Drugą budowlą, z życiem Williama splecioną, jest gmach szkolny, w którym niezawodnie nauki pobierać musiał. Szkoła ta, nosząca nazwę Szkoły króla Edwarda VI-go, została wzniesiona w r. 1402-im, a przebudowana za tego króla. Jest to przestronny i malowniczy budynek, o szeregu większych i mniejszych sal z ławkami dla uczniów i katedrą dla nauczyciela. Wygląd prosty, o fizyognomii średniowiecznéj, niezaprzeczenie malowniczéj. Gdy dodam, że do dziś dnia mieści się tutaj szkoła Stratfordu, to czytelnik z góry się domyśli, że ten codzienny użytek musiał zatrzéć w ciągu trzech wieków ślady — jeżeli były kiedykolwiek jakie — trzechletniego przesiadywania na tych ławach Williama pomiędzy 1571 a 1578 rokiem. Na parterze gmachu znajduje się obszerna sala, gdzie corocznie uczniowie dają dramatyczne przedstawienie. Tradycya miéć chce, że rozpoczęto je w roku 1569, a zatém na dwa lata zanim William wszedł do szkoły, i że miał brać udział w tych widowiskach teatralnych. Tak sobie tłómaczą wcześnie wyrobione u niego zamiłowanie do sceny. Być może, ale nawet autentyczny fakt ten nie posiada innego, jak anegdotyczne znaczenie.

Łatwo wyobrazić sobie ów peryod życia młodego Williama w domowości skromnéj, ubogiéj, rozwiniętego fizycznie, drzémiącego umysłowo. Wiejski chłopak swywolący z rówieśnikami, pełen tego *animal spirit*, tak powszechnego do dziś dnia u jego rasy, a silniejszego niezawodnie w owéj epoce i w warstwie społecznéj, do jakiéj należał, musiał popełniać nie jedno wykroczenie przeciwko porządkowi publicznemu i prawu własności. Tak się tłómaczy owo zabicie zwierzyny w parku sir Tomasza Lucy, o którém wyżéj już była wzmianka i które stało się przełomem w jego życiu. Niektórzy biografowie, chcąc wytłómaczyć tę głęboką wiedzę prawa i jurysprudencyi, to obeznanie się z formami sądowniczemi i ich terminologią, jakie w dramatach jego spostrzedz się dają wielokrotnie, utrzymują, że w téj epoce, po opuszczeniu szkoły, a przed ucieczką do Londynu, pracował w biurze notaryusza w Stratfordzie. Ponieważ jednak nie ma najmniejszego do-

wodu téj praktyki sądowniczéj, można śmiało ją między bajki włożyć, a wyobrazić sobie młodego Williama, gdy się wyrwał z domowéj zagrody, używającego swobody młodzieńczéj odpowiednio swemu buńczucznemu, awanturniczemu usposobieniu.

Jest o dwie staje od Stratfordu mała wioseczka Shottery. Zamieszkiwał tam w skromnym domeczku John Hathaway, przyjaciel ojca Williama, jak o tém świadczy rękojmia, jaką za niego dał przy kupnie domu. Ten John Hathaway był ubogim i potajemnie zabijał i uprowadzał zwierzynę w parkach wielkich właścicieli ziemskich okolicznych. Jego to wpływowi przypisać należy prawdopodobnie awanturę młodego Williama w Charlecoote Hall. Poufały stosunek, w jakim się z rodziną Hathaway'a znajdował, stwierdził się związkiem małżeńskim: William Shakespeare, 18-to letni podrostek, poślubia Annę Hathaway o ośm lat od niego starszą. O małżeństwie tém napisali biografowie Shakespeare'a niezliczone komentarze, jedne romantyczniejsze od drugich. Nie było różnicy towarzyskiéj pomiędzy Anną a Williamem. Gdy się domek jéj, skromny, ale malowniczy, starannie utrzymany, idealny *cottage* wiejski w Shottery, porówna z domem Williama, to wygląda nawet i powabniéj i dostatniéj. Prawda nakazuje mi wyznać, że gdym do jego progów wstąpił, doznałem jedynego w ciągu téj wycieczki silniejszego wrażenia. Mieszka w tym domku 80-letnia, rzeźwa i czerstwa staruszka, daleka krewna Hathaway'ów, i gdy przędła na swém wrzecionie albo opowiadała pochodzenie tego lub owego graciku, co jéj izbę upiększa, mogło się łatwo przeskoczyć kilka pokoleń wstecz i wyobrazić sobie w tych samych ramach Annę, co zamiast siać staropanieńską rutkę, wolała wyjść za mąż za młodszego od siebie i ubogiego chłopaka. Takie małżeństwa w niższych warstwach społeczności angielskiéj były zawsze i są do dziś dnia powszedniemi i nie ma w niém nic wyjątkowego. Do żadnych romansowych przygód nie było tu wątku. Dalszy rozwój pożycia małżeńskiego pokazuje to zresztą dostatecznie. Ożeniony w roku 1582-im, opuszcza William w r. 1586, gdy się przenosi do Londynu, zostawiając jéj dwie córeczki, Zuzannę i Judytę. W awanturniczém życiu aktora ta żona zajmowała, jak przypuścić można, podrzędne stanowisko. Nie zerwał jednakże William węzłów małżeńskich i musiał żonę swoją widywać, gdy corocznie, a przynajmniéj od czasu do czasu, do Stratfordu zaglądał. Gdy się tam po dziesięcioletniém tułaczém życiu stale osiedlał i został zamożnym mieszczaninem, znajdujemy Annę przy jego boku. Urodziła mu nawet w roku 1596 jedynaka syna, Hamneta, który umarł jako 12-letni chłopak.

Nie ma na tém miejscu potrzeby dotykania teatralnego zawodu Shakespeara'a, bo tylko ze Stratfordem mamy tu do czynienia, a mieścina ta nie znała go w tym charakterze. Ale jest rzeczą zastanowienia godną, że do niéj, do swego rodzinnego gniazda nigdy ciążyć nie przestawał. Zaledwie porósł w pierze, zakupił tam dom na własność. Było to w r. 1597, w dziesięć lat po opuszczeniu Stratfordu. Gdyby William był istotnie owym orloskrzydłym geniuszem, w którego mózgownicy rodziły się najwspanialsze pomysły, którego fantazya nie znała hamulca, byłoby mu nawet w wielkim Londynie, w stolicy kraju za ciasno, a w każdym razie byłby tam pozostał, zajmując się wydawnictwem swych poematów i swych dzieł scenicznych, obcując z kwiatem inteligencyi współczesnéj. Jego powrót do mieściny rodzinnéj i wegetacyjne życie, którego tam prowadzić nie przestawał aż do swéj śmierci w r. 1616, byłoby niepojętém. Ale jakże nienaturalnym, jakże łatwym do wytłómaczenia staje się tok jego życia, jeżeli spoglądamy nań tylko jako na aktora i przedsiębiorcę teatralnego. Doznał wielkich upokorzeń za swéj młodości w Stratfordzie. Najprzód rodzice jego stracili majątek, poszli w poniewierkę; następnie on sam, przed następstwami młodzieńczéj swawoli się chroniąc, opuścić musiał jako zbieg miejsce swego urodzenia, pozostawiając tam w ubóstwie żonę i dzieci, a jako aktor lekceważonym się czuł przez mieszczan, co jego rodzinę i przeszłość znali. Stąd potrzeba zrehabilitowania się w oczach swych współobywateli, a nie było do tego prostszego środka, niż wejść do ich grona jako właściciel kamienicy, jako obywatel zamożny, spokojny, żyjący w bojaźni bożéj a czci ludzkiéj. Jeżeli taki widnokrąg duchowy nie przypada do idealnéj postaci, w jakiéj świat widzieć był obowiązany twórcę „Hamleta" i „Króla Lear'a", to jest całkiem odpowiedni praktycznemu nastrojowi małego mieszczanina przy schyłku XVI-go stulecia, zarzucającego wcześnie kotwicę w porcie bezpiecznym po krótkiéj, ale burzliwéj przeprawie. Nie przeczę, że to hypoteza tylko, ale każdy bezstronny umysł zechce przyznać, że ma po swéj stronie wszystkie warunki prawdopodobieństwa.

Jeżeli nie ulega wątpliwości, że Shakespeare, mając 33 lat życia, osiadł w nowo-zakupionéj posesyi, nazywającéj się *New Place*, to nie posiada potomność najmniejszych dokumentów o tym domu, o sposobie, w jaki był urządzony i o życiu, jakie w niém wiódł aktor-emeryt i jego żona i jego córki. Tradycya niesie, że zasadził tam drzewo morwowe w ogrodzie, które następnie stać się miało powodem zniweczenia całego domu. Testamentem swoim Shakespeare zapisał w dożywocie tę posesyę New Place swéj starszéj córce, Zuzannie, która poślubiła d-ra Hall, a po jéj śmierci jéj córce Elżbiecie. Z rąk téj wnu-

czki przeszła ona w XVIII wieku w inne ręce, a niejaki *Rev.* F. Gastrell, zniecierpliwiony, że różni ludzie nachodzili go, ażeby zobaczyć drzewo morwowe zasadzone przez Williama, kazał je ściąć. Ściągnęło to niepopularność, a gdy magistrat nakładał nań podatki z domu, w którym nie przemieszkiwał, rozgniéwał się, zburzył dom do fundamentów, a materyały z niego rozprzedał. I tak się stało, że nie ma obecnie żadnego śladu tego domu, który byłby w stanie, lepiéj niż jakakolwiek inna pozostałość po nim, dać wątek do tego powikłanego kłębka.

Pozostaje już tylko zaprowadzić czytelnika do parafialnego kościoła Ś-téj Trójcy, w którym Shakespeare i jego rodzina mają swe nagrobki. Kościół ten, mimo braku jednostajności w budowie, jest dość okazały. Główne jego znaczenie polega atoli na tych grobach. Mieszczą się one w nawie środkowéj, po prawéj stronie wielkiego ołtarza. Po nad niemi, na ścianie, umieszczone jest w ozdobnéj, rzeźbionéj framudze popiersie Shakespeare'a. Artystycznie jest to utwór mierny, ale widocznie posłużył za źródło i wzór do wszystkich następnych jego portretów, które umieszczane były przy zbiorowych wydaniach jego dzieł, i na którym potomność utworzyła sobie wyobrażenie o nim, jako fizycznym człowieku. Czoło wysokie, z wielką łysiną, potężna czaszka, długa wierzchnia warga są najbardziéj uderzającemi rysami jego fizyognomii. W bliskości tego popiersia są umieszczone w podłodze płyty z napisami, odnoszącemi się do rodziny Shakespeare'ów. Jest tu najprzód ta, na któréj, w czterowierszu przez Williama ułożonym, błogosławi tych wszystkich, co zostawią tu jego kości w niezakłóconym spokoju, a ciska klątwę tym, coby je naruszyli; jest daléj płyta z napisem noszącym nazwę Anny, żony Williama, zmarłéj w 67 roku życia, a w siedm lat po śmierci małżonka, następnie tablica Zuzanny Hall, ich córki, zmarłéj w r. 1649 i jéj męża Johna Hall. Ostatnia z nich odnosi się do zięcia Hallów, Tomasza Nash. I oto wszystko.

Nie można opuścić wszakże tego kościoła, nie uczyniwszy uwagi nad tym czterowierszem, napisanym przez samego Williama dla swego nagrobku. Wiersz ten (bezstronność przyznać nakazuje) jest lichy i uderza w nim nietylko brak wszelkiéj głębszéj myśli, ale nawet wszelkiéj piękności poetyckiéj. Nie ma wierszoklety, któryby nie zdobył się na coś lepszego. Nasuwa to naturalnie wspomnienie innego wiersza, który tenże sam William napisał w Stratfordzie. Ten był ostatnim, a tamten pierwszym płodem jego muzy. William miał wtedy niespełna 22 lata i darł koty z sir Tomaszem Lucy, prześladującym go za kradzież zwierzyny. Aby mu dokuczyć, napisał William wiersz

satyryczny, który przylepiono na murze parku w Charlecoote Hall. Biorąc jako łagodzącą okoliczność i młody wiek poety i brak wszelkiego wykształcenia literackiego, nie można i tak jeszcze dostrzedz w nim źdźbła poetyckiego talentu. Jest to gburowata, źle rymowana strofa, któréj cały dowcip polega na nazwaniu sir Tomasza Lucy „wszawym” a to przez naciąganą grę słów i podobieństwo pomiędzy nazwiskiem Lucy a tym wstrętnym pasorzytem! Oto tedy debiut poetycki Williama Shakespeare'a, i oto jego finał. Te dwa utwory jego pióra, dwa jedyne, których autorstwa odmówić mu nie ma się prawa, nie zdradzają, najdrobniejszym nawet rysem, duchowego pokrewieństwa z tém nadludzkiém nieledwie dziełem geniuszu, które powszechnie było mu przypisywane. Ci, co się dziś jeszcze przy téj teoryi upiérają, postępują słusznie, pomijając milczeniem te autentyczne płody jego twórczości poetyckiéj.

Gdy się pragnie z wrażeń osobistych, wyniesionych ze Stratfordu, z odwiédzin u Shakespeare'a, wyciągnąć jakiś stanowczy wniosek, uczuwa się kłopot nie mały. Wszystko, co o życiu Williama tam mówi, utwierdza w przekonaniu, że nie mógł wyniéść stamtąd żadnych czynników téj olbrzymiéj i wiedzy, któréj utwory jego noszą znaki na każdéj stronicy. Wyszedł stamtąd prostakiem, bez żadnego wykształcenia, żadnéj znajomości ludzi i świata. Rozumiemy, że przyłączył się do trupy aktorów i rozumiemy jeszcze lepiéj, że nie mogąc grać żadnéj roli, ograniczał się do trzymania koni widzów, co na widowisko teatralne przybywali. Nawet gdy się otrzaskał z tém nowém dla siebie środowiskiem i został najprzód pomocnikiem suflera, a następnie sam grać zaczął, nie zajął nigdy żadnego wybitnego stanowiska pomiędzy aktorami. Role, jakie grywał, były podrzędne, jak ducha w „Hamlecie” albo Adama w *As You leke it*. Nie ma śladu, ażeby wśród towarzystw dramatycznych, w których przebywał, błyszczał twórczą potęgą, aby wywiérał wpływ jakiegokolwiek rodzaju potężny. Ci, co z nim obcowali i ci literaci, co pobieżną zaszczycili go wzmianką, mówią o nim jako o człowieku nie posiadającym wykształcenia, nie znającym greczyzny a bardzo mało łaciny. Tak się o nim wyraził Ben Johnson, a był to sędzia i kompetentny i bezinteresowny. Tém mniéj można zrozumiéć, że ten młodzieniec całkiem nieokrzesany, przybywa do Londynu i tam ciężko pracuje na życie, a jednocześnie poznaje nawskroś języki francuski i włoski i całą literaturę tych dwóch narodów, że posiada encyklopedyczne wiadomości z całego zakresu nauk przyrodzonych, filozoficznych, historycznych, że zna prawo i całą jurysprudencyę! To olbrzymie oczytanie, ta erudycya nadzwyczajna niczém jest jeszcze w porównaniu ze znajomością wszystkich krajów i cywiliza-

cyi, z wszechstronną znajomością obyczajów i zwyczajów, z wyrafinowaną ogładą arystokracyi i dworów, a i ta nakoniec schodzi do drobiazgu w porównaniu z filozoficzném wgłębianiem się w charaktery ludzi, w indywidualności przedstawione z taką prawdą psychiczną i z taką znajomością syntetyczną wszech-natury ludzkiéj, że od trzech wieków pochłaniają uwagę najwykształceńszych umysłów i są przedmiotem zachwytu tak samo, jak podziwu. Odpowiadają na to prawdopodobnie bez wewnętrznego przeświadczenia o prawdzie tego zapatrywania, że intuicya, że natchnienie, że geniusz w swych najwyższych potęgach bujają wysoko ponad elementarnemi niedostatkami wykształcenia. Być może, i uchowaj nas Boże od lekceważenia samorodnych geniuszy. Ale największa intuicya nie jest w stanie nauczyć języków obcych, pozwolić na cytaty z dzieł nigdy nie czytanych, nie jest w stanie dać twórczości poety dramatycznego tego naukowego rusztowania, na którém fantazya twórcza sieć swą stubarwną rozpięła. Fakt tego zakroju nie zdarzył się nigdy w świecie cywilizowanym, i są zupełnie usprawiedliwieni ci, co w ten cud piśmienniczy wierzyć nie chcą. Jeden szczegół wystarcza do podcięcia skrzydeł téj ślepéj wierze: „Hamlet", ów „Hamlet", nad którym najwięksi mistrzowie nie przestali pisać uczonych komentarzy, którego rozpamiętują uczeni, a którym zachwycają się poeci i artyści, ów „Hamlet" wystawiony został na scenie w trzy lata po przybyciu nieokrzesanego Williama Shakespeare'a do Londynu! Jak świat światem, nigdy podobny skok z nicości do wyżyn wiedzy i natchnienia nie dokonał się w krótszym przeciągu czasu.

Natomiast nic nie sprzeciwia się odwrotnéj teoryi, téj mianowicie, że po za Williamem Shakespeare'm stała wielka, genialna jakaś osobistość, która, mając ważne powody do ukrywania swéj poetyckiéj i teatralnéj twórczości, podszyła się pod niego i używała go za posłuszne narzędzie, za parawan wygodny [1]). Właśnie podrzędna umysłowość tego aktora musiała go polecić prawdziwemu autorowi. Raz go znalazłszy, nie trudno mu było kierować jego ruchami, jak maryonetką. Podtrzymywać go jako aktora, dać mu pieniądze, aby mógł zostać zarządcą i współwłaścicielem teatru, wystawiać na nim, bez najmniéjszéj kontroli i tém mniéj jeszcze opozycyi, tragedye, fantazye poetyczne, komedye jedne po drugich, te, które się w jego tece znajdowały, skończone oraz te, które improwizował z łatwością i płodnością uczonego myśliciela i świeżego poety—wszystko to było naturalném. Gdy dzieło teatralne zostało dokonane i gdy postronne okoliczności odwróciły dzia-

---

[1]) Twierdzenie to pozostawiamy na całkowitą odpowiedzialność autora artykułu. (Przyp. Red.).

łalność owego prawdziwego autora w inną stronę, Shakespeare staje się mu niepotrzebnym, wynagrodzony pieniężnie usuwa się też ten aktor ze sceny, w całym blasku, całéj pełni męskiego wieku, w 33 roku życia. Z dobrze napełnionym trzosem William Shakespeare nie potrzebuje już teatralnego zawodu. Praktyczny jego zmysł popychał go do odpoczynku i wygodnego życia w rodzinném gnieździe. I uczynił to, plan swój przeprowadził konsekwentnie. Wiadomo, że każdy artysta dramatyczny, choć się niby raz na zawsze ze sceną żegna, czuje do niéj pociąg nieprzezwyciężony, i skorzystać nieomieszkuje z żadnéj sposobności, nawet gdyby mu ją samemu uboczną drogą stworzyć było trzeba, aby na scenę znów powrócić, aby znowu zebrać oklaski, znowu wzionąć w siebie tę atmosferę zgniłą ale odurzającą, bez któréj szczęśliwym być nie może. Nie ma najmniejszego śladu, ażeby ten spokojny mieszczanin w Stratfordzie, mieszkający w wygodnéj kamienicy New Place, warzący piwo, wypożyczający pieniądze na lichwę, żądający zapłaty za najmniejsze usługi wyświadczone gminie—są na to dowody w magistrackich regestrach, nie ma powiadamy, ani śladu, ani nawet prawdopodobieństwa ażeby tęsknił on do sceny i występować na niéj próbował. Ale bo téż aktorem był tylko z przygody i teatr był dla niego nie powołaniem ale przedsiewzięciem handlowem. Gdy przybywa do Londynu w interesach, to dla tego, ażeby uregulować swe należności, przypadające mu z teatru.

Wszystko to są szczegóły logiczne, naturalnie się wiążące z osobistością Shakespeare'a, taką jaka się potomności przedstawiać musi. Ale jest jeszcze inna, o wiele potężniejsza wskazówka, że nie on był autorem poematów i sztuk dramatycznych co pod jego nazwiskiem wyszły na widok publiczny. Zdrowy rozsądek wskazywać musi, że pisarz co wysnuł ze swéj głowy takie potężne kreacye, stworzył tak potężne typy, i odział je w tak cudowne szaty, musiał być świadom ich wartości, i musiał pragnąć, aby ten kosmos, który z nicości do bytu powołał, stanął w całokształtcie przed światem. Wydanie kompletne sztuk teatralnych, które na scenie Shakespeare'a miały wielkie powodzenie, leżało nie tylko w jego materyalnym interesie ale musiało być nieprzezwyciężoném pragnieniem jego ducha. Tak jak matka w męce porodowych bolów znajduje ulgę i wsparcie w nadziei ujrzenia swego dziecięcia w krwi i ciele, tak autor, nie tylko geniusz fenomenalny ale każdy przeciętny, uważa wydanie swych dzieł w druku za nieodzowną konieczność, za urzeczywistnienie swego zawodu. Można się tedy było spodziewać od Shakespeare'a téj saméj troski o wydawnictwo poezyi i sztuk teatralnych, za których autora uchodził. Stało się atoli inaczéj. Nie było jego sztuk w druku, gdy występował na scenie i gdy nią za-

wiadywał. Przypisywać by to można nawałowi jego zajęć. Ale w takim razie miał czas wydawnictwem tém się zająć gdy scenę opuścił. Nie było godniejszego testamentu artystycznego dla Shakespearea jak taka edycya jego dzieł teatralnych. Pożegnał się z teatrem, pożegnał z Londynem a o edycyi téj mowy nie było. Żyje lat kilka w Stratfordzie i dzieła jego nie pojawiają się w druku. Umiéra, i w szczegółowym, we wszystkie drobiazgi wchodzącym testamencie, nie ma ani jednego słowa, ani najlżejszéj wzmianki o téj własności literackiéj. Rozumiéć tego nie można. Ale gdy sobie przypomnimy, że nie było książek w tym domu, że jego własna córka pisać nie umiała, że panować musiała w jego otoczeniu atmosferu małomiasteczkowéj powszedniości, to się ta obojętność na wydawnictwo sztuk rozgłośnych zrozumiałą staje?

Shakespeare nie troszczył się o wydawnictwo ich, bo nie należały one do niego. Cały udział, jaki w nich miał, ograniczał się do przepisania rękopisu autora, gdy mu takowy wręczony został, do rozpisania ról dla aktorów, a być może do wypuszczenia téj lub owéj sceny, która do przedstawienia się nie nadawała. Nikt albo mało kto z widzów troszczył się o to, kto był autorem przedstawianéj sztuki. Shakespeare pozwalał mówić albo mówił sam, jak mu to jego inspirator tajemniczy nakazywał, że on był ich autorem. Był to drobiazg bez najmniejszego dla kogobądź znaczenia. Sztuki jedne następowały po drugich i po efemerycznym bycie znikały, słabe tylko zostawiając po sobie echa. Gdy on z teatrem się rozstał, sam o nich mógł zapomnieć. Kto wié, czy je rozumiał, gdy je grywał? Jego brak zajęcia się wydawnictwem jest tedy do zrozumienia łatwy. Ale prawdziwy autor nie mógł pozostać tak obojętnym. Przyszła dla niego chwila gdy się niém zająć postanowił, i uczynił to z wszelką możliwą troskliwością i pieczą. Pierwszą rzeczą jaką uczynił, było pominąć zupełnie w całkowitém wydaniu dzieł poetyczno-dramatycznych, wielu sztuk, które Shakespeare grywał na swéj scenie jako swoje. Uważał je za podrzędne, za pozbawione znaczenia efemerydy. Wprowadził na piedestał te tylko, które za godne trwałego istnienia uznał. Tylko prawdziwy autor mógł w ten sposób sobie postąpić. Daléj każda sztuka, która do tego pierwszego zbiorowego wydania weszła, została skrupulatnie przejrzana, wprowadzono do nich rozmaite zmiany, nieraz rozległe i radykalne. Pomiędzy broszurami takiemi jakie nas doszły, w których one drukowane były jednocześnie z pojawieniem się na scenie — a nie wszystkie drukowane nawet były—a edycyą *princeps* są różnice wskazujące metodyczną, staranną pracę wydawcy. A kiedy wyszła ta edycya? W 1623 roku, to jest w s i e d m lat po śmierci Williama Shakespeare'a! W téj wła

mu powstali nawet niektórzy z pomiędzy deputowanych węgierskich, dowodząc, że zastąpienie powszechnie znanéj łaciny językiem węgierskim, który posiada tylko pewną część posłów rdzennie madziarskich, usunie od wszelkiéj działalności społecznéj i politycznéj przeważną część członków sejmu węgierskiego.

Protest Chorwatów wywarł wpływ na decyzyę sejmu. Węgrzy zagwarantowali im prawo przemawiania po łacinie nawet w tym wypadku, gdyby cesarz zgodził się na wprowadzenie języka węgierskiego do sejmu. Co do protokółów, to te miały być prowadzone po węgiersku, ale specyalnie dla Chorwatów miano dodawać przekład łaciński. Chorwaci protestowali przeciwko natychmiastowemu wprowadzeniu języka węgierskiego do sejmu głównie ze względów praktycznych, lecz w zasadzie nic nie mieli przeciwko temu, ażeby język węgierski z czasem zapanował w całéj Chorwacyi.

Ale świadomość narodowa zaczynała zwolna rozszerzać się i potęgować i u Chorwatów. Arystokracya poczyna mówić po chorwacku (czyli po „iliryjsku", jak się wówczas wyrażano), a kiedy sejm węgierski postanowił zaprowadzić we wszystkich średnich i wyższych zakładach naukowych wykład węgierski, sejm zjednoczonych królestw Chorwacyi, Dalmacyi i Slawonii, wysunął żądanie wprowadzenia „narzecza iliryjskiego" do wszystkich gimnazyów, akademii i uniwersytetu Chorwacyi. Od tego czasu rozpoczęła walka Chorwatów z Węgrami o prawa językowe, walka, która powołała do życia świetną „iliryjską" dobę literatury południowo-słowiańskiéj, a z drugiéj strony doprowadziła do orężnego starcia się dwóch narodowości w roku 1848-ym.

Żądania Węgrów wciąż wzrastały. Umieli oni skorzystać z kłopotliwego położenia, w jakiém znalazła się Austrya w końcu ubiegłego i na początku bieżącego stulecia i postarali się o pewne ustępstwa, zwiększające ich samodzielność. Węgrzy skierowali swe usiłowania ku wprowadzeniu języka węgierskiego do szkół całych Węgier. Udało im się to prawie wszędzie, tylko Chorwaci oparli się temu, to też w szkołach chorwackich język węgierski stał się przedmiotem tylko nadobowiązkowym.

Na sejmie preszburskim r. 1805, podczas wojny Austryi z Napoleonem, kiedy rząd wymagał od deputowanych, aby ci pozwolili ogłosić pospolite ruszenie, Węgrzy jeszcze raz pokusili się o narzucenie Chorwatom języka węgierskiego. Ci jednak zaprotestowali przeciwko temu i odpowiedzieli żądaniem, by i język chorwacki otrzymał te same prawa, jakich domagają się dla swego języka Węgrzy. Powstało zamieszanie ogólne, spór chorwacko-węgierski przybrał charakter bardzo

ostry, tak że niektórzy z posłów chorwackich zagrozili Węgrom tém, że Chorwaci poczną bronić swych praw z orężem w ręku, jeśli Węgrzy nie zechcą ustąpić dobrowolnie.

Po bitwie austerlickiéj, Austrya utraciła część Chorwacyi, Dalmacyi, Tyrol, Wenecyę, część Styryi i Istryi. Stosunek procentowy Węgrów do pozostałéj ludności prowincyi węgierskich zmienił się na niekorzyść ludności niemadziarskiéj. Węgrzy skwapliwie skorzystali z tego i użyli wszelkich, dostępnych dla nich środków, aby zastąpić łacinę i języki ludności niemadziarskiéj—węgierszczyzną.

Tymczasem w Dalmacyi i Istryi rząd francuski przyczyniał się ogromnie do rozbudzenia poczucia narodowego Chorwatów i Słoweńców, zakładając szkoły z miejscowym językiem wykładowym i nawet organ urzędowy chorwacko-włoski. Kiedy Napoleon sformował z prowincyi od Austryi odebranych t. z. prowincye Iliryjskie, to i tam zaprowadzono w szkołach wykład w języku chorwackim lub słoweńskim. W Lublanie począł wychodzić dziennik, drukowany w czterech językach: francuskim, włoskim, niemieckim i słoweńskim. To opiekowanie się rządu francuskiego językami ludności rdzennéj, nie mogło pozostać bez wpływu na uszczuploną Chorwacyę [1]). Myśl o zastąpieniu łaciny językiem chorwackim w instytucyach urzędowych i szkołach, zyskuje coraz więcéj zwolenników i w téj części Chorwacyi, która pozostała przy Austryi. Zwłaszcza duchowieństwo, jako warstwa społeczna, najbliżéj ludu stojąca, myśl tę popierało, kiedy przeciwnie arystokracya obawiała się wzrostu idei demokratycznych i zwiększenia się wpływu ludu, gdyby ten doszedł do zupełnéj świadomości narodowéj. Nawet żądając pewnych praw dla „narzecza iliryjskiego", arystokracya chorwacka nic prawie nie robiła, ażeby go rozwinąć.

Nie tak postępowali Węgrzy. Wśród arystokracyi węgierskiéj świadomość narodowa wzrastała bardzo szybko. Literatura węgierska stale się rozwijała, a w r. 1825 Węgrzy przystąpili nawet do założenia narodowéj akademii nmiejętności. Arystokracya węgierska odrazu złożyła na ten cel 250,000 złr. Jednocześnie z rozwojem świadomości narodowéj u Węgrów, poczynają coraz wyraźniéj występować tendencye asymilacyjne. Węgrom udało się zmusić sejm chorwacki do postanowienia, ażeby język węgierski stał się przedmiotem wykładowym w szkołach chorwackich, ale już następne próby zasymilowania Chorwacyi i uczynienia z niéj prowincyi węgierskiéj spełzły na niczém. Kil-

---

[1]) W skład państwa Iliryjskiego prócz Karyntyi, Styryi, Krainy, Triestu i Istryi weszła i część Chorwacyi aż po Sawę.

ka razy starali się Węgrzy pozbawić Chorwacyę samodzielności wewnętrznéj i zniszczyć jéj prawa municypalne, ale te zakusy tylko budziły ducha opozycyi u szlachty chorwackiéj. Kiedy sejm ogólno-węgierski z lat: 1832 — 1836 zatwierdził projekt wprowadzenia języka węgierskiego do gimnazyów chorwackich, akademii zagrzebskiéj i uchwalił prawo, na mocy którego posady urzędnicze w Chorwacyi mogły obejmować jedynie osoby biegłe w języku węgierskim—wywołało to oburzenie ze strony Chorwatów. Ponieważ ci ostatni nie mieli możności wpłynięcia na decyzyę sejmu ogólno-węgierskiego, więc udali się wprost do cesarza Ferynanda, który też odmówił swéj sankcyi uchwale sejmowéj.

Stosunki pomiędzy Węgrami a Chorwatami zaogniały się coraz bardziéj. Wśród tych ostatnich powstała nawet idea separatyzmu państwowego, to téż, kiedy Węgrzy zerwali się do walki z Austryą w r. 1848, Chorwaci znaleźli się w obozie ich wrogów.

To samo uczynili Serbowie, Słowacy i Rumuni, którym szowinizm madziarski dawał się jeszcze bardziéj we znaki, aniżeli Chorwatom. Tych ostatnich Węgrzy uznawali przynajmniéj za narodowość i walczyli z nimi jako z przeciwnikami poważnymi. Inaczéj było z Rumunami, Serbami i Słowakami. Nieśmiałe żądania tych, zaledwie poczynających się budzić narodowości z początku wprost ignorowano, następnie zaś, kiedy i wśród nich świadomość narodowa poczyniła znaczne postępy, tłumiono bezlitośnie.

Rok 1848 napełnił serca przedstawicieli niemadziarskich narodowości Węgier otuchą. Upadek znienawidzonego Metternicha wywołał radość powszechną. Wieści dolatujące z Wiednia, podniecały nadzieję Serbów, którzy marzyli o rozwoju samodzielnym swéj narodowości. Do Nowego Sadu, głównego ogniska całego ruchu serbskiego, zwołano zjazd przedstawicieli narodu serbskiego, którzy opracowali program żądań duchowieństwa i świeckiéj inteligencyi. Serbowie żądali odnowienia władzy patryarchy i wojewody, tudzież zorganizowania województwa serbskiego z prowincyi następujących: Śremu, Baczki, Banatu i Baranii. Uznawali oni władzę zwierzchniczą Węgier, ale żądali zupełnéj autonomii w granicach województwa serbskiego. Wybrano delegatów, którzy mieli przedstawić te żądania sejmowi węgierskiemu. Sejm jednakże nie zgodził się na tak daleko sięgające ustępstwa. Wówczas delegaci udali się do Koszuta, który nawet i o tém nic słyszéć nie chciał, na co sejm węgierski przystawał. Oburzeni tém delegaci powrócili do domu z mocném postanowieniem dobijania się ustępstw innemi sposobami.

Serbowie postanowili zwrócić się do cesarza austryackiego. 1-go maja 1848 r. metropolita Rajaczyć zwołał do Karłowców zgromadzenie, na którém uchwalono żądać autonomii ziem serbskich i przyłączenia ich do prowincyi chorwackich. Wkrótce potém oddziały serbskie wyruszyły w pole przeciwko Węgrom.

Rok 1848-my oddziałał ożywczo i na Słowaków, którzy rozpoczęli energiczną agitacyę za decentralizacyą państwa węgierskiego, za ustanowieniem sejmów prowincyonalnych, za wprowadzeniem języka narodowego do szkół: niższych, średnich i wyższych, za organizacyą słowackiéj milicyi narodowéj ze słowacką komendą, za wolnością słowa, druku, zgromadzeń i t. d. I słowackie nadzieje spełzły na niczém: Słowacy postanowili nareszcie poprzéć rząd austryacki w jego walce z powstańcami węgierskimi.

Zupełnie to samo powtórzyło się i wśród Rumunów, którzy dążyli do autonomii Siedmiogrodu I oni powstali przeciwko Węgrom w obronie rządu austryackiego. Napróżno Kossut, widząc, że ma do czynienia nietylko z Austryą, ale również i ze wszystkiemi niemadziarskiemi narodowościami Węgier, zwracał się do Chorwatów i Serbów, ofiarując im pewne ustępstwa w razie pomyślnego zakończenia wojny z Austryą. Nikt już nie wierzył obiecankom wodza ruchu narodowego Węgrów. Było zapóźno. Wkrótce potém Kossut zmuszony był do ucieczki z ojczyzny. Görgöy złożył broń, i w Austryi zapanowała straszliwa reakcya, nie oszczędzająca bynajmniéj niedawnych obrońców rządu: Słowaków, Serbów, Rumunów i Chorwatów.

Dopiéro po nieszczęśliwéj dla rządu austryackiego kampanii włoskiéj, wszystkie narodowości obu części monarchii Habsburgów znowu podniosły głowy. Sejm chorwacki został na nowo powołany do życia, ale prowincye chorwackie odzyskały samorząd dopiéro po wznowieniu konstytucyi węgierskiéj i wydaniu patentów w r. 1867. W r. 1868-ym rząd węgierski wydał t. zw. „prawa o narodowościach", zapewniające Słowakom, Rusinom, Rumunom i Serbom swobodny rozwój narodowy. Ale prawa te istniały jedynie na papiérze; w rzeczywistości zaś sfery węgierskie, rządzące już wkrótce po ogłoszeniu „praw o narodowościach", poczęły wszędzie wprowadzać język węgierski, demoralizując urzędników, nauczycieli i księży niemadziarskiego pochodzenia, obiecując im intratne posady, awanse i beneficya za zdradzenie sprawy narodowéj. W r. 1879 język węgierski został wprowadzony do szkół słowackich, rumuńskich, niemieckich i serbskich w charakterze przedmiotu obowiązkowego. Trzy prywatne gimnazya słowackie zostały zniesione, autonomia cerkiéwna Serbów ulegała coraz to znaczniejszym uszczupleniom, szowinizm społeczeństwa węgierskiego wciąż

wzrastał. Ukazują się różne „ligi", „towarzystwa kulturalne" i t. p. instytucye, których jedyném zadaniem jest asymilowanie Słowaków, Rusinów, Rumunów, Serbów i Niemców. Dziś wszystkie usiłowania rządu węgierskiego zmierzają do całkowitéj madziaryzacyi tych narodowości. Węgrzy mają nadzieję, że za lat pięćdziesiąt uda im się dokonać tego dzieła, ale ten, kto się rozejrzy uważniéj w stosunkach węgierskich, musi przyznać, że nadzieje te nie są na niczém oparte. *De facto*, madziaryzacya, z któréj się cieszą szowiniści węgierscy, jest nadzwyczaj powierzchowna. Madziaryzuje się tylko inteligencya, lud zaś pozostaje podawnemu słowackim, rumuńskim lub serbskim. Chyba jedynie Ruś węgierska stanowi pod tym względem wyjątek, gdyż ilość Rusinów w ciągu ostatnich lat 25-ciu zmniejszyła się o 200,000. Ale sam fakt ten jeszcze nie dowodzi niczego, ponieważ wiadomo, że chłopi rusińscy w znacznéj części słowaczą się, a nie zaś madziaryzują. Zresztą Ruś węgierska znajduje się w warunkach wyjątkowych. Kiedy wśród najniższych sfer ludności słowackiéj, rumuńskiéj lub serbskiéj istnieje już wysoko rozwinięta świadomość narodowa, kiedy wśród tych szczepów istnieją grupy inteligencyi, broniące interesów narodowych, rozwijające literaturę, agitujące, biorące udział w życiu polityczném—Rusini są wszystkiego tego pozbawieni. Lud rusiński—to ciemna masa, inteligencya rusińska przeszła całkowicie do obozu madziarońskiego.

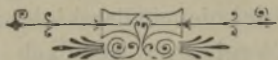
Całkiem inaczéj stoją sprawy na Słowaczyźnie, w Siedmiogrodzie rumuńskim lub w Banacie. Słowakom lub Serbom można zarzucić brak zmysłu politycznego, nieumiejętność, niepraktyczność, niedostatek energii, wytrwałości i t. d., ale świadomość narodowa tak ludu, jak i znacznéj części inteligencyi, tam się już nie da zniweczyć. Chodzi tylko o wybór środków w walce z systemem madziaryzacyjnym. Otóż pod tym względem do ostatnich czasów ani Słowacy, ani Serbowie nie umieli sobie zaradzić. Nie umieli oni rozwinąć agitacyi polityczném wśród ludu na wielką skalę, nie umieli skorzystać z istniejącéj na Węgrzech dość znacznéj wolności prasy, nie potrafili przeciwstawić nadużyciom wyborczym solidarności zorganizowanych mas wyborców. Na tém polu prześcignęli ich Rumuni, którzy z powodzeniem opiérają się zakusom madziaryzacyjnym, niezmordowanie agitują wśród ludu, zwołują zgromadzenia i wiece, drukują mnóstwo pisemek ludowych i t. d. W roku ubiegłym odbył się w Peszcie z inicyatywy Rumunów zjazd przedstawicieli narodowości niemadziarskich, na którym uchwalono dążyć do reorganizacyi Węgier na zasadach federalizmu, starać się o reformę wyborczą w duchu głosowania powszechnego, dobijać się rozszerzenia wszelkich swobód obywatelskich i t. d. Na zjeździe tym

wybrano komitet, mający stale kierować akcyą polityczną Rumunów, Słowaków i Serbów. W skład komitetu weszli: Jerzy Popp—Rumun, Michał Polit—Serb i Słowacy: Mudroń i Sztefanowicz.

Jednakże komitet ten słabą dotychczas rozwijał działalność i gdyby reorganizacya Węgier zależała jedynie od usiłowań Rumunów i słabéj pomocy tym ostatnim ze strony Słowaków i Serbów, długoby przyszło jeszcze czekać na jakąś zmianę. Ale w ostatnich czasach w samém społeczeństwie węgierskiém powstają siły, które zmuszą państwo węgierskie wstąpić na nowe tory. Dość szczęśliwe załatwienie sprawy reformy wyborczéj w Przedlitawii wysunęło naprzód też samą kwestyę na Węgrzech. Agitacya za wprowadzeniem powszechnego głosowania, podjęta przez węgierską demokracyę społeczną, pozyskała sympatye wśród szerokich warstw społeczeństwa. Sprawa zmiany ustawy wyborczéj, obecnie na Węgrzech obowiązującéj, już w najbliższéj przyszłości stanie na porządku dziennym w parlamencie peszteńskim. Ruch robotniczy wzmaga się coraz bardziéj, przyczém węgierskie stronnictwo społeczno-demokratyczne potępiło otwarcie wszelkie dążności madziaryzacyjne. Na ostatnim kongresie węgierskiéj partyi robotniczéj uchwalono założyć organ słowacki. To samo uczyniło węgierskie stronnictwo ludowe, które szybko zdobywa zwolenników wśród Rumunów, Słowaków i Serbów, a przy najbliższych wyborach ma nadzieję zdobyć znaczną liczbę mandatów. Rumuni, Serbowie i Słowacy zawarli sojusz zaczepno-odporny z węgierską partyą ludową, co pozwoli im otrzymać kilka mandatów i przenieść walkę do parlamentu, w którym dziś jeszcze żadna z narodowości niemadziarskich nie posiada swych rzeczywistych przedstawicieli.

Tylko w drodze walki parlamentarnéj mogą niemadziarskie narodowości Węgier przyczynić się do przekształcenia dzisiejszego centralistycznego organizmu tego kraju, na bardziéj sprawiedliwy i lepszy, federacyjny. Ale walkę tę musi koniecznie poprzedzić usilna i ofiarna praca agitacyjno-organizacyjna wśród mas ludowych. Że pracę tę już rozpoczęto, dowodzą: ruch spotęgowany wśród ludności rumuńskiéj i pewne oznaki budzącego się ruchu analogicznego wśród Słowaków i Serbów pod wpływem bądź węgierskiéj partyi ludowéj lub demokratów społecznych, bądź téż narodowców słowackich i serbskich.

Leon Wasilewski.



POGANIZM I CHRZEŚCIAŃSTWO

w powieści Sienkiewicza.



(Henryk Sienkiewicz. „Quo vadis“, powieść z czasów Nerona, 3 tomy. – Warszawa. Gebethner i Wolff, 1896).

Nie brak i w naszéj literaturze, zarówno tłómaczonéj, jak oryginalnéj, obrazów malujących życie pierwszych wieków chrześcijaństwa, pełnych smutku, cierpień, prześladowania, mąk wymyślnych, wśród których jaśnieją nadziemską niemal pogodą ducha wyznawcy, wytrwali w wierze, przeniknięci ukochaniem ideału uosobionego w Chrystusie, co z miłości dla ludzi, by ich odkupić, choć Bogiem był, największe ludzkie przeszedł katusze.

O ile pamięcią zasięgnąć mogę, największe, najgłębsze, najbardziéj bezpośrednie wrażenie na mnie i na spółcześników moich wywarła powieść kardynała Wisemana, „Fabiola”, która u nas w r. 1857 aż dwie znalazła tłomaczki, a późniéj w jednym z tych przekładów (nie ilustrowanych „oryginalnemi” angielskiemi rycinami) doczekała się do r. 1870 trzech jeszcze wydań. Czysto pisarskiemi zaletami nie odznaczała się ona zapewne—po tylu latach zresztą trudno o tém wydawać sąd jakiś stanowczy—ale tętniała żywém, serdeczném uczuciem, które wprost przemawiało do serca wrażliwego i przejmowało je miłością i uwielbieniem dla cierpiących z tak wielką podniosłością ducha.

Za „Fabiolą” poszedł tłum naśladowań coraz to słabszych i coraz mniéj budzących zajęcia. „Kalista” Newmana, „Emilia” Paula Bareilla,

„Wiwia Perpetua,” „Lidya”—oto szereg tytułów, który mi w téj chwili przychodzi na pamięć, wywołując mętne zaledwie przypomnienie wrażeń niezbyt silnych, czasami nawet niemiłych (ze względów literackich), jakie niegdyś przy czytaniu one budziły. Lecz po za tym szeregiem silniéj znowu odcinają się swémi zaletami trzy utwory; jeden budzący gorączkową ciekawość, napisany przez White Melville'a p. t. „Roma i Judea” (albo „Gladyatorowie”), dwukrotnie na język nasz przełożony, oraz dwa oryginalnie popolsku nakréślone przez Kraszewskiego, niezmiernie czułego na najlżejsze nawet prądy w literaturze i życiu, „Capreae i Roma” (1860), oraz „Rzym za Nerona” (1866), tamten w uczuciu czysto artystyczném i religijném, ten w analogiach położeń dawnych i nowych czerpiący swe natchnienie.

Po co robię te zestawienia? Naprzód, że dobrze jest uprzytomnić sobie przeszłość pewnego tematu, jaki obecnie nanowo został podjęty, a powtóre, że nie zaszkodzi zaznaczyć, iż podobne do siebie objawy duchowe w życiu społeczném—wywołują powstawanie utworów analogicznych.

Uczuciowo-religijny nastrój jak przed laty trzydziestu kilku tak i obecnie daje się spostrzegać nie w masach wprawdzie, które mniéj więcéj pozostały podobno pod tym względem niezmienionemi; ale wśród tych warstw społecznych, co się na wierzchu nurtu życia społecznego utrzymywać lubią.

Inne atoli niż dawniéj przyczyny nastrój obecny wywołały. Jedną z głównych zdaje się być pewne znużenie propagandą czysto-rozumowych, pozytywnych haseł, które w zastosowaniu, podjęte przez gorliwych, lecz jednostronnych zwolenników, mogły się przedstawić w kształtach groźnych dla uczuciowości ludzkiéj. Jak ludzie, załatwianiu interesów oddani, gdzie z cyframi mają wciąż do czynienia, zwykli się z nich otrząsać, by na świeżém powietrzu odetchnąć swobodniéj, nię myśląc przynajmniéj czas jakiś o rzeczach ważnych, ale przygnębiających: tak i warstwy owe, którym wciąż prawiono o konieczności skrupulatnego liczenia się z faktami bez wybiegania poza granice, jakie doświadczenie i rozum analityczny naznacza wiedzy, zapotrzebowały jakiéjś folgi wewnętrznéj i uczuły się dobrze, gdy ten i ów zakwestyonował słuszność realistycznego patrzenia na rzeczy, gdy starał się nanowo uczuciowości i fantazyi przywrócić jéj dawniejsze w świecie teoretycznym uznanie. Tu bowiem swobodny lot był dozwolony, a kontrola ścisła surowego rozumu zniesiona, a przynajmniéj znacznym poddana ograniczeniom. A wszędzie tam, gdzie umysł czynność swą okazać może, nie pozostając w przymusowéj bierności, rodzi się uczucie ulgi, wyzwolenia—jest się bowiem w dziedzinie sztuki swobodnéj,

nie zaś nauki, skrępowanéj tysiącznemi więzami stosunków realnych z jednéj, a wymagań rozumowych z drugiéj strony.

Powiéw takiéj atmosfery duchowéj, przejętéj pierwiastkami uczuciowemi i fantazyjnemi, daje się rozpoznać i w ostatnim utworze Sienkiewicza, przeciwstawiającym artystycznie świat pogański, wytwór wielowiekowéj cywilizacyi, noszącéj już atoli wyraźne ślady bliskiego rozkładu pod względem obyczajowym mianowicie, światowi chrześciańskiemu, przynoszącemu nasiona życia nowego, z zasadami i hasłami przeciwnémi tym, jakie do owéj doby psucia się moralnego popłacały.

W przeciwstawieniu tém jakąż potęgę duchową reprezentuje chrześciaństwo? Czy przynosi jakieś wielkie, głębokie nabytki intelektualne, któreby w zdumienie wprawić mogły i przeciwważyć te wszystkie zdobycze umiejętne, do jakich doszła cywilizacya helleńsko-rzymska? Czy daje nowy pogląd na świat i nowe rozwiązanie zagadek, z któremi duch ludzki borykał się od wieków?

Zapewne, kiedyś przyjść miała kolej i na takie rozumowe wywody z zasady nowéj; w pierwszym atoli wieku jéj krzewienia się przemawiała ona przedewszystkiém i wyłącznie tylko do serca; przedstawiała nadziemską miłość Boga-człowieka, pobudzała do naśladowania go, do obejmowania uczuciem serdeczném wszystkich bliźnich, do szczególniejszego spółczucia dla biédnych, poniżonych, cierpiących.

I Sienkiewicz dobrze podobno zrobił, iż tę stronę jedynie w powieści swojéj uwydatnił. Zapewne, dla niejednego dzisiaj, gdy pomimo wszystko, co się mówi przeciwko intelektualizmowi, jesteśmy nim przesiąknięci, wydawać się może świat chrześciański w „Quo vadis” zanadto bladym, o ile rzecz dotyczy rozumu, dowcipu, wymowy, zwłaszcza gdy go się zestawi z takim reprezentantem świata pogańskiego jak wytworny Petroniusz, który wchłonął w siebie całą owoczesną oświatę, o ile ona z poczuciem wdzięku i piękna w ścisłym zostawała związku. Przyznam się nawet, że takie było i moje wrażenie przy pierwszém poznaniu powieści w odcinkach gazety. Przy powtórném atoli odczytaniu jéj w książce inne mi się nasunęły uwagi z rozważania postaci chrześcian odmalowanych przez wielkiego plastyka.

Zacznijmy przegląd od tych, co „dobrą nowinę” światu zwiastowali.

Obrawszy dla opowiadania swego chwilę, w któréj według tradycyi zginęli jeden na krzyżu, drugi od miecza dwaj apostołowie, Piotr i Paweł, nie mógł autor pominąć tych pierwszorzędnych osobistości, głoszących nową wiarę, owszem dał im w akcyi powieściowéj miejsce wydatne. Piotra po raz pierwszy spotykamy w Ostrianum po za Rzymem, nauczającego lud zgromadzony i opowiadającego mu nadzwy-

czajne wypadki, których był czestnikiem. Wydawał się on „nie jakimś arcykapłanem, biegłym w ceremoniach, ale jakby prostym, wiekowym i niezmiernie czcigodnym świadkiem, który przychodzi zdaleka, by opowiedziéć jakąś prawdę, którą widział, któréj dotykał, w którą uwierzył, jak wierzy się w oczywistość, i uwierzył właśnie dlatego, że uwierzył; była też w jego twarzy taka siła przekonania, jaką posiada prawda sama.” Przemawiał do ludu, „jak ojciec, który upomina dzieci i uczy je, jak mają żyć; nakazywał im, by wyrzekli się zbytków i rozkoszy, miłowali zaś ubóstwo, czystość obyczajów, prawdę, by znosili cierpliwie krzywdy i prześladowania, słuchali przełożonych i władzy, wystrzegali się zdrady, obłudy i obmówiska, a w końcu żeby dawali przykład i jedni drugim między sobą i nawet poganom... Mówił daléj, że cnotę i prawdę należy miłować dla nich samych, albowiem najwyższém, przedwieczném dobrem i przedwieczną cnotą jest Bóg; kto więc je miłuje, ten miłuje Boga i przez to sam staje się jego umiłowaném dzieckiem.” Nauczał, że Bóg nie tylko jest wszechmocą, ale także i wszechmiłością, „kto więc kocha ludzi, ten spełnia najwyższe jego przykazanie; lecz nie dość jest kochać ludzi ze swego narodu, albowiem Bóg-człowiek za wszystkich krew przelał, i nie dość jest kochać tych, którzy nam dobrze czynią, albowiem Chrystus przebaczył i żydom, którzy go wydali na śmierć, i żołnierzom rzymskim, którzy go do krzyża przybili; należy więc tym, którzy krzywdy nam czynią, nie tylko przebaczać, ale kochać ich i płacić im dobrem za złe; i nie dość kochać dobrych, ale trzeba kochać i złych, gdyż tylko miłością można z nich złość wyplenić.”

Wszystkie te nauki, tak dobrze każdemu z nas dzisiaj znane, były nowością dla świata pogańskiego, zwłaszcza dla świata rzymskiego, wielbiącego tylko siłę i zręczność, posługującego się chętnie najprzewrotniejszemi środkami dla osiągnięcia pożądanego celu. A wszystkie te nauki wypływały z jednego jedynego źródła, z przykładu Boga-człowieka, cierpiącego mękę za ludzi i przebaczającego prześladowcom swoim. Nie siła, nie rozum, lecz serce, miłość miały być gwiazdą przewodnią życia nowego, życia odrodzonego w Chrystusie.

Bardzo trafna jest uwaga powieściopisarza, iż Piotr uwierzył właśnie dlatego, iż uwierzył, t. j. że na przekonanie jego nie wpływały żadne argumenty rozumowe, żadne teorye, lecz prosta, bezpośrednia i bezrozbiorowa wiara w prawdę tego, co widział i słyszał. Takiego przekonania nikt na nikim ani siłą wymusić, ani też rozumowaniem wszczepić nie zdoła; musi ono powstać samoistnie i samorzutnie; jedna chwila może je w człowieku obudzić i utwierdzić. Ażeby scharakteryzować nauczanie Piotra, autor użył wyrazów jaknajprostszych, po

większéj części wziętych z ewangielii, jakby nie ufając samemu sobie, iżby odpowiedniejsze mógł wynaleźć z własnéj głowy. Ta-to nadzwyczajna prostota środków—w odmalowaniu działalności najgłówniejszego przedstawiciela chrześciaństwa, w porównaniu z doborem i wytwornością wysłowienia, jakie powieściopisarz włożył w usta reprezentanta poganizmu Petroniusza, wywiera na dzisiejszym czytelniku dość słabe wrażenie, gdyż nowego (dla siebie) nic on zgoła nie znajduje, słysząc bardzo dobrze znane sobie rzeczy i to w zwrotach i wyrażeniach, z którémi się już oddawna spoufalił.

Z przedmiotowego atoli punktu widzenia tak być było powinno. Szczerota serca, w wyrażeniu swojém jaknajprostsza i jaknajtreściwsza, choć bladą się wydaje wobec blasków iskrzącego dowcipu, lepiéj przecież, bo głębiéj wniknąć może do tajnych skrytek duszy, niż najświetniejszy, lecz chłodny promień dyalektyki rozumowéj. Nie do wszystkich oczywiście umysłów mogło przekonywająco przemówić apostolstwo prostoty; były takie osobistości, nawet w głębi serca najlepsze, dla których już to wytworność otoczenia życiowego, już to samo piękno zewnętrzne wysłowienia stały się nieodbitą potrzeba duchową; ale ci, co cierpieli, co znużeni byli pustką swych myśli i czczością uczucia, mogli znaléźć w słowach Piotra ukojenie, pociechę, nadzieję, pełnię wiary.

I takim, jakim poznaliśmy apostoła w Ostrianum, pozostaje on bez zmiany aż do końca powieści; nie dokonywa on wielkich czynów, nie zdumiewa rozległością poglądów, nie czaruje potęgą wymowy, lecz gdzie się pojawi, przynosi ze sobą radość cichą, spokój, zachętę do przetrwania smutków i cierpień, przykazanie miłości, wyrozumiałość na słabość ludzką.

Jest jedna sytuacya, parokrotnie zresztą powtarzająca się, w któréj ta miłość i wyrozumiałość żywiéj, dobitniéj niż gdzieindziéj występuje. Oto jeden z uczniów jego, Kryspus, przejąwszy się jednostronnie słowami Chrystusa, mówiącego, iż kto nie znienawidzi ojca i matki swojéj a chce iść za nim, nie może być uczniem jego (Łuk. XIV, 26) gwałtownie powstaje na wszelką miłość ziemską, wszystkie bowiem uczucia zwracać należy wyłącznie i jedynie do Boga. Piotr karci ten głos fanatycznego ascety i błogosławi uczuciu dwojga ludzi, którzy się serdecznie, szczerze i gorąco pokochali.

Postać Piotra, rozważaną jako kreacya artystyczna, trzeba nazwać ogólnikową: autor nie wdaje się wcale w jéj opis fizyczny, uwydatniając jeno wzrost wysoki i łysą głowę, jak ją zazwyczaj na obrazach i posągach widzimy; nie wystawia także apostoła wpośród drobnych okoliczności życia codziennego, które może obniżyćby musiały

nastrój, w jakim osobistość tę przedstawić nam chciał powieściopisarz. Z powodu téj ogólnikowości nie sprawia także wrażenia scena, od któréj autor wziął tytuł swojéj powieści. Sienkiewicz nie śmiał dodać ani jednego rysu do legendy, opowiadającéj o spotkaniu Chrystusa przez Piotra za bramami Rzymu; powtórzył tylko to niemal, co tradycya przekazała. Prostota tego opowiadania, które suchém prawie się wydaje, stanowi rażące przeciwieństwo względem obrazu prześladowania chrześcian, odmalowanego z całą siłą téj plastycznéj fantazyi, jaką nasz autor rozporządza.

Śmielszym jest nieco Sienkiewicz w przedstawieniu fizycznéj postaci Pawła, idąc zapewne za przykładem Renana, ale co do wewnętrznéj strony, co do jego sposobu nauczania i postępowania nie potrafił go należycie zróżniczkować i wyodrębnić od Piotra. Wprawdzie chciał on wlać w czytelnika to przekonanie, że Paweł więcéj posługiwał się rozumowaniem, że był bardziéj oczytany, że wskutek tego wchodził w rozprawy z wykształconymi i filozofami; lecz téj cechy znamiennéj nie chciał uwydatnić bezpośrednio przez roztoczenie przed nami jego wywodów i argumentów; poprzestał tylko na pośredniém zaznaczeniu niektórych zdań jego, o ile się one odbiły w umyśle jego rozmówców. A ponieważ wywody i argumenty owe nie mają cechy wielkiéj głębokości lub świéżości, czytelnik pozostać musi względem nich dosyć obojętnym.

Zasadę miłości głosi naturalnie i Paweł, bo jakżeby inaczéj przedstawić tego, który w listach swoich podał jeden z najpiękniejszych i najprawdziwszych opisów uczucia, mogącego wszystko znieść i wszystko wytrwać. Uznając w zupełności trafność tego rysu, zauważyć jednak wypadnie, iż w zastosowaniu praktyczném przepisów miłości musiał Paweł trochę inaczéj się odzywać aniżeli Piotr, zwłaszcza gdy chodziło o związek małżeński. Ten, który sam się nie ożenił i uczniom swoim zalecał dziewictwo, nie mógł mówić tym sposobem i w tych samych słowach co Piotr o miłości narzeczonych: musiała tam być jakaś, choćby drobna jeno, modyfikacya. Słusznie zrobił niewątpliwie Sienkiewicz, że kazał Piotrowi pierwszemu wystąpić przeciwko surowości ascetycznéj Kryspa i błogosławić dwojgu serc kochających się, gdy Paweł tylko potakuje słowom starszego apostoła, lecz nie byłoby chyba rzeczą niestosowną dać sposobność Pawłowi do wypowiedzenia właściwego jemu poglądu, który w powieści wcale się nawet nie pojawia. Tym sposobem odcięłaby się lepiéj postać ta i psychologicznie i artystycznie od osobistości Piotra.

I tutaj wszakże muszę zaznaczyć, że lubo ze szkodą psychologiczną i artystyczną, powieściopisarz dozwalając obu apostołom działać

zupełnie zgodne w sprawie małżeństwa, tém silniéj podkréśla zasadniczą myśl swoją w przeciwstawieniu chrześciaństwa poganizmowi, roztaczając zdroje uczuciowości dla wszystkich, spragnionych ulgi i pokoju.

Artystycznie najwybitniejszą z pomiędzy chrześcian postacią jest Kryspus, ten fanatyczny asceta, przeciwko któremu zmuszony był wystąpić Piotr i Paweł. Na tle wyrozumiałości obu apostołów jaskrawo odbija ta postać wychudłego, wizyami strasznych kar za grzechy dręczonego człowieka, który wszelką miłość, wszystkie uczucia zogniskował w Chrystusie. Potrzebnym był taki kontrast powieściopisarzowi; dlatego też utrzymał on Kryspusa w raz nadanym mu charakterze karciciela wszelkiéj myśli ziemskiéj i pożądania ziemskiego, pomimo napomnień, jakich mu udzielili apostołowie. Potrzebnym mu był jeszcze i dlatego, aby módz przez jego usta cisnąć Neronowi w cyrku wobec tysięcy widzów groźbę straszną. Gdy inni marli cicho, conajwyżéj z modlitwą na ustach, on jeden nie ginął jak baranek, on jeden przypomniał okrutnemu władcy, że jest wyższa nadeń potęga. Leżało to w jego charakterze, było koniecznością jego wewnętrznego usposobienia. Nie ma w nim cieniowania, może jest trochę zanadto jednostajnym w ruchach i wysłowieniu, ale pamiętać należy, że takie natury są zazwyczaj jednolite w całém znaczeniu tego wyrazu.

Jest jeszcze druga osobistość, którą dwie sceny silnie uwydatniają w pamięci czytelnika—to Glaukus. Oszukany, ograbiony, o mało nie zabity przez nikczemnego sofistę Chilona, który w obawie zemsty wciąż na życie jego nastawał, spełnia on czynem przykazanie miłości i wybaczania uraz i krzywd bliźniemu: raz po nieudanym zamachu na swoje życie, a drugi raz w okropniejszéj nieporównanie okoliczności, gdy zaczął gorzéć jako Neronowa pochodnia. Ten drugi prawdziwie bohatérski czyn, wystawiony wspaniale, dokonywa istotnego cudu, nawraca owego sofistę i czyni go zdolnym do poniesienia śmierci męczeńskiéj za wiarę tych, których ścigał nienawiścią i których wydał.

W téj scenie, dla któréj nigdy zamało pochwał być nie może, spotykamy się z czynnikiem, który tajemnicę rozszerzania się chrześciaństwa rozjaśnia. Sformułowano ją w słowach: krew męczenników jest nasieniem nowych wyznawców wiary. Mianowicie krew takich męczenników, jak Glaukus. Takie przykłady cichego bohatérstwa, takie zwyciężanie egoistycznych popędów na rzecz wielkiéj idei budzi nawet w duszy przewrotnéj cześć, uwielbienie, a bodaj i chęć naśladowania.

Pierwsi chrześcianie więcéj życiem swojém, wypełnianiem cnót, czynném poświęceniem, aniżeli odwoływaniem się do rozumu i krytykowaniem wielobóstwa pociągali ku sobie nowych zwolenników, szczególniéj ze sfery biédnych i uciemiężonych.

Wybornie odmalowaném zostało oddziaływanie dobrego przykładu w dziejach nawrócenia Winicyusza, który jest tu bohatérem powieściowym.

Był to patrycyusz dumny, samowolny, przyzwyczajony do życia obozowego, nie znoszący sprzeciwiania się swoim zachciankom. Ujrzawszy Ligię, przywiezioną do Rzymu dzieckiem w charakterze zakładniczki pewnego plemienia na północy Europy osiadłego (niektórzy w narodzie Ligiów chcieli dopatrywać Lechitów), upodobał ją sobie tak, iż pragnął z niéj uczynić swoję „przyjaciółkę" *(amica)*. Sienkiewicz używa w tém miejscu grubszego wyrazu, przejętego z Biblii, niewłaściwie, zdaniem mojém, gdy na to język łaciński podawał łagodniejszy. Za sprawą przyjaciela swego Petroniusza, który cieszył się wtedy zaufaniem Nerona, odebrano Ligię dotychczasowym jéj opiekunom i przeniesiono na dwór cesarski. Na jednéj z uczt wyuzdanych miał Winicyusz sposobność zbliżenia się do ukochanéj, którą podpiwszy sobie, namiętnie całować zaczął, miażdżąc niemal delikatne usta dziewczyny.

Ligia, czując do Winicyusza skłonność, a jako chrześcianka, bojąc się uledz słabości, ucieka przy pomocy potężnego Liga, Ursusa, który jéj i na dwór Neronowy towarzyszył, z pałacu i kryje się wśród ubogich spółwyznawców. Wtedy rozpoczęły się poszukiwania, kierowane przez Winicyusza i Petroniusza, a z niemi razem do duszy bohatéra wdzierały się wpływy nowe, mające z czasem całkowicie charakter jego i poglądy przetworzyć. Zrazu był zły tylko jak człowiek możny, któremu śmiała opór stawić jakaś biédna zakładnica, córka barbarzyńskiego królika. Chciał ją odszukać, ażeby ją zhańbić i podeptać. Gdy za staraniem Chilona ujrzał ją wśród chrześcian w Ostrianum i posłyszał naukę Piotra, to taki tylko wniosek z nauki téj wyciągnął, iż Chrystus zabierze mu całkowicie Ligię. Chociaż więc czuł pewne wzruszenie, chociaż przekonał się osobiście, iż rozsiewane o chrześcianach ohydne potwarze są wymysłem tylko, miał przecież do nowéj wiary urazę osobistą, ponieważ dziewica, zostająca pod wpływem téj wiary, nigdy się „przyjaciółką" jego zostać nie zgodzi. Więc zamiaru porwania Ligii siłą nie porzuca, bierze tylko ze sobą sławnego atletę Krotona, by się zabezpieczyć przed Ursusem. Próżna ostrożność. Krotona zdusił Ursus w jednéj chwili, a i z Winicyuszem uporałby się

niebawem, gdyby nie skinienie Ligii; skończyło się tedy na skaleczeniu ciężkiém i znacznym krwi upływie.

Podczas choroby i pielęgnowania ze strony Ligii i innych chrześcian, zachodzi w duszy Winicyusza pierwsza, wyraźniéj zaznaczająca się zmiana wewnętrzna. Widząc tych ludzi, na których nastawał, jak się koło niego krzątają, jak pragną jego wyzdrowienia, jak Glaukus przebacza Chilonowi, nabiéra on głębokiego przeświadczenia, że wiara wyznawana przez nich nie kończy się na pięknych słowach, lecz wchodzi w rzeczywistość codzienną, staje się prawidłem życia powszedniego. Nauki dawane przez apostołów zaczynają przemawiać do jego serca; tylko gdy Ligia, wielbiona przezeń, chce się usunąć od niego, ażeby skłonności swéj na zbyt ciężką próbę nie narażać, a zwłaszcza gdy Kryspus groźnie powstał na ich uczucie, oburza się na zamach, jakim religia nowa grozić mu się zdawała i dopiéro wówczas wraca do równowagi, gdy apostołowie miłość jego za rzecz prawą uznali i jéj pobłogosławili. Wówczas znika w nim patrycyusz rzymski, lekceważący wszystkie narody, zasada równości wszystkich ludzi wobec Boga znajduje przystęp do jego serca, postanawia pojąć Ligię za żonę.

Zjawia się wtedy nowa przeszkoda. Polubił on chrześciaństwo dlatego, że je ukochana jego wyznawała; a tu powiadają, że wierzyć potrzeba bezinteresownie, dla saméj prawdy, jaką religia ta podaje. Do tego umysł jego jeszcze się nie dostroił. Dawne wyobrażenia, a zwłaszcza dawne przyzwyczajenia zbyt silnie są w nim jeszcze zakorzenione. Próbuje podniéść bunt przeciwko owemu przywiązaniu do jakiéjś zakładniczki, kiedy ma tyle prześlicznych kobiét do rozporządzenia. Ucztuje tedy i rozpustuje, ale wszystko nadaremnie; zaczyna czuć dotykalnie, że nie same wdzięki ciała Ligii podbiły jego zmysły i wyobraźnię, że ona zabrała mu także duszę. I Winicyusz zaczyna pojmować miłość uduchowioną, daleką od owego szału zmysłów, który nim z początku powodował i stał się powodem całego szeregu cierpień dla Ligii i dla niego.

Ale i na tém jeszcze nie koniec. Winicyusz musi wejść na wyższy niż dotąd szczebel udoskonalenia wewnętrznego. Dowiedziawszy się o pożarze Rzymu, zrozpaczony leci na rozstawnych koniach, by przyjść z pomocą ukochanéj, by ją wyratować. Po przejściu strasznych chwil niepewności, wśród których wzywał pomocy Boga chrześcian, poszukuje jéj wśród zgromadzenia wiernych i znajduje w słowach apostoła Piotra zapewnienie, że Ligia żyje. Ocalenie to wydało mu się cudem łaski Chrystusowéj i przez wdzięczność prosił apostoła, aby go wodą chrztu obmył. Jako chrześcianin może się już zaręczyć z Ligią. Wtedy pragnąłby ją wywieść daleko, do dóbr swoich w Sycylii, zwłaszcza gdy

Neron, chcąc odwrócić od siebie nienawiść ludu, zarządził chwytanie chrześcian jako mniemanych podpalaczy Rzymu. Atoli nie godzi się uciekać przed prześladowaniem, gdy tylu ma dać świadectwo swéj wiary. Więc i Winicyusz po krótkiéj ze sobą walce, nie nastaje dłużéj, sam gotów na cierpienia. Ligię porywają do więzienia i z poduszczenia żony Nerona, szczególniejszéj baczności ją poddają. Choruje w więzieniu. Dla widzenia się z nią, gdy środki wyrwania jéj stamtąd zawiodły, sam, przekupiwszy straże, w ubogiém odzieniu pomocnika grabarza, najmuje się do wynoszenia ciał zmarłych i doglądania, czy który z więźniów nie umarł. Winicyusz zapomniał zupełnie o swojém patrycyuszowskiém stanowisku, czuł się tylko nieszczęśliwym człowiekiem, który jedynéj pomocy oczekuje od Boga. Piotr apostoł kazał mu ufać i wierzyć, że Ligia ocaloną będzie, więc choć wszystko zdawało się przeciwném téj wierze, on trwał w niéj niezachwianie. I miłość téż jego do Ligii przybrała jeszcze wyższy, idealniejszy charakter. Od chwili, gdy ją uwięziono, gdy i ona ukazała mu się w blasku przyszłego męczeństwa, „nietylko pokochał ją stokroć więcéj, ale począł jéj oddawać w duszy cześć niemal religijną, jakby nadziemskiéj istocie.” Na myśl, że „tę istotę i ukochaną i zarazem świętą musi stracić i że prócz śmierci spaść mogą -na nią męczarnie od saméj śmierci straszniejsze, krew stygła mu w żyłach, dusza zmieniała się w jeden jęk, mieszały się zmysły. Chwilami zdawało mu się, że czaszkę wypełnia mu żywy ogień, który ją spali lub rozsadzi.”

Kiedyniekiedy zakradały się wątpliwości pewne do jego duszy, niepokoiło i gorszyło panowanie przewrotności, i jakaś obojętność tego dobrego, tego miłosiernego Chrystusa na cierpienia swoich wyznawców, lecz w takich razach słowa apostoła budzące ufność i nadzieję napowrót przyprowadzały go do równowagi, albo raczéj czyniły go cierpliwszym, bardziéj zrezygnowanym. Doszedł w końcu do tego, że przestał myślć o szczęściu doczesném, a całą duszą przenosił się w dziedzinę wieczności, błądząc już jak senny po ziemi. Był to już najwyższy szczebel udoskonalenia, do jakiego człowiek w tym kierunku dojść może. Autor chciał jeszcze, ażeby i po osiągnięciu tego szczebla zaszła w duchu Winicyusza krótka chwila zawahania i buntu, jakby ostatni ogłos znikającego już z widowni starego człowieka. Psychologicznie jest to rzecz usprawiedliwiona, bo niewątpliwie możliwa, lecz artystycznie psuje nam trochę postać bohatéra, psuje jednolitość jego rozwoju; a ten wzgląd tém silniéj się zaznacza, im słabiéj, im bladziéj scena ta, jakby powtórzenie tylko wahań dawniejszych, przedstawia się wykonaną (t. III, str. 267—269). Sama przez się jest ona

ładną, ale ponieważ nie ma w niéj już motywów nowych, którychbyśmy poprzednio nie poznali, chybia więc swego efektu.

Jak w kilku poprzednich powieściach, tak i w téj ostatniéj nie chciał dać Sienkiewicz tragicznego zakończenia. Może to ocalenie kochanków i życie ich szczęśliwe po straceniu w okropnych mękach setek ludzi nie sprawia estetycznie moralnego wrażenia, ale doprowadzenie do tego szczęścia dało sposobność do nakréślenia jednéj z najświetniejszych scen, jakie w działalności pisarskiéj Sienkiewicza spotykamy. Mówię tu o scenie pokonania w cyrku tura przez Ursusa. Powieściopisarz tak świetnie umiał odtworzyć tę dreszczem przejmującą walkę człowieka z potężném zwierzęciem i to wrażenie, jakie ona na widzach cyrkowych wywierała, iż niemal widzi się własnemi oczyma te twarze wyprężone oczekiwaniem, te oczy przykute do ruchów dwu ciał wszystkie swe siły wytężających, te usta nawpół odemknięte i te oddechy powstrzymywane i to upojenie szalone, jakiém przejęty został tłum widzów, gdy ostatecznie człowiek odniósł zwycięstwo. Przypomina się tu mimowoli do porównania pamiętna walka Giliatta z potworem morskim w „Pracownikach morza" Wiktora Hugo, i widzi się po stronie naszego powieściopisarza więcéj prawdy i więcéj koncentracyi, gdy francuski zdumiewa niewyczerpanym, zdaje się, zasobem środków cieniowania jednéj sytuacyi i niesłychaném wyrafinowaniem frazeologiczném.

Tak się przedstawia strona chrześciańska w swoich głównych przedstawicielach. A poganizm?

W poganizmie widoczną jest przewaga intelektualizmu, pochłaniającego lub podporządkowujące go sobie uczuciowość, oraz wyuzdanie obyczajowe.

Na reprezentantów intelektualizmu nie wybrał Sienkiewicz ani filozofa stoickiego Seneki, ani poety bohatérskiego Lukana, lecz światowca, mistrza elegancyi Petroniusza, któremu przypisał autorstwo jaskrawego obrazu obyczajów Rzymu owoczesnego („Satyricon"), po za nim zaś przewrotnego, skalanego wszelkiemi nikczemnościami łachmaniarza filozoficznego, Chilona. Wybór ten spowodowany został prawdopodobnie chęcią uczynienia wątku powieściowego bardziéj urozmaiconym i zabawniejszym, niż gdyby do osnowy powieściowéj wplecione były figury poważne i surowo patrzące na sprawy moralne i polityczne. U Petroniusza poczucie moralne zatarło się wskutek ulubionéj mu igraszki z wszelkich pojęć, a jedynie wrodzona szlachetność i dobroć, jak nie mniéj delikatny smak estetyczny nie pozwalały mu przekraczać granic uczciwości, pojętéj w pewien szczególny sposób. Chilon zaś, biédak i utracyusz zarazem, wykrętny sofista, chciwiec

i tchórz, mściwy i przebiegły, zasoby swego umysłu, uzbrojonego rozległém oczytaniem, obracał jedynie na pozyskanie sobie bytu wygodniejszego i żadnemi względami moralnemi się nie krępował. Zarówno Petroniusz, jak Chilon, mieli duży zapas dowcipu i dlatego Petroniusz podobał sobie w towarzystwie Chilona, lubo wytworny patrycyusz znał całą lichotę moralną znikczemniałego Greka.

Czy wszystkie dowcipne słowa, czy wszystkie nicowania pojęć, jakie w powieści przypisano obu przedstawicielom zwyrodnienia duchowego są w duchu klasycznym, trudno to orzec stanowczo. Ze względów psychologicznych raczéj przypuszczać wolno, iż dzisiejsza „dekadencya”, mająca zresztą wiele podobieństwa do owego usposobienia Rzymian, których trapiło „*taedium vitae*”, dostarczyła Sienkiewiczowi barw do odmalowania przewrotnego estety życiowego, rafinującego swe przyjemności, i wielkiego cynika filozoficznego, pragnącego choć pod koniec życia zakosztować rozkoszy bogaczów.

Bądź co bądź jednak, w głównych rysach postać Petroniusza odtworzona została przez Sienkiewicza według wskazówek zawartych w „Rocznikach” Tacyta.

„Spał we dnie—mówi ten historyk o Kaju Petronim—a nocy na pracę, albo na rozkosze obracał. Lecz jako innym obrót i zasługi, tak mu sama gnuśność czyniła sławę: nie miano go albowiem za żarłoka i rozrzutnika z tych liczby, co swe majątki bez smaku trwonią, ponieważ z wytworem rozpustował. Mowy i postępki jego, im swawolniejsze i z jakiémś niedbalstwem złączone, tém większy pozór milszéj prostoty niosły. Z tém wszystkiém, będąc na urzędzie prokonsula w Bitynii, a potém konsulem, ukazał dzielny a najgłówniejszym sprawom równy dowcip. Wróciwszy się jednak znowu do przeszłych narowów, albo ich udawania, tak się wkradł w serce Nerona, że mu we wszystkich zbytkach mistrzował; a Neron też nic lubém, rozkosznêm i gustownêm nie osądził, coby się Petroniuszowi nie podobało. Obruszył Tigellina spólnik kredytu, a w rzemiośle rozkoszy dowcipniejszy kunsztmistrz; przeto chcąc się go pozbyć, udał się do pańskiego okrucieństwa, któremu inne złe chuci prym dawały. Zarzucił Petroniemu przyjaźń ze Scewinem, nabechtał nań służalca, odjąwszy sposób obrony” („Dzieje roczne Tacyta”, ks. XVI, roz. XVIII w przekładzie A. Naruszewicza).

Co tu Tacyt w zwięzłym swym stylu krótko wyraził, to Sienkiewicz rozwinął w przepysznych, pełnych życia scenach, zaznaczając wciąż piękność Petroniusza pomimo podeszłego już wieku, urok wywierany przezeń na kobiéty, przytomność umysłu ogromną, dowcip zazwyczaj bardzo wytworny. Utrzymał go też doskonale w charakterze

od początku do końca, zarówno w stosunku do krewnego i przyjaciela Winicyusza, któremu w jego kłopotach miłosnych chciał dopomagać, lubo bezskutecznie, a raczéj nawet wprost szkodliwy dla sprawy wywołując rezultat, jak w stosunku do Nerona i jego dworu, jak wreszcie w stosunku do chrześcian po poznaniu się z Pawłem. Podrwiwał on sobie z uduchowionéj miłości Winicyusza, podrwiwał bardzo zręcznie maskując się pochlebstwem z Nerona, nie chciał przeczyć prawdzie zdarzeń opowiadanych przez Pawła i niektóre tegoż argumenta za słuszne poczytywał, ale zanadto w przyzwyczajeniach swoich był epikurejczykiem, ażeby mógł się krępować więzami nowéj wiary, uczącéj powściągania żądz i pokory.

Opis śmierci Petroniusza, który podczas wspaniałéj uczty wyprawionéj dla przyjaciół, kazał sobie otworzyć żyły, tak że krew obryzgała znajdującą się przy nim jego przyjaciółkę Eunice, nie wydaje mi się w wykonaniu odpowiednią dla tak wytwornego estety, jakim go Sienkiewicz, z takim naciskiem na ten estetyzm, odmalował. Rzymianie z czasów cesarstwa przywykli wprawdzie do widoku ludzi otwierających sobie żyły; ich wrażliwość była zapewne bardziéj przytępiona w tym względzie niż nasza, lecz krew rozlana nigdy chyba i nigdzie przyjemnéj sensacyi wywołać nie może i liczyć ją do środków ucztę zdobiących niepodobna. Pragnął i tutaj powieściopisarz być wiernym Tacytowi, który opowiada, że Petroniusz, nie chcąc prędko ginąć, kazał przecięte żyły zawiązać, by potém znów je otworzyć, że w tym przeciągu czasu rozmawiał z przyjaciołmi, którzy nie rozprawami o nieśmiertelności, ale pustemi wierszami go bawili... Tu atoli wierność historyczna nie przemieniła się, mojém zdaniem, w piękno artystyczne.

Chilon to umysłowość niepospolicie rozwinięta, a charakter nędzny. Mądrość jego sofistyczna nie zdołała mu zapewnić dostatniego bytu, zwłaszcza że łatwość puszczania w świat zarobionego grosza równała się żądzy użycia i rozkoszy. Chcąc tę żądzę zadowolnić, gotów był Chilon zostać wszystkiém, wyznawać wszelkie zasady, wysługiwać się ludziom i ideom najrozmaitszym. Służył za hojną zapłatę, i umiał ją wyciągać zarówno dowcipnie, jak bezczelnie. Tchórz z usposobienia, narażał się dla grosza na niebezpieczeństwa; płaszcząc się przed możniejszymi i bogatszymi, szukał tylko sposobności, by im odpłacić zdradą i upokorzeniem. Mściwy, długo w duszy piastował myśl zemsty, aż nadeszla chwila jéj urzeczywistnienia. Dary, jakie otrzymywał, nie zobowiązywały jego sumienia do niczego, bo uczucia wdzięczności nie miał; natomiast pamięć obelgi i krzywdy posiadał w stopniu najwyższym. Lubi się wywiadywać cudzych tajemnic, ażeby się niemi w danym razie na swoją korzyść posłużyć. Za narzędzie używać się daje,

czuje swe upodlenie i radby mieć za nie jakiś równoważnik. Poszukiwał Ligii dla Winicyusza, udawał chrześcianina, próbował namówić Ursusa do zgładzenia Glauka, którego niegdyś skrzywdził, za natrętne śledzenie chrześcian ochłostany przez Winicyusza, poprzysięga mu w duszy zemstę, staje się donosicielem, prowadzi do kryjówek chrześciańskich, dochodzi do pewnego znaczenia na dworze i wówczas z dumą protekcyenalną traktuje nieszczęśliwego kochanka Ligii. Scena ta, gdzie napuszony godnością swą łotr wyniośle przemawia do Winicyusza, a Winicyusz jako chrześcianin wyznaje swą winę, że go skrzywdził, należy do bardzo efektownych i bardzo znamiennych.

Czy nawrócenie się takiego człowieka, a co większa dobrowolne ofiarowanie się na męczeństwo było możliwe? Zapewne, przemiana gwałtownych namiętności na wprost przeciwne jest prędzéj dopuszczalna, niż przetworzenie się chłodnego i wyrachowanego samolubstwa w gotowość do poświęceń, bo falowanie uczuć doprowadza do wszelkich krańcowości, skupienie zaś wszelkich uczuć w sobie tylko i dla siebie jest bardzo spójne i wahaniom zazwyczaj nie podlega; ale uwzględniając nadzwyczajne okoliczności oraz nerwową drażliwość, w jakiéj znajdował się Chilon, przymuszony patrzéć na męki tych, których zdradził, możemy ostatecznie cudowną tę przemianę przyjąć za prawdziwą. Szkoda tylko, że powieściopisarz nie przygotował czytelnika zaznaczeniem choćby bardzo drobnego jakiegoś rysu lepszych w Chilonie skłonności; zanadto bowiem przez całą powieść przywykliśmy go widziéć przewrotnym i nikczemnym, ażeby nam łatwo przychodziło uwierzyć w tak nagły przewrót duchowy. Chilon był zbyt jednolitym w swojém samolubstwie i łotrostwie, ażeby można w nim było podejrzéwać materyał na wyznawcę i męczennika wiary Chrystusowéj.

W Neronie bujnie rozwinięty intelektualizm łączy się najściśléj z wyuzdaniem zmysłowém i czyni go doskonałym przedstawicielem rozkładu moralnego, jaki się na wyżynach społecznych Rzymu cesarskiego dawał widziéć. Wielbiciel poezyi i zwyrodniały lubieżnik, cynik drwiący z bogów i uczciwości, a przytém zabobonnik lękający się wieszczb i złowróżbnych znaków, okrutnik szukający pozorów do nadania swoim morderstwom jakichś cech konieczności lub nawet nadludzkiego ze swéj strony poświęcenia, a przytém tchórz ostatni, nie umiejący zadać sobie śmierci, komedyant ustawiczny, goniący za piękną pozą i ładnym frazesem, lekceważący wszystko i wszystkich dlatego, iż mu się płaszczono i wszelkiemi środkami pochlebić mu się starano—wybornie się przedstawia u Sienkiewicza i w słowach i w zachceniach i w postępowaniu, jakkolwiek, przyznać to potrzeba, przyćmiewa go postać Petroniusza, więcéj wysunięta przez autora naprzód,

świetniejsza w ekspresyi artystycznéj. Jest zaledwie chwil kilka u Sienkiewicza, w których Neron występuje z całą wydatnością plastyki, jaką włada nasz powieściopisarz; mianowicie widzimy go na uczcie przyglądającego się przez szmaragd, widzimy go deklamującego wobec płonącego Rzymu i jeszcze go raz widzimy, gdy zmuszony przez lud, pomimo wstrętu wewnętrznego, daje znak ułaskawienia dla Ursusa i Ligii. W innych wystąpieniach nie jest już on tak wydatny i łatwo téż zaciera się w pamięci postać jego.

Nie dał nam Sienkiewicz poznać w Neronie jednéj strony—jego stosunku do spraw państwa, rozważając go wyłącznie w życiu prywatném. Wogóle mówiąc, jak w innych powieściach historycznych, tak i w téj autor nasz umyślnie widać zacieśnia widnokrąg powieściowy, ażeby na tak zeszczuplonéj arenie tém wyraźniéj wystąpiły wybrane przezeń postaci. Co się działo w państwie rzymskiém w ciągu tego krótkiego czasu, jaki Sienkiewicz przeznaczył dla rozwoju akcyi powieściowéj, o tém dowiadujemy się tylko z napomknień łatwo nawet uchodzących uwagi; spisek Pizona w tak ulotnych przemyka się tu rysach, że kto o nim nie wié z dziejów, nie domyśli się nawet z ubocznych aluzyi, o co chodziło; takie osobistości jak Seneka, Lukan, Trazeasz, Scewin ledwie zostały zaznaczone, Epicharys nawet nie wspomniana. Nie wydaje mi się, ażeby to było stroną dodatnią powieści historycznéj, gdy wypadki i osoby dziejowe znikają albo zacierają się, ażeby ustąpić miejsca postaciom i zdarzeniom przez powieściopisarza wymyślonym. Kaczkowski miał zapewne na myśli takie traktowanie historyi przez Sienkiewicza, gdy mu zarzucał, iż nie potrafił oddać ducha dziejów, lubo ciało ich namalował doskonale. Z „Quo vadis” możnaby wynieść to przekonanie, że wypadkiem najważniejszym w owym czasie, wypadkiem, którym się zajmował Rzym cały, nie wyłączając dworu cesarskiego i samego Nerona, była historya Ligii i Winicyusza oraz połączone z tym zasadniczym motywem okoliczności. Te okoliczności nastręczyły autorowi sposobność odmalowania strony obyczajowéj Rzymu pogańskiego oraz pierwszych grup chrześciańskich. Rozpustowanie Nerona, zabawy i podróże dworskie, intrygi pałacowe, dowcip Petroniusza, przewrotność Tygellina występują tu malowniczo, budząc albo wstręt dla zwyrodnienia i podłości ludzkiéj, albo podziw dla wielkiego intelektualnego uzdolnienia, ku błahostkom życiowym skierowanego. Nie dowiadujemy się atoli, jakim sposobem ten Rzym rozpustujący, maskaradowy, mając na swém czele „woźnicę, podpalacza i komedyanta” mógł nie tylko istnieć, ale panowanie swoje nad całym ówczesnym światem rozciągać i utrzymywać. A przecież pytanie takie musi się narzucać każdemu rozważnemu czytelnikowi, który nie da się

olśnić wspaniałemi, świetnie wykonanemi obrazami, ale radby także zrozumiéć i wyjaśnić sobie tak dziwne zjawisko. Gdy Krasiński malował nam Rzym w czasach o wiele późniejszych i o wiele gorszych zarówno pod względem politycznym jak obyczajowym, umiał przecież odnaléźć i odtworzyć dwie potężne siły, podtrzymujące gmach częściowo zmurszały, a siłom tym nadał nazwisko Aleksandra i Ulpiana t. j. dzielności żołnierskiéj i rozumu stanu. U Sienkiewicza zdawałoby się, że wraz z pożarem Rzymu zniknąć powinna jego potęga, gdyż nie ukazał nam wśród pogan żadnego czynnika, podtrzymującego istnienie bytu państwowego.

Było mu to zapewne potrzebne dla wywołania lepszego kontrastu między zepsuciem pogańskiém a zdrowiem moralném wnoszoném przez chrześciaństwo. Dla celów artystycznych wolał trochę jednostronnie odmalować Rzym pogański, utrzymując czytelnika w tém przekonaniu, że jak na tronie zasiadał zwyrodniały półgłówek, tak i na wszystkich szczeblach niższych rozmieściły się już to zobojętnienie dla spraw ogólnych lub ważnych wogóle, już to wyzyskiwanie położenia dla celów egoistycznych, już to ciemnota i łaknienie grubych rozywek w walkach gladyatorów, w męczarniach chrześcian, słowem w krwawych widowiskach. Na zaspakajanie głodu i kosztownych zabawek stolicy szły bogactwa trzech znanych wtedy części świata, utrzymywanych w posłuszeństwie—niewiadomo jakim sposobem.

Jeżeli wszakże pominiemy to zeszczuplenie widnokręgu dziejowego i brak wyjaśnienia potęgi rzymskiéj, to znajdziem w najnowszéj powieści Sienkiewicza tak umiejętnie ułożony, tak znakomicie pod względem wywoływania wrażeń artystycznych ustopniowany obraz, że się mu przypatrujemy z rozkoszą i ledwie tu i owdzie—pod względem stylistycznym lubo estetycznym—dostrzegamy jakiś drobny usterk. Epilog jeno, trzymany w tonie sprawozdawczym, wydaje mi się słabszym od innych części; lubo taka scena jak śmierć Nerona mogła była natchnąć takiemu plastykowi jak Sienkiewicz więcéj żywości w obrazowaniu.

P. Chmielowski.



ROZBIORY I SPRAWOZDANIE.

Stanisław Krzemiński. „Zarysy literackie“. Warszawa, 1895. Nakład i druk Lewentala, str. 287.

Kilka pierwszych z tych „Zarysów" — to rozprawy etyczne, poruszające zagadnienia życia społecznego; dalsze—literackie.

Rodzina („Rodzina jako stowarzyszenie się do szczęścia") stanowi grunt, w którym istota ludzka wzrasta: społeczeństwo jest dla niéj tylko powietrzém, w którém dojrzéwa, w którém duch świata ścina ją na żniwo ogólnego pożytku (str. 9).

Pożytek, jaki jednostka przynieść może, zależy od jéj strony moralnéj.

Czy rodzina dba o wyrobienie jéj w dziecku, o ustalenie charakteru?

„Z głowy dziecka—odpowiada autor—robimy stodołę, napełnioną wszelkiego rodzaju zbożem: kształcenie jego serca, wyrabianie w niém woli prawéj czyli charakteru zupełnie prawie zaniedbujemy" (str. 10). Zamało baczymy na dzieci, oddając je wyłącznie szkole, przedtém bawiąc się niemi, bawiąc się sami... Potém — „wsypujemy im trochę, i dużo, grosza do kieszeni" — i na tém koniec. Świéża siła rzuca się w wir życia po to, aby wywalczyć sobie byt „jaknajbardziéj ozłocony".

Wielką winę przypisuje autor i materyalizmowi w wychowaniu, który tylko „obciosa egoizm tak, aby mu nie było niewygodnie w społeczeństwie; wyrobi w dziecku dobre, karne zwierzę społeczne; da mu

żądze i środki do poszukiwania uciech, za jakiemi sam się upędza" (str. 13).

Nie tego chce autor.

„...Uczynić istotę ludzką człowiekiem, przeprowadzić ją od natury do ducha, z mgieł zwierzęcości w jaźń samopoznania, przyzwyczaić ją do prawdy, przejąć miłością dobra, przykuć do wielkiego łańcucha ludzkości, jako jedno z ogniw niewyłamujących się i karnych, dać światu widok pięknéj duszy młodzieńczéj, nie ulegającéj ułomnościom i niemocom ciała: jest to zaiste najpiękniejszy poemat, najwyższe szczęście na ziemi! Do takiego szczęścia Opatrzność przeznaczyła rodzinę" (str. 15).

Rodzina winna się starać o przysposobienie dzieci do zawodów, których spełnianie przyniosłoby im szczęście.

Takie wychowanie musi miéć miłość za podwalinę. Biada małżeństwom bez miłości: dzieci z takich małżeństw powstałe miłości dla rodziców swoich miéć nie mogą.

Przeciwnie—dwoje żyjących w miłości może liczyć na potomstwo sobie podobne. A grono takie, wzajem się kochające, jest właśnie „stowarzyszeniem się do szczęścia". A im więcéj cierpień, tém więcéj wzajemnego zbliżenia się, współczucia, uległości i miłości wzajemnéj.

W takiém „stowarzyszeniu" mogą się urabiać charaktery jednostek, a te, wszedłszy w życie, odróżnią, co dobre i piękne — kąkol od kłosu o zdrowém ziarnie.

A społeczeństwo zyska na tém i wzmocni się.

Ateizm religijny i filozoficzny zrodził i ateizm pedagogiczny, roztrząsany w „Nowéj zasadzie wychowania", napisanéj przez p. Krzemińskiego w r. 1875-ym pod wrażeniem artykułu Edwarda Laskera, zamieszczonego w *Deutsche Rundschau.*

Dwie są główne zasady wychowania, powiada Lasker:

1) zadanie wychowania jest przygotowaniem człowieka do wszelkich możliwych położeń w życiu, 2) panowanie nad niemi.

Zasada pierwsza nie podoba się autorowi „Zarysów" dlatego, że „nie ma nic wspólnego z tą, jaką w wychowywanéj przez siebie istocie ludzkiéj rozwinąć usiłuje dobry pedagog-idealista. „...Dążeniem pierwszéj „jest zapewnienie jednostce takiego trwałego stanu, takiego usposobienia, przy którémby jaknajwiększą społeczną, zamienną, że tak powiem, wartość zyskać musiała; myśl zaś przewodnia praktyczności, uczonéj przez idealizm, tkw i w dążeniu do takiego obwarowania jednostki wychowywanéj od wpływów zewnętrznych, takiego jéj uzdolnienia, aby wartością swoją rzeczywistą, moralną i intelektualną, jak-

najwięcéj i jaknajdłużéj w społeczeństwie ludzkiém znaczyć i działać mogła" (str. 40).

Żądza panowania (zasada druga) jako pragnienie sławy naganną być nie może, ale „chęć panowania" doprowadziłaby „do wojny wszystkich przeciwko wszystkim".

Egoizm wrodzony człowiekowi ma być przez takie zasady potęgowany; stanowi to przeciwieństwo względem zasad pedagogiczno-idealistycznych, polegających na budzeniu uczuć altruistycznych.

Wykluczenie wiary z wychowania jest wielkim błędem.

„Wiara może zapewnić tę szczęśliwość wewnętrzną, tę harmonię ducha, bez której życie najzimniejszego nawet człowieka będzie podobne do biegu rozhukanych koni, w przepaść lecących."

Różnorodne kierunki filozoficzne naszych czasów u starożytnych miały już swych przedstawicieli.

Przyjęcie któregokolwiek zależne jest od rodzaju umysłów.

Dzieli je autor na analizujące i dogmatyczne.

Do tych ostatnich należał Tomasz Carlyle („Ideały Carlyle'a"). „Wielki cenzor wieku" za każdą rzeczą, najmateryalniejszą nawet, widzi prześwitującą boskość, istotę wyższą, która pierwsza dała początek wszystkiemu.

Carlyle wytwarza sobie odmienny pogląd na ludzi, na jednostki, które łatwo bohaterskiemi stać się mogą. Ani Hannibal, ani Vercingetorix, ani Waszyngton, Apollo, Herakles — nie są bohatérami dla Carlyle'a. „Bohatérowie (jego) muszą być przedewszystkiém ludźmi, działającymi dla ogólnego dobrobytu ludzkości, ograniczonéj do danego społeczeństwa i danéj epoki, a nawet niekiedy i z odrzuceniem tych zacieśniających szranek (str. 65).

Podstawą bohatérstwa jest religia: ona stara się człowieka doskonalić, podając za zasadę pracę i moralność. Ideał taki ma każda religia, jeżeli na tę nazwę zasługuje; najdokładniéj występuje on w chrześciaństwie.

Treścią życia jest praca.

„Szczęście człowieka spoczywa w pracy i nie ma innego szczęścia na ziemi" (str. 76).

Praca jest według Carlyle'a obrzędem religijnym; nagroda za nią tkwi w niéj saméj. „Jakimby to rajem była ziemia, gdyby ludzie na niéj wszyscy czysto pracowali!" (str. 80). Dalekim jest nasz wiek od takich ideałów. Szczerze myślimy tylko o piéniądzach. Reszta — to pozory, udawanie, konwenans, moda, kłamstwo.

Max Nordau w dziele swojém p. t. „Dwa kłamstwa wieku" zastanowił się nad naszém życiem—życiem obłudy.

Pokolenie, powstające z małżeństw, którego akt jest „aktem kupna i sprzedaży" nie może mieć (w większości przynajmniéj) ani miłości, ani wiary, ani zapału. A bez nich życie jest tylko... *eine conventionelle Lüge.*

Nad nauką o wychowaniu zastanawia się Krzemiński jeszcze w artykule „Dziś i przed wiekami", rozwijając myśli Plutarcha, a z „Modlitwy" Hektora: — „Niech o nim (o synu) kiedyś powiedzą: O wiele jest lepszym od ojca" — modlitwy o postęp wyprowadza co następuje:

„Teraźniejszość jest drżeniem i falowaniem ustawicznêm między dwoma biegunami: rzeczywistości i ideału; jéj ruch dokonywa się ciągle pod jednoczesnêm tych dwóch potęg działaniem; jéj trud — to ciągłe zbieranie owoców z drzew, które inni zasadzili, i ciągłe sadzenie i szczepienie drzew nowych, z których inni znowu zbierać będą owoce" (str. 111).

„O Nieśmiertelność" — wywołany rozmową Zdzisława z Dębickim — w „Emancypantkach" Prusa wywołaćby mógł obszerniejszą wzmiankę, ze względu na temat metafizyczny...

Cieszy się autor „Zarysów", że „nie jeden jeszcze z tego samego pokolenia, które kroczyło pod hasłem „wiedza to potęga", równie jak Prus przyszedł do krynicy wiary i gasi w niéj pragnienie, którego żadna wiedza nie stłumi" (str. 137).

Część druga „Zarysów", aczkolwiek ściśle literacka, nie pozbawiona jednak poglądów i wniosków etycznych. Te ostatnie są nieuniknione przy charakterystykach ludzi takich, jak: Spinoza, Byron, Wiktor Hugo, wreszcie Brandes,—naostatek przy niektórych postaciach kobiecych w dramatach Szekspira.

Wiktor Hugo, nietylko jako człowiek wielkiego talentu, jest sympatycznym dla autora „Zarysów".

„Chciał poeta (Hugo) szczęścia ludzkości całéj; chciał panowania i swobody ruchów i nie stanął nigdy po stronie tych, którzy mówią, że świat nigdy już lepszym nie będzie, bo nigdy i ludzie nie będą lepszymi. Wierzył w naturę ludzką, domyślał się Boga w człowieku, oczyma idealizmu dostrzegał w nim bóstwo, w którego obecność w świecie wierzył wytrwale przez życie całe. Był optymistą; ale gdy się nie jest politykiem, lecz poetą, optymizmem tylko, wiarą w przyszłość, wiarą niestrudzoną, niezrażoną niczém, przez dzień nędzy przekazywaną nieznanemu jutru — tą wiarą, jaką sam Hugo w lirykach swoich zalecał, można wyświadczyć ludzkości coś dobrego" (str. 282).

Inaczéj przedstawia się ten, którego sława świat cały obejmuje,

a który w swoim czasie wielkie i na naszą poezyę wywierał wpływy— Byron.

„...Ludzkość... jest dla Byrona jakby miłowaną niegdyś, późniéj znienawidzoną kochanką. Z samowoli dziecinnego wieku powstaje w późniejszym dziko miotające się samolubstwo i niczém wypełnić się niezdolna samotność ducha. Życie powszechne jest dla poety jak gdyby jednym bezludnym przestworem, najeżonym skałami, na szczycie których dopiéro on sam staje, aby nań z melancholią, pogardą, ironią, lub sowizdrzalską uciechą spoglądać. Mózgowi jego braknie silnych przekonań, sercu jego silnéj miłości. Otwiéra mu się dusza na wielkie zadania, umiłowania i cierpienia ludzkie, ale nie wzbija się na szczyty zapału dla człowieczeństwa i praw jego nieśmiertelnych. W ideale odczuwa poeta raczéj piękno niż dobro; jest już za starym, zanadto przez życie zmiażdżonym, aby mógł go kochać" (str. 262).

Słów kilka o Brandesie („Brandes w Warszawie") i o jego odczytach p. t. „O poezyi polskiéj XIX stulecia", gdzie zwrócił się „najrozgłośniejszy dziś krytyk i historyk literatury w całéj Europie, od Renu do Dniepru, od morza Północnego do zatoki Botnickiéj" do przestudyowania tego, co język polski najświetniejszego posiada, do poezyi trzech wielkich mistrzów naszych, wywołują znowu poglądy filozoficzne Krzemińskiego.

„Szekspir i dramat" (1876) należy do pouczających i zajmujących artykułów.

„Talent dramatyczny — słowa autora — wykwita z doskonałego ujęcia przez umysł objawów ducha ludzkiego, działającego w związku z namiętnościami, z temperamentem, ze zmysłowością, a za podwalinę dla siebie ma i empiryczne i intuicyjne poznanie całego wewnętrznego mechanizmu człowieczeństwa, w jego głównych, wybitnych, stale powtarzających się, odmianach, czyli typach. Kto zdolności takiego chwytania w ruchu życia posiada; kto samo życie w jego formach przeszłych lub teraźniejszych odtwarzać umié tak, aby ono przy podstawieniu sztucznych osobistości i sztucznego otoczenia niczém się od rzeczywistego nie różniło; kto przy tém wszystkiém jeszcze obdarzony jest zmysłem zdolnym wytworzyć sobie pewien plan etyczny, pewne powiązanie wypadków takie, aby przez nie ideał dobra przeświecał—ten jest poetą dramatycznym" (str. 164).

Dar taki posiadł Szekspir i dlatego teraz „żyje" z nami.

Wygłosiwszy zapatrywania swoje na budowę dramatu, autor zarysowuje kilka postaci kobiécych Szekspira.

Po skréśleniu sylwetki Kordelii („Lear"), zadumnéj, by się mi-

łością swą dla starego ojca popisywać, ukazuje Krzemiński „Imogenę" („Cymbeline").

„Imogena jest kobiétą przez miłość, jest prawdziwym kobiécości typem. Posiada wszystkie główne dodatnie jéj własności: jest wierzącą, łagodną, cierpliwą, troszczącą się o ukochanego, niepragnącą zemsty, daleką od gniéwu, a kochającą mimo doznanéj niesprawiedliwości" (str. 202). Jest to typ kobiéty nowożytny. „Przeznaczeniem takich dusz jest wypromienianie w świat moralnych zadowoleń — najtrwalszych rozkoszy ludzkich na ziemi" (str. 204).

Jeżeli Imogena w życiu prywatném przynosi dobro i szczęście, to w sercu Volumnii („Koryolan") przeważa pierwiastek publiczny. „Miłości jéj wszystkie sprowadzają się do miłości ideału, a wszystko, coby w Rzymie ukochać mogła, kocha tylko przez Rzym i dla niego. Jest to przedewszystkiém Rzymianka, obywatelka, późniéj dopiéro matka i kobiéta" (str. 209).

P o r c y a wreszcie (z dram. „Juliusz Cezar") „jest podobnie jak Volumnia (Veturia) obywatelką, ale więcéj od Volumnii kobiétą, Volumnia ma duszę rządzoną przez dumę; miłość nawet sama jest w niéj tylko dumy przetworem. W duszy Porcyi mniéj dostrzegamyześrodkowania i siły, mniéj majestatu uczuciowego i dramatyczności, ale za to więcéj kobiécéj natury, więcéj miłości" (str. 224).

Na przeciwnym brzegu stoi demoniczna L a d y M a c b e t h.

„...Jest (ona) zimną, wytrawną, skamieniałą w złém..." Jako uosobienie zbrodniczości walczyć już ze sobą nie potrzebuje, myśléć o sobie nie chce, myśléć o tém, co po za nią jest—nie może. W duszy jéj już tylko zbrodnia sama ma dla siebie mieszkanie; zrodzona z ambicyi wygnała rodzicielkę swoją i sama ciemną pieczarę zajmuje. Dusza Lady Macbeth niezdolna już jest do uniesień żadnych, najbardziéj nawet samolubnych; marzenia i poloty zostawiła daleko po za sobą; odarta z fantazyi skostniała i zlodowaciała" (str. 230).

W szczupłych ramach sprawozdania starałem się nie pominąć żadnego z „Zarysów", ze względu na żywotność jednych, a użyteczności drugich, powstałych z myśli poważnéj ze zrozumienia celu życia, miłości dla dobra i piękna.

Tych zalet i przeciwnik poglądów Krzemińskiego odmówić mu nie może. *L. Rutkowski.*

NEKROLOGIA.

† D. 30 września r. b. zmarł nagle w Łodzi, skutkiem ataku apoplektycznego, wybitny na polu praktyczném i filantropijném działacz, ś. p. **Władysław Wizbek**. Urodzony w Warszawie w r. 1850, po wyjściu ze szkół średnich oddał się zawodowi handlowemu, w którym pracował najprzód w Warszawie, następnie przez czas dłuższy w Aleksandrowie pogranicznym, a w końcu, już od lat 20, w Łodzi, gdzie był właścicielem jednego z najznaczniejszych domów agenturowo-komisowych. Prócz tego zajmował nieboszczyk stanowisko prezesa zarządu cukrowni „Brześć Kujawski," któréj był jednym z inicyatorów i głównych założycieli, jako akcyonaryusz i pełnomocnik biorących w niéj udział finansowy innych kapitalistów łódzkich. Nie te jednakże zajęcia zawodowe wyrobiły mu imię i uznanie wśród współobywateli, ale płodna i twórcza działalność na polu społeczném, któréj oddawał się gorliwie ze zwykłą sobie energią w ostatnich latach swego życia. Stały teatr polski w Łodzi jego głównie wpływowéj protekcyi i pomocy moralnéj, a w początkach i materyalnéj, byt swój dziś już na trwałych podstawach oparty, zawdzięcza. Podobnież urządzona w r. 1892 przez warszawskie towarzystwo ogrodnicze pierwsza prowincyonalna wystawa ogrodnicza w Łodzi powiodła się nadspodziewanie świetnie jedynie dzięki gorliwym staraniom i niewyczerpanéj energii ś. p. Wizbeka, który zgromadził na niéj wszystko, co było w Łodzi w tym zakresie godnego widzenia. Skutkiem tego, kiedy w r. z. zarząd łódzkiego oddziału towarzystwa popierania rosyjskiego przemysłu i handlu postanowił urządzić wystawę przemysłowo-rzemieślniczą, nieboszczyk wybrany został jednogłośnie na prezesa komitetu wykonawczego i tu również nie zawiódł oczekiwań, gdyż pomimo wielu przeci-

wności i nadzwyczaj krótkiego czasu zdołał ukończyć wszystko na dzień oznaczony.

Był téż ś. p. Wizbek przez długi szereg lat członkiem korespondentem towarzystwa osad rolnych, a wreszcie i w stosunkach prywatnych radą, protekcyą i groszem niejednemu a potrzebującemu dopomógł. Najtrwalszą jednakże pamiątkę po sobie pozostawił nieboszczyk przez założenie w r. 1893 łódzkich kolonii letnich dla ubogich i słabowitych dzieci wyznania chrześciańskiego. A nie była to rzecz ani łatwa, ani dla każdego dostępna. W Łodzi, która z przemysłu powstała, dzięki jemu się rozrosła i przezeń wyłącznie istnieje, praca zawodowa i myśl o swojém przedsiębiorstwie tak wszystkich pochłaniają, że na nic innego czasu im nie pozostaje. Dlatego dobroczynność jest tam w wielkiém zaniedbaniu. Przypominają sobie tam o niéj ludzie, dopiéro przed śmiercią, przy spisywaniu testamentu, albo w niewielu innych równie uroczystych chwilach. W codziennėm życiu pamięta o niéj, na 300,000 mieszkańców, zaledwie kilkadziesiąt osób, stojących na czele, nielicznych tamtejszych instytucyi filantropijnych. Z tego powodu nawoływanie gazet do składek na cele dobroczynne nie mają tam prawie żadnego znaczenia. Jedni ich wcale nie czytają, inni zapominają o nich zaraz po przeczytaniu, a już nikt prawie nie ma na to czasu, żeby sam odniósł, lub przesłał składkę na jakiś cel publiczny. Ci, co się dobroczynnością w Łodzi zajmują, muszą sami po składki chodzić, czyli jak się tam mówi, osobiście je „inkasować." Wobec tego, im kto więcéj ma stosunków z miejscowymi bogaczami, tém więcéj przy dobréj woli i żelaznéj wytrwałości może zrobić dla dobra publicznego. Bez tych stosunków nie można zrobić nic, bo ludzi średniéj klasy jest tu mało, więc z ich drobnych składek nie wiele się zbierze. Otóż ś. p. Wizbek miał wśród możnych świata łódzkiego stosunki liczne i miał zarazem tyle dobréj woli, że chciał i umiał korzystać z tych stosunków dla dobra publicznego. Dzięki temu, kiedy go grono inicyatorów kolonii letnich w Łodzi zaprosiło na prezesa komitetu, w ciągu kilku dni zebrał sam jeden fundusz dostateczny na wysłanie 120 dzieci, a zarazem wyszukał dla nich bezpłatne pomieszczenie na wsi, u swoich przyjaciół. W następnym roku, dzięki zbiorowym staraniom komitetu, ale zawsze przy głównym współudziale nieboszczyka, fundusze wzrosły już o tyle, że wysłano 240 dzieci, a w trzecim roku istnienia 360. Obecnie już kolonie łódzkie pozyskały sobie sympatyę w tak szerokich kołach, że będą zapewne mogły istniéć i rozwijać się daléj pomimo śmierci swego głównego protektora i twórcy, ale bez jego pomocy początkowéj możeby jeszcze do dziś dnia nie były zdołały

wyjść ze sfery dobrych chęci, a w każdym razie nie rozwinęłyby się tak szybko i tak pomyślnie. Dlatego pięknym tym czynem zasłużył sobie ś. p. Wizbek na wdzięczną pamięć wśród swych współobywateli.

† **Zygmunt Dobieszewski**, urodzony 7 maja 1836 r. we wsi Staniewie, pow. ihumeńskim gub. mińskiéj, nauki gimnazyalne pobierał w Rawie, Maryampolu i Warszawie. W r. 1857 wstąpił do akademii medyko-chirurgicznéj warszawskiéj, a w r. 1862 otrzymał stopień lekarza *cum eximia laude* w Szkole Główněj. Napisawszy rozprawę: „O wpływie morfiny na krążenie" (1869), osiągnął stopień doktora medycyny. Powołany na inspektora szpitali przez wydział krajowy w Galicyi, doktoryzował się powtórnie w Krakowie 1871 r. W r. 1874-ym przeniósł się do Marienbadu, gdzie stale praktykował w lecie, zimą zaś przebywał w Meranie. W r. 1866 założył czasopismo lekarskie p. t. „Klinika" i prowadził je do czasu osiedlenia się w Galicyi, gdzie znów wydawał „Służbę zdrowia publicznego". Z licznych prac jego wymieniamy: „Doświadczenia nad czynnościami ośrodków nerwowych", „Studya nad chorobami nerwowemi", „Powolne zatrucie bieluniem", „Rzut oka na urządzenie szpitali w niektórych krajach Europy", „Tężec ze szczękościskiem, powstały skutkiem nadużyciu wódki, uleczony wstrzykiwaniami morfiny", „Przyczynek do kazuistyki nerwów stawowych", „Uwagi nad wskazaniami do użycia źródeł marienbadzkich i sposobami ich stosowania", „Jak się w stacyach klimatycznych zachować należy", „Przewodnik do klimatycznego leczenia" (Warsz., 1878). Pisywał téż i w języku francuskim, mianowicie o działaniu wód marienbadzkich. Po r. 1884 mało się już zajmował literaturą lekarską, oddany prawie wyłącznie praktyce. Zmarł w Marienbadzie, gdzie własną posiadał willę, w połowie września r. b.

† **Zdzisław Korzybski**, urodzony w r. 1834, kształcił się w instytucie szlacheckim w Warszawie, potém w uniwersytecie petersburskim na wydziale prawnym. Przybywszy do Warszawy habilitował się i przez lat kilka do r. 1868 był profesorem na katedrze ekonomii politycznéj i statystyki w Szkole Główněj, zmarł 2 października w wieku lat 62. Drukiem ogłosił: „O kredycie i bankach emisyjnych w zastosowaniu do potrzeb kraju naszego" (Warsz., 1862), „Wstęp do teoryi statystyki. Część I. Rys historyczny i ogólne zasady" (t-że 1870).

† **Edward Hückel**, pedagog, nauczyciel, dyrektor, wreszcie inspektor szkolny, zmarł we Lwowie 30 września r. b. Prace jego drukiem ogłoszone są: „Ueber die Flora der Umgegend von Drohobycz in

Galizien (Wiedeń 1866), „Wycieczka botaniczna w Karpaty styryjskie do źródeł Świcy" (Krak. 1868), „Rys pedagogiki" (Lwów, 1868, nakład gminy m. Drohobyna), „Botanika dla szkół niższych gimnazyalnych i realnych" (Krak. 1870; drugie wyd. Lwów 1876).

† **Franciszek Ksawery Martynowski**, archeolog, urodzony r. 1848 we wsi Babczowie (gub. piotrkowskiéj), syn Szymona i Justyny, posiadaczów kawałka ziemi w téj wsi, nauki gimnazyalne ukończył r. 1870 w Piotrkowie, skąd udał się na wydział filozoficzny uniwersytetu krakowskiego. Jako student redagował już pisemko ludowe: „Włościanin i zagroda." Przeniósł się następnie do Lwowa, gdzie zaczął pisywać artykuły odnoszące się do dziejów sztuki w Polsce, naprzód w „Gazecie Lwowskiéj" i w piśmie dodatkowém do niéj (późniejszym: „Przewodniku naukowym i literackim"), następnie w „Ruchu literackim," którego przez czas jakiś był faktycznym redaktorem. Był téż spółpracownikiem „Gazety wiejskiéj" i „Przyjaciela domowego", założył czasopismo „Spójnia", uporządkował bibliotekę ks. Czartoryskich w Sieniawie. Przybywszy do Warszawy, został spółpracownikiem „Przeglądu archeologicznego", który wydawał księgarz Wilanowski; a nadto pisywał do „Ateneum," „Biblioteki Warszawskiéj," „Kuryera Warszawskiego" i „Codziennego," „Przeglądu pedagogicznego," „Wieku," „Biesiady literackiéj," „Przeglądu tygodniowego," już to pod własnem nazwiskiem, już to pod pseudonimem Mazura i Kropidła. W tym téż czasie powierzoną sobie przez Orgelbrandów pracę dopełnienia „Starożytnéj Polski" Lipińskiego i Balińskiego, wykonał gorliwie (1886, cztery duże tomy). Z rozpraw jego wyliczamy: „Z domu i świątyni," „Na przełomie sztuki polskiéj," „O karczmie," „Ratujmy się, póki czas," „Wykopaliska w Sieniawszczyznie," „Lwów wobec sztuki," „Poranek sztuki w Polsce," „Z dziejów polskiego malarstwa XVI w.," „Zarysy dziejów sztuki w Polsce." W r. 1894 przeniósłszy się do Częstochowy wraz z rodziną, pracował nad uporządkowaniem skarbca w klasztorze jasnogórskim; a zebrane przezeń notatki mogą się stać materyałem do ułożenia „Katalogu skarbca." Podobno pozostawił kilka prac w rękopiśmie. Zmarł wskutek pęknięcia aorty (chorował na serce) w Częstochowie w nocy z 12 na 13 października.

† **Feliks Ehrenfeucht**, literat i publicysta, urodzony w Warszawie 20 listopada 1847, nauki odbywał w gimnazyum filologiczném i Szkole Głównéj na wydziale prawnym, pracę publicystyczną rozpoczął w „Przeglądzie Tygodniowym" r. 1871, pisząc artykuły społeczne, ekonomiczne, recenzye teatralne, felietony, sylwetki artystyczne, utwory dramatyczne, nowele i powieści. Był współpracownikiem „Opiekuna Domowego," „Niwy," „Tygodnika przemysłowo-handlowego," „Ty-

godnika rolniczego," „Kuryera Codziennego," „Nowin," „Echa," „Kłosów," „Gazety Rolniczéj," „Kuryera Porannego," „Wędrowca," „Dziennika dla wszystkich," „Rolnika i Hodowcy." W 1877 był redaktorem „Tygodnika powszechnego." Miewał odczyty w Warszawie i na prowincyi: „O prawdzie w literaturze" (1872), „O opinii publicznéj" (1882), „O miłości" (1884). Osobno ogłosił: „Szkice społeczne" (1872), „Rocznik ubezpieczeń" (1873), „Pocałunek", obrazek dramatyczny w 1 akcie (1874), „Fałszywy kierunek", komedya w 5 aktach (1877), nowele: „Joasia" (1873), „O kawałek cukru" (1883), „Suknia balowa," „Choinka dla pana Stefana" (1886), „Talizman" (1887). W r. 1888 na konkursie „Kuryera Warszawskiego" odznaczono jego powieść społeczną: „Na placówkach życia" (wyd. w Warsz. 1889). Zmarł po ciężkiéj chorobie w Warszawie 19 października r. b.

† **Eugeniusz Skrodzki**, syn Józefa Karola, przyrodnika, profesora niegdyś uniwersytetu warszawskiego, urodzony r. 1821, dość późno wziął się do pióra, bo przed laty trzydziestu kilku, pisując pod pseudonimem Wielisława opowiadania i gawędy z przygód życia staroszlacheckiego przeważnie, najprzód w kalendarzach (mianowicie Ungra), potém w czasopismach literackich, jak „Tygodnik ilustrowany", „Kłosy", „Bluszcz", „Biblioteka Warszawska", „Biesiada literacka," wreszcie „Kuryer Warszawski." Od czasu założenia „Gazety Radomskiéj" był jéj stałym współpracownikiem. Z licznych opowiadań Wielisława główniejsze są: „Jak i kiedy safanduła zostaje szczęśliwym", „Ostatni krzyżak," „Albert pruski", „Ostatni zajazd w ziemi czerskiéj." Ze wspomnień literackich zbieranych głównie w salonie Lewockiéj, spisał ś. p. Skrodzki dwie serye „Wieczorów piątkowych" i drukował je w „Bluszczu" w r. 1875 i 1876. Zmarł w Radomiu, gdzie od wielu lat zamieszkał, w drugiéj połowie października r. b.

† **Marya Napieralska**, córka dyrektora cukrowni, pisująca pod pseudonimem Simary, zmarła młodo bo w 27 roku życia, d. 21 października r. b. Prace jéj pomieszczał stale od lat kilku „Przegląd tygodniowy." W osobnéj książce wyszedł zbiór jéj obrazków i nowel p. t. „Wy mężczyźni, z cichych monologów" (Warsz., 1892). W rękopiśmie pozostawiła powieść większych rozmiarów p. t. „Na fali życia", osnutą na stosunkach fabrycznych.

B. p. **Samuel Henryk Peltyn**, redaktor „Izraelity". Po trzyletniém niespełna bytowaniu, czasopismo „Jutrzenka", założone 1 lipca 1861 r. przez nieżyjącego już Daniela Neufelda, wychodzić przestało. Ze zmianą tytułu jedynie, rozpoczęte przez poprzednika dzieło, wziął na swe barki publicysta fachowy, niepośledni znawca literatury i potrzeb duchowych swoich współwyznawców b. p. S. H. Peltyn (urodzony

w r. 1830 w Maryampolu, zmarły 29 września r. b. w Warszawie) i prowadził je bez przerwy przez ciąg lat trzydziestu przeszło.—We wspomnieniach pośmiertnych, poświęconych działalności zmarłego redaktora „Izraelity", podniesiono słusznie jego zasługę w pielęgnowaniu haseł zdrowego postępu i oświaty, w poważnem traktowaniu zadań, w sprawach obchodzących nietylko interesa gminne żydów miejscowych. Do tych zalet publicystycznych dodać należy i zasługę zmarłego, że wśród roznamiętnienia, jakie kierunek tak zwanego antisemityzmu nietylko u nas w umysłach rozbudził, starał się o zachowanie stanowiska pojednawczego, nie jątrzył, nie podniecał uprzedzeń bezcelowemi polemikami, lecz łagodził spory poważnem słowem refleksyi i spokojną analizą zarzutów współwyznawcom jego czynionych. Zadanie takie, najeżone trudnościami nie do zwalczenia, spełniał zmarły redaktor „Izraelity" z taktem i oględnością i ta właśnie cecha działalności zmarłego zjednała pamięci jego zasłużone uznanie. *A.*



Wydawca: *W. Spasowicz.* — Redaktor *P. Chmielowski.*

Дозволено Цензурою. Варшава, 16 Октября 1896 г. — Druk Jana Cotty.